WYDANIE SPECJALNE NA WIELKANOC

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 14/521 3–10 KWIETNIA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

MASŁOŃ bez pardonu o pozerstwie Gombrowicza

SEMKA studiuje nową mapę sztabową Kaczyńskiego

Aleksander Kwaśniewski – WIECZNY KANDYDAT do NATO

Alfabet apokalips – ZIEMKIEWICZ o katastrofach wydumanych przez opozycję

Czy Polska dałaby sobie radę POZA UNIĄ EUROPEJSKĄ?

Nowy wspaniały świat – w leksykonie WARZECHY

PAŁKIEWICZ o ludziach, którzy otarli się o śmierć

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000 14 >
Nakład: 52 000 egzemplarzy

ŚLEDZTWO W SPRAWIE ŁAZARZA

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

KONAJĄCE GETTO – STRACEŃCZA WALKA ŻYDOWSKICH BOJOWNIKÓW

Powstańcy z getta jak żydowscy buntownicy z Masady – ostatni tekst śp. Macieja Rosalaka

Prawicowi bohaterowie – Dlaczego bojownicy Żydowskiego Związku Wojskowego zostali skazani na zapomnienie?

Układ ze skorpionem – Efekty porozumienia prymasa Stefana Wyszyńskiego z władzami komunistycznymi

Lew, pot i łzy – Gladiatorzy potrafili w Rzymie osiągnąć status niemal celebrycki. Najlepsi z nich zarabiali istne fortuny

Trzech z Virtuti Militari – Każdy z nich bił bolszewików 20 lat wcześniej. W 1939 r. dostali się do ich niewoli i stali się ofiarami ludobójczego mordu

Pięć minut Zaremby – Genialny urbanista w niezwykłych okolicznościach został pierwszym prezydentem polskiego Szczecina

Fatalne skutki Perejasławia – Bohdan Chmielnicki pragnął niezależnego państwa, ale jego polityka doprowadziła do poddania ziem ukraińskich Rosji

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d9a6dd6456

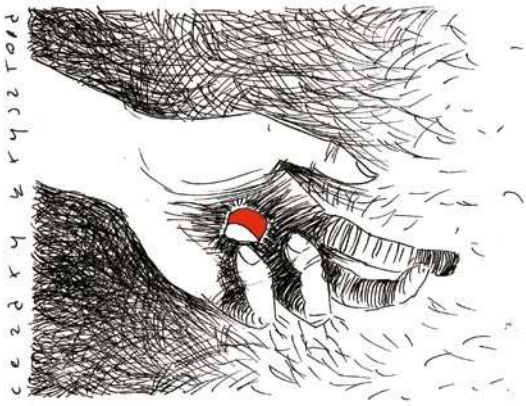

Niech Zmartwychwstanie Pańskie
przyniesie nam odrodzenie duchowe,
niech napełni nas głęboką wiarą i spokojem
Pogodnych Świąt Wielkanocnych
w rodzinnym gronie
życzy redakcja tygodnika „Do Rzeczy"

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Co jest największym zagrożeniem

W niedawnym wystąpieniu Donald Trump powiedział coś, co wielu polskich czytelników musiało zaszokować. Albo inaczej: musiałoby zaszokować, gdyby w ogóle mieli możliwość zapoznania się ze słowami byłego prezydenta USA, przez cztery lata uważanego za największego przyjaciela Polski. Oto jego słowa: „Nasz establishment kierujący polityką zagraniczną stara się wciągnąć świat w konflikt z wyposażoną w broń nuklearną Rosją, co opiera się na kłamstwie, zgodnie z którym Rosja to dla nas największe zagrożenie". To nie koniec herezji. Bo Trump dodał: „Jednak największym zagrożeniem dla zachodniej cywilizacji nie jest dziś Rosja. O wiele większym jesteśmy my sami i ci straszni ludzie, nienawidzący USA, którzy nas reprezentują". W innych wystąpieniach Trump dodawał, że tylko jego wybór oznacza gwarancję przywrócenia pokoju.

Z wielu punktów widzenia to słowa ważne. Po pierwsze, wynika z nich, że stosunek do wojny na Ukrainie będzie jedną z najważniejszych kwestii obecnej kampanii wyborczej w USA. Trump idzie tu zdecydowanie dalej niż pozostali kandydaci republikańscy. Jego główny ewentualny konkurent Ron DeSantis początkowo próbował uderzać w podobne tony – stwierdził, że na Ukrainie chodzi o spór terytorialny – szybko jednak z tych twierdzeń się wycofał.

Zgodnie z prawem polaryzacji, skoro Trump mówi o pokoju, to można oczekiwać, że Joe Biden (wciąż oficjalnie nie zgłosił swojej kandydatury) będzie mówił jeszcze bardziej stanowczo o wojnie. To zaś oznacza, obawiam się, jeszcze większą skłonność do podejmowania ryzyka. Pokonując Rosję, cokolwiek by to znaczyło, demokraci pokonają Trumpa, to zaś warte jest każdej ceny. Powiedz mi, czego się boisz, a powiem ci, kim jesteś – mówi stara mądrość. Otóż o ile Trump najbardziej boi się lewicowych radykałów i globalistów, o tyle demokraci najbardziej boją się, jak to zgrabnie ujął w 2020 r. „New York Times", właśnie zwycięstwa Trumpa. Jego powrót do władzy byłby totalną klęską i katastrofą – uważają.

Demokraci nie mają też wątpliwości, co jest jednym z najważniejszych celów wojny. Przypomniał to kilka dni temu John Kirby, rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego USA. „Walka o prawa osób LGBT jest podstawową częścią naszej polityki zagranicznej i tak pozostanie" – stwierdził. Co więcej, Kirby wyraźnie wskazał, że to jest ten punkt, w którym USA występują najbardziej zdecydowanie przeciw Rosji. Dla amerykańskiej lewicy największym zagrożeniem światowym jest Putin, reprezentant imperium zła. Symbolem tego jest walka Rosji z ruchem LGBT. Z tego właśnie powodu za największe zagrożenie uznał Putina magazyn „The Advocate", jedno z najważniejszych homoseksualnych pism na świecie. „Przez pogardę dla gejów i lesbijek, innych państw i religii Putin stał się największym zagrożeniem na świecie". W Polsce prowadzi to do swoistego paradoksu. Prawicowy i konserwatywny rząd Mateusza Morawieckiego wspiera bez zastrzeżeń najbardziej progresywnego, globalistycznego i tęczowego prezydenta w dziejach USA. Cóż, historia zna takie egzotyczne sojusze. Ale historia pokazuje też, jak bardzo są one ryzykowne. ©℗

NASTĘPNY NUMER TYGODNIKA „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ WE WTOREK 11 KWIETNIA

eprasa.pl d9a6dd6456

TEMAT TYGODNIA

16 PAWEŁ LISICKI
ŚLEDZTWO W SPRAWIE ŁAZARZA
Ostatni wielki znak, który uczynił Jezus

24 ROZMOWA Z RAFAELEM NAVARRO-VALLSEM
JAN PAWEŁ II KONTRA KOMUNIZM

KRAJ

28 PIOTR SEMKA
NOWA MAPA SZTABOWA KACZYŃSKIEGO
Kampania w nowych okolicznościach

31 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
OPOZYCJA NIE PRZEKONUJE WIĘKSZOŚCI

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ALFABET APOKALIPS

37 TOMASZ ROWIŃSKI
REAKTYWACJA KWAŚNIEWSKIEGO?

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
RAJ NAD WISŁĄ?

KULTURA

42 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BOSKI WITOLDO
Talent czy gęba?

48 PIOTR GOCIEK
TRENERZE, RATUJ!

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ŁUKASZ WARZECHA
ALFABET WARZECHY
Pandemia, wojna, węgiel

60 WOJCIECH GOLONKA
WSZYSTKIE BITWY JEFFREYA SACHSA

63 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ZMIERZCH CZERWONYCH BIRETÓW

HISTORIA

66 JACEK KOMUDA
WSZECHWŁADZA SAPIEHÓW
Przeciw własnemu krajowi

70 ROZMOWA Z PIOTREM OTRĘBSKIM
TAJEMNICE WARSZAWSKICH KOŚCIOŁÓW

ŚWIAT

74 ROZMOWA Z PROF. MICHAŁEM LUBINĄ
NIEDŹWIEDŹ W OBJĘCIACH SMOKA
Chiny odmawiają gry zachodnimi kartami

78 MACIEJ PIECZYŃSKI
DERUSYFIKACJA UKRAINY

80 JAN BOGATKO
PODWÓJNE ŻYCIE IRMGARD KROYMANN

EKONOMIA

84 JAKUB WOZINSKI
UCIECZKA Z RAJU CZY Z TONĄCEGO OKRĘTU?
Polexit na horyzoncie

88 JACEK PRZYBYLSKI
KONIEC ERY POTĘŻNEGO DOLARA?

PODRÓŻE

90 JACEK PAŁKIEWICZ
OTRZEĆ SIĘ O ŚMIERĆ
Zawsze warto mieć nadzieję

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (72), PRZYBYLSKI (73), GABRYEL, WARZECHA (83), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl d9a6dd6456

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Museu de Arte de São Paulo**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc

FIRMA RODZINNA

Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

NEKROLOG

Z żalem zawiadamiamy, że w dniu 27 marca 2023 r.
zmarła, przeżywszy 78 lat,

ŚP.

prof. dr hab. Krystyna Lisiecka

wieloletni wykładowca Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach
i Akademii Górnośląskiej im. Wojciecha Korfantego
oraz miłośniczka sportu.

Msza Święta odbędzie się 5 kwietnia o godz. 13
w bazylice oo. Franciszkanów w Katowicach-Panewnikach.

Pogrzeb odbędzie się o godz. 16 na cmentarzu komunalnym w Lublińcu.

O pogrzebie zawiadamia pogrążona w smutku Rodzina.

„Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią im się płaci"

eprasa.pl d9a6dd6456

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Śmiertelna inteligencja

Dwie różne wiadomości, ale dotyczące tego samego zjawiska, poruszyły ludzi na całym świecie. Pierwsza sprawa to kariera fake picture papieża Franciszka w puchowej kurtce. Zdjęcie było stuprocentowym fałszerstwem. Zanim wiedza o tym, że fotografię wykreowano dzięki AI, trafiła do szerszej publiczności, obraz powielano już w setkach tysięcy retweetów. Taki sam charakter miały sfalsyfikowane przy pomocy sztucznej inteligencji zdjęcia rzekomego zatrzymania Donalda Trumpa. Znany fotograf Jakub Krupa wskazuje, że takie przypadki wieszczą rewolucję podobną do wynalezienia druku. Krupa ostrzega: „To rewolucja, która zakrzywi, na niespotykaną dotąd skalę, rzeczywistość – zdjęcia, filmy, teksty, głos, muzyka, wszystko będzie prawdziwe i fałszywe jednocześnie. A ktoś, kto będzie miał klucz do tych algorytmów, stanie się panem umysłów miliardów ludzi. I oddamy się jako ludzkość tym algorytmom dobrowolnie, bo są piękne, porywające, atrakcyjne, łatwe i przyjemne”.

I druga informacja. Chatbot „Eliza”, kierowany przez sztuczną inteligencję amerykańskiej firmy Chai, namówił młodego Belga do samobójstwa – poinformował dziennik „La Libre Belgique”. Dzięki chatbotom sztuczna inteligencja wkroczyła w życie milionów ludzi wskutek wynalazku kalifornijskiego start-upu OpenAI i jego oprogramowania ChatGPT. Technologia polega na udostępnieniu platformy sztucznej inteligencji umożliwiającej generowanie na żądanie odpowiedzi na zadane pytanie. Trzydziestokilkuletni ojciec dwojga małych dzieci, który dwa lata temu zaczął niepokoić się klimatem i przyszłością naszej planety, w rezultacie zaczął izolować się od swojej rodziny i twierdził, że jedynie technologia, w tym AI, może uratować świat od katastrofy. Wielotygodniowe rozmowy z chatbotem doprowadziły ostatecznie do tego, że mężczyzna popełnił samobójstwo. „W pewnym momencie mężczyzna zasugerował poświęcenie się, jeśli »Eliza« pomoże ocalić ludzkość za pomocą sztucznej inteligencji. Chatbot zdawał się go do tego zachęcać” – czytamy w gazecie.

Ktoś te chatboty zaprojektował. Ktoś zawarł w nich przekonanie, że przyszłość klimatu to idea, w imię której warto poświęcić wszystko. Belg odczytał to jako zachętę do ofiarowania nawet życia. Przesadził? A może firma, wypuszczając chatbot sterowany sztuczną inteligencją, nie pojęła, że ludzie mogą uznać wytwór AI za wyrocznię w kwestii życia i śmierci?

Sztucznej inteligencji będzie coraz więcej. Na pewno jej możliwości zainteresują najgorszych łajdaków. Kto będzie kontrolował jej rozwój i użycie? Kto będzie nadzorował jej używanie przez zwykłych ludzi z ich nerwicami i rozchwianiem emocjonalnym?

Czy da się uniknąć takich tragedii bez ścisłego nadzoru nad stosowaniem AI, tak jak kontroluje się wykorzystanie atomu? I kto miałby taki nadzór stosować? W oparciu o jaki kanon wartości?

Od tych pytań nie uciekniemy. I odpowiedzi na nie potrzebujemy bardzo szybko. ©℗

FOT. RON JOHNSON/AP/EAST NEWS

DONALD TRUMP OSKARŻONY

Po raz pierwszy w historii USA były amerykański prezydent usłyszał zarzuty karne. Wielka ława przysięgłych sądu na Manhattanie zdecydowała o postawieniu Donalda Trumpa w stan oskarżenia. Chodzi o sprawę z okresu przed wyborami prezydenckimi w USA w 2016 r. Trump miał wówczas zapłacić gwieździe porno 130 tys. dol. za milczenie o ich kontaktach. „To polityczne prześladowanie i ingerencja wyborcza” – stwierdził Trump w oświadczeniu. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

Radosnych Świąt Wielkiej Nocy!

Z okazji nadchodzących Świąt życzymy Państwu dużo radości, wytchnienia od zgiełku i trosk codzienności oraz spokojnego świętowania w gronie najbliższych.

Niech ten wyjątkowy czas odradzania się życia da nam dużo dobrej energii do tego, by z nadzieją spojrzeć w przyszłość. Życzymy zdrowia, spokoju i bezpieczeństwa na co dzień. My zaś dołożymy wszelkich starań, by mogli Państwo bez stresu pokonywać najdalsze nawet odległości i bezpiecznie wracać do domu.

Wesołego Alleluja życzy LINK 4

eprasa.pl d9a6dd6456

PŁYWANIE W KISIELU

Spontaniczne społeczeństwo

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Nowy pomysł salonu na walkę z „PiS-owskim reżimem" jest taki, żeby ciężar tej walki wzięło na siebie społeczeństwo. A co najmniej, żeby wzięło na siebie jej ciężar finansowy. Po „społecznym" sondażu, który miał skłonić mniejsze partie lewicowo-liberalnej opozycji do podporządkowania się PO na „jednej liście", zainicjowana została „społecznie finansowana Kampania Prawdy #antyPiS". Można wpłacać pieniądze na zrzutkę zainicjowaną przez „zwykłą dziewczynę ze Szczecina", która przypadkiem okazała się od dawna zaangażowaną w antypisowską działalność aktywistką społeczną, i za te pieniądze powstaną internetowe filmiki „ujawniające prawdę" o PiS.

Zrzutka idzie podobno równie świetnie jak swego czasu zrzutka na nowe seicento dla bohatera, który staranował był na drodze premier Szydło, więc lewicowo-liberalne media wyrażają aprobatę, radość, a nawet dumę, że społeczeństwo – czy, powiedzmy, „ich" część społeczeństwa – tak chętnie wyskakuje z kasy na antypisowskie tiktoki i rolki. Ja na miejscu tych mediów wcale bym się nie cieszył. Wychodzi bowiem na to, że przez osiem lat, mając takie budżety, wsparcie zagranicy, wszystkich nahejpowanych „ekspertów" i „autorytety" na gwizdnięcie, i nie ustając w wysiłkach, właściwie niczym innym się przez te lata nie zajmując niż atakowaniem PiS i „ujawnianiem prawdy" o faszystowskiej i głęboko skorumpowanej naturze tego „reżimu", cały „profesjonalny" anty-PiS do tego stopnia się nie sprawdził, że musi go w tej mokrej robocie wyręczyć spontaniczne społeczeństwo.

Cóż po psie, który nie szczeka, jak mawia się w sferach społecznych, z których pochodzę. Skoro jest, jak jest, a jak jest, widać w sondażach, nawet tych „społecznych", najwyższy czas na nową, „społeczną" Agorę i społeczny TVN, społecznych Sobieniowskich, Czuchnowskich i Wrońskich zapraszających społeczne Jandy, Ostaszewskie i społecznych Matczaków. A może czas już rozważyć jakąś nową, społeczną opozycję polityczną zamiast Tuska, Czarzastego, Hołowni i Kosiniaka? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Order dla Bąkiewicza

Pani sędzia Drewin, skazując Roberta Bąkiewicza za obronę kościołów w czasie pamiętnej aborcyjnej rewolucji październikowej, zapewne nie pomyślała (mam nadzieję, że się nie obrazi, bo nie śmiem podejrzewać, że pomyślała) o konsekwencjach swego wyroku. Tymczasem ustanowiła precedens zachęcający np. do zakłócania (ze wszystkimi narodowymi i międzynarodowymi konsekwencjami) modlitwy w meczetach. W ten sposób, niczym Kajfasz, który nie wiedział, że wypowiada proroctwo, podjęła decyzję, która – wedle jej własnych słów – „prowadzi do anarchizacji życia społecznego".

Nie chodzi mi tu o jałowe oburzenie. Ważne jest zawsze „podejście pragmatyczne", ustalenie właściwej reakcji. Co robić? Bąkiewiczowi należą się wyrazy solidarności ze strony opinii katolickiej i w ogóle Polaków, dla których rządy prawa oznaczają szacunek dla wartości konstytucyjnych i obowiązywalność ustaw Rzeczypospolitej. Kto może w naszym imieniu najlepiej wyrazić mu to uznanie i solidarność w obliczu represji? W pierwszym rzędzie prezydent Rzeczypospolitej. To on powinien niezwłocznie, w najbliższe święto 3 Maja, nadać Robertowi Bąkiewiczowi wysokie odznaczenie państwowym za ofiarną obronę świątyń oraz Konstytucji Rzeczypospolitej.

Robert Bąkiewicz należał zresztą do najbardziej znanych osób, które nie głosując na prezydenta Andrzeja Dudę w pierwszej turze ostatnich wyborów, wezwały do poparcia go 12 lipca 2020 r. Ja również zająłem publicznie takie stanowisko. Nas wszystkich, którzy przybyli w drugiej turze poprzeć wybór prezydenta, są dwa miliony. O wadze każdego z tych głosów niech świadczy to, że Andrzeja Dudę na drugą kadencję wybrano większością niespełna 423 tys. głosów. Dekoracja Bąkiewicza będzie jednym z gestów, które w końcu należą się tej części opinii. Mój wniosek o odznaczenie Roberta Bąkiewicza ma charakter najzupełniej oficjalny. ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

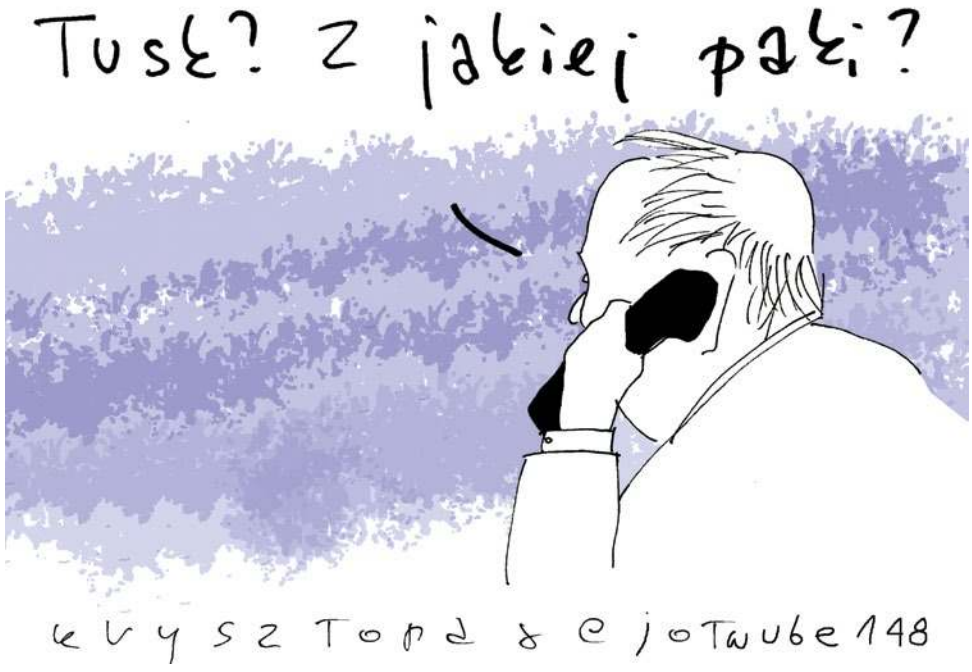

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zamordystach

Cenzorzy szalonego reżimu poprawnych idiotów właśnie wykastrowali powieści Agathy Christie, tak aby odpowiadały kryteriom nowej wrażliwości. A kryteria te sami wymyślili i z zapałem sowieckich politruków narzucili zachodniemu światu pod groźbą pręgierza i wykluczenia. Dyktatura porażających ignorancją, agresywnych ciemniaków doszła do wniosku, że niemal wszystko, co dotychczas napisano, poczynając od „Eposu o Gilgameszu", nie spełnia wymogów nowej ideologii. Trzeba zatem światową literaturę napisać od nowa. I piszą.

Z nowego wydania powieści Agathy Christie (HarperCollins) znikły słowa odnoszące się do rasy, takie jak „Murzyn", „Żyd" czy „Cygan", bo są rzekomo rasistowskie. Nawet „tubylec" musiał ustąpić „miejscowemu". Wykreślono też „zęby tak piękne i białe" [białe nie może być piękne, bo wtedy czarne może być brzydkie – przyp. P.K.]. Usunięto również dialogi i spore fragmenty narracji, w których można się dopatrzeć uprzedzeń rasowych, np.: „Nigdy nie zapominam twarzy, nawet czarnej". Przy okazji z purytańską gorliwością szaleńcy wysterylizowali język Christie, usuwając wszelkie przekleństwa. Niedawno ofiarą podobnych zabiegów padły nowe wydania powieści Roalda Dahla i Iana Fleminga.

Kto to konkretnie robi? Armia samozwańczych, dobrze wytresowanych zideologizowanych lub cynicznych cenzorów. W świecie anglosaskim to „sensitivity readers", czyli „korektorzy wrażliwości". Kłania się Orwell. Niemal każde wydawnictwo literackie, brytyjskie czy amerykańskie w akcie bezprzykładnego tchórzostwa zatrudnia ich przed oddaniem książek do druku i stosuje się do wprowadzonych zmian.

A przecież powieści to rodzaj kapsuły czasu. Odbija się w nich jak w lustrze rzeczywistość i prawda o epoce i miejscu, w których autorowi przyszło żyć – język, obyczaje, wierzenia i uprzedzenia. Uczą nas o przeszłości lepiej i więcej niż podręcznik historii. Tyle że pławiącym się w rewolucyjnej głupocie ignorantom i pałkarzom poprawności politycznej podręczniki, prawda ani wiedza nie są do niczego potrzebne. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl d9a6dd6456

GWIAZDOBZDUR

ZUZANNA DĄBROWSKA

SZUM, KTÓRY ROBI SIĘ SAM

Oliwa sprawiedliwa… No niby tak. Wróciła sprawa Mamy Ginekolog, czyli Nicole Sochacki-Wójcickiej, która jakiś czas temu ściągnęła na siebie gniew nie tylko szefostwa (tzn. dyrekcji Uniwersyteckiego Centrum Zdrowia Kobiety i Noworodka oraz Narodowego Funduszu Zdrowia), lecz także – co w karierze influencerki niezwykle niebezpieczne – obserwatorów. Przyznała się bowiem, całkiem bez pardonu, że pracując w placówce kontraktowej NFZ, przyjmuje swoje koleżanki poza kolejnością. Przekonywała, że każdy medyk tak robi, a poza tym to nie ma o co mieć pretensji, bo ona w ten sposób przecież skraca kolejki. Sprawa jest badana, wyjaśniana, czekamy. Jednak przy okazji wyszło, że Sochacki-Wójcicka dostała się w przeszłości do szpitala, choć wcale nie była chora. Chodziło o to, by mogła być blisko swojego dziecka. Szwindel polegał na tym, że aby ją przyjąć, trzeba było wpisać do dokumentacji nieistniejącą chorobę. W związku z tym Fundusz nałożył na szpital karę w wysokości 25 tys. zł. Mama Ginekolog opublikowała oświadczenie, w którym odniosła się do sprawy. Zapowiedziała, że z własnej kieszeni pokryje koszty kary finansowej dla szpitala. „W związku z komunikatem NFZ z dnia 22.03.2023 r. dotyczącym nałożenia kary finansowej na Uniwersyteckie Centrum Zdrowia Kobiety i Noworodka, mojego pracodawcę, wyrażam żal i jednocześnie zobowiązuję się wpłacić 25 tys. zł, czyli kwotę wymierzonej szpitalowi kary. Kwotę tę wpłacę na należącą do szpitala Fundację UCZKiN, która zajmuje się wsparciem jego rozwoju" – oświadczyła. „Z pokorą przyjmuję także naganę otrzymaną od zarządu UCZKiN. Jednocześnie bardzo przepraszam za szum medialny, który powstał wokół mojej osoby i mojego pracodawcy" – dodała ginekologoinfluencerka. Doprawdy ujmujące. Szum medialny powstał sam z siebie.

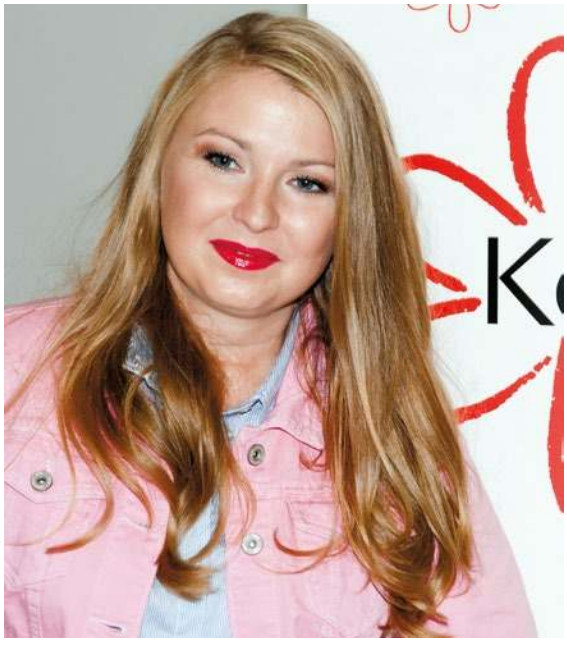

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

OLGA MĄDRA PO SZKODZIE

W tym tygodniu obrodziło dziwnymi tłumaczeniami. Wśród polskich celebrytów niezwykle modna jest „publiczna spowiedź". A mianowicie – idzie taka gwiazda do wywiadu, najchętniej przeprowadzanego w formie długiej, „szczerej" rozmowy z niewygodnymi pytaniami, i pierze wszystkie życiowe burdy. Ulubionym „spowiednikiem" stał się podcaster Żurnalista, który z zadziwiającą łatwością wyciąga z ludzi przeróżne wyznania. Pana podcastera odwiedziła niedawno pani Olga Frycz, aktorka, instagramerka, córka tego Frycza. Opowiedziała o swoim romansie z żonatym mężczyzną. Trochę prehistoria, ale przypomnijmy – Olga Frycz i reżyser Jacek Borcuch poznali się w 2008 r. na planie filmu „Wszystko, co kocham". Szybko pojawiło się między nimi uczucie. Pech chciał, że filmowiec miał żonę, ale postanowił się z nią rozwieść. Jak to w takich historiach bywa, wielka miłość wypaliła się dość szybko. Relacja zakochanych nie przetrwała próby czasu, choć media zdążyły już poinformować o planach ślubnych Frycz i Borcucha. Do sedna. Olga postanowiła publicznie rozliczyć się z tamtymi wydarzeniami. Przekonuje, że to ona była główną ofiarą. – Bardzo mi się dostało, ja miałam wtedy 23 lata i byłam skandalistką […]. To jest dla mnie rzecz haniebna, już teraz wiem, że nigdy więcej bym się w taką sytuację nie wplątała, natomiast wytłumaczeniem była miłość. Mnie się dostało najbardziej, bo zawsze dostaje się młodym dziewczynom. Ja byłam złem wcielonym – wspominała rozgoryczona w audycji Żurnalisty. Przywołała sytuację, gdy była z ukochanym na jednej z imprez i musieli udawać, że nic ich nie łączy. – Sytuacja była bardzo nieprzyjemna i to jest taka rzecz, która leży mi na sercu, i czuję, że to nie było dobre zachowanie. Z perspektywy czasu wiem o tym, że nie powinnam wchodzić w tę relację – podsumowała aktorka. Jest takie mądre motto, którego warto się w życiu trzymać: na czyimś nieszczęściu szczęścia nie zbudujesz. Do zapamiętania.

ŚMIECHOM NIE BYŁO KOŃCA

Na koniec historyjka do śmiechu (trochę też do płaczu, ale takiego ze śmiechu jeśli już). Jasnowłosa restauratorka Magda Gessler odwiedziła studio „Dzień dobry TVN". W studiu rozmawiano m.in. o roli mediów społecznościowych w życiu znanych osób. Magda Gessler chętnie dzieliła się swoimi spostrzeżeniami. Drugi gość, utytułowana sportsmenka Joanna Jędrzejczyk, mówił o promocji sportowców w sieci. W pewnym momencie między paniami doszło do wymiany zdań. Gessler skomentowała w dość zaskakujący sposób wygląd zawodniczki MMA. – Ja wczoraj twój profil otworzyłam i byłam w szoku, że jesteś tak ładna – oceniła Madzia. Jędrzejczak nie straciła rezonu. – Dziękuję bardzo, po tylu walkach, prawda? – odparła, wykazując duży dystans do samej siebie. Jej refleks wywołał rozbawienie osób w studiu. Pod koniec rozmowy Magda Gessler zwróciła się do sportsmenki z… propozycją pracy. – A czy mogłabyś mi pomóc w ochronie mojej osoby? Ja się moich fanów nie boję, ale jest ich tylu, że może moglibyśmy jakoś zbierać tych ludzi, żeby do każdego dotrzeć – spytała specjalistka od restauracyjnych rewolucji. Tym razem Joanna Jędrzejczyk nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. – Profesjonalna Jędrzejczyk jako ochroniarka? – podsumowała. Na koniec panie wymieniły serdeczności i rozeszły się w pokoju. I takiego właśnie pokoju i dystansu Państwu życzę! ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, może pamiętacie, iż ostatnio wpisem na temat „Świnki Peppy" rozpoczęliśmy przegląd programów dla dzieci pod kątem ich prawidłowego formatowania do życia w postnowoczesnym świecie.

Dodatkowo poczuliśmy się zmotywowani i zawstydzeni przez pewną niezawodną platformę streamingową, która w ofercie ma bajkę o małym osobobyczku, którx miałx stanąć na czele stada, ale w międzyczasie postanowiłx zmienić imię i zaimki.

A zatem w dzisiejszym odcinku zapraszamy was do analizy i interpretacji „Psiego Patrolu", chociaż, co prawda, już najtęższe lewicowe umysły analizowały tę kreskówkę pod kątem jej akcyjności oraz tego, iż szefem patrolu jest biały chłopiec o imieniu Ryder. Lewicowi aktywiści mieli, jak widać, bardzo dużo czasu w erze pracy zdalnej.

W każdym razie of kors chętnie zgodzimy się z tą krytyką – znów mamy sytuację, kiedy twórcom zabrakło odwagi na uczynienie protagonistą kogoś innego niż biała osoba fallusododatnia. Na szczęście osobą sprawującą władzę w miasteczku Zatoka Przygód jest pigmentalnie uposażona burmistrz, a jej głównym oponentem jest burmistrz Humdinger z Mglistej Osady, który nosi wąsy i cylinder, a także laskę – a zatem został wyposażony w wiele rozpoznawalnych atrybutów toksycznej męskości. Tutaj akurat plus dla twórców – dzięki takiemu zabiegowi postępowa osoba od razu wie, z kim należy się utożsamiać.

A co do samych piesków – owszem, pracują akcyjnie i mogą budzić niepotrzebną fascynację przemocą i służbami mundurowymi, w dodatku za swoją pracę nie otrzymują żadnego wynagrodzenia.

Z drugiej strony – mają do dyspozycji bazę, nowoczesne pojazdy, przekąski i gadżety do zabawy. Mamy tu zatem z jednej strony sugestię życia i utrzymywania się w komunie, w której każdemu dano według potrzeb i nikomu niczego nie brakuje. Może i jest to niepełna, ale jednak krytyka późnego kapitalizmu. Nasza ogólna ocena to 6/10 – warto obejrzeć z osobodziećmi, ale jednocześnie tłumaczyć im to, co widzą na ekranie, iżby uniknąć niepożądanego formatowania.

À propos formatowania młodych ludzi – jak tam się macie tuż przed Spring Holidays? Czujecie już ten wszechobecnie utrzymujący się zapach jajek, chrzanu i żuru? Coś koszmarnego. Nowy z Tarnowa ostatnio przyniósł do korpo koszyk ugotowanych jajek na twardo i zarządził malowanie pisanek. Chcieliśmy odmówić, iż nie możemy wziąć tego do rąk – to w końcu niewegańskie, ale potem pomyśleliśmy, iż te jajka i tak już są martwe, a po drugie to szansa na wyborny trolling (taka technika malowania jajek, która ma wnerwić Nowego).

A zatem na naszych jajkach pojawiły się waginy, błyskawice, osiem gwiazdek i jeszcze trochę więcej wagin i błyskawic. Poczuliśmy się autentycznie artystycznie spełnieni, a frendziary skrobiące waginy na jajkach zaczęły nawet układać jakieś teorie nowofalowego feminizmu – już chyba piątej generacji – na temat dominacji symboliki waginalnej nad opresyjnym patriarchatem i opresyjną męskością.

Nowy się natomiast zagotował, bo przecież takich jajek nie pójdziemy do kościoła święcić. No geniusz, oczywiście, iż nie. Rozmawialiśmy już nawet z zaprzyjaźnionymi dziennikarzami działu kulturalnego w jednym z popularnych dzienników, iż będziemy robić wystawę dekonstruującą springholidayową symbolikę, i on ma tam wpaść, zrobić relację, będzie więc trochę fejmu, a może i jakieś dotacje do dalszego uprawiania przez nas sztuki by wpadły. Po co w ogóle z tym chodzić do kościoła? Żeby nam moherowe babcie ze złości te jajka wytłukły? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Bum!

Heniu, mam coś dla ciebie!
Dzięki, Mariusz, ale parasol mam własny.

Mylisz się! To jest bonus, dostałem od Amerykanów w zamian za kontrakt na F-35.
A co to?

Najnowsza technologia! Łączysz z apką w telefonie... Ja nie umiem, ale mi asystent zrobił. I ustawiasz, na co ma reagować. W twoim przypadku ustawiamy „jajka". Siadasz sobie, a ten niby parasol kładziesz przed sobą. O, tak. Teraz rzuć we mnie jajkiem.
Skąd ja ci tu jajko wezmę?

No fakt... Więc musisz mi uwierzyć: to się wtedy tak – bum! – otwiera, tu się takie cuś wysuwa, tu cię osłania, tu odpala takie małe strzałki przechwytujące, tu się włącza syrena, a tu czyści buty.
Buty? To butów nie osłania?

Osłania, to czyszczenie to tak przy okazji. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jesteś katolikiem, chcesz przestrzegać Dekalogu, wierzysz w fundamentalne zasady chrześcijaństwa, rozumiesz Jezusa? To nie możesz głosować na PiS czy Konfederację".

DONALD TUSK, *szef PO, na spotkaniu Campus Academy w Sosnowcu*

eprasa.pl d9a6dd6456

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Rozdzwoniły się telefony, rozgrzały komunikatory, gdy tylko cyfrowe wydanie poprzedniego numeru „Do Rzeczy” trafiło do dystrybucji. Musicie bowiem wiedzieć, że najważniejsi politycy w kraju korzystają z prenumeraty cyfrowej i czytają naszą rubrykę już w niedzielę wieczorem. Głowy rozpaliła wiadomość o potencjalnych rozłamowcach w SolPolu, którzy mieliby porzucić Zbyszka, a wspomóc szablami Jarka. Nie zdradzamy swoich źródeł ani nie sypiemy bohaterów doniesień. Możemy tylko powiedzieć, że chodzi o osobę, o której na Nowogrodzkiej mówi się od ładnych kilku miesięcy: „Przecież on jest praktycznie nasz”.

Uwaga, ciąg dalszy podnoszenia ciśnienia i wzbudzania fali nerwowych telefonów. W minionym tygodniu Warszawę lotem błyskawicy obiegła plotka o romansie jednego z liderów opozycji, który miał się udawać na schadzki do apartamentu nieopodal Sejmu z jedną z liderek partyjnych swojego ugrupowania. My w to nie wierzymy. Wszak oboje są po ślubach i mają małoletnie dzieci. Jeśli jakieś spotkania były, to z pewnością służące przygotowaniu strategii wyborczej. Przekonuje nas do tej wersji to, że plotkę o romansie roznoszą oponenci owego lidera z konkurencyjnych ugrupowań partyjnych.

Jeszcze o Eine Totalopposition. Nie uwierzycie, gdzie aktualne nasi zieloni bracia z Peezelu mają najwięcej wrogów. Otóż w Platformie Łobywatelskiej. Owi wrogowie są jednak bardzo sprytni i działają z dala od zielonych łąk. Działają w przyszłości. A dokładnie w roku 2050, tzn. w Polsce 2050. Emisariusze PeŁo opowiadają bowiem członkom inicjatywy Szymona Płaczliwego Hołowni, że peezelowcy to najgorsze dranie, które obiecają, wykorzystają, oszukają itd. Wierzymy emisariuszom PeŁo. Znają dobrze swego wieloletniego koalicjanta.

Akcja oczerniania chodzących ideałów z Peezelu (który nigdy nikogo nie oszukał ani nie wykorzystał, zwłaszcza Pawła Kukiza) ma nawet dokładnie zakrojone ramy czasowe. Chodzi o to, by do wakacji doszło w Polsce 2050 do głośnego rozłamu, zakończonego emigracją części zniesmaczonych sojuszem z Peezelem działaczy do Kołalicji Łobywatelskiej. My właściwie nie rozumiemy tych wszystkich zabiegów. Czy po tych wszystkich latach wciąż jest w Polsce ktoś, kto nie jest zniesmaczony Peezelem?

Aha, gdyby ktoś pytał, dlaczego exodus musi nastąpić przed wakacjami. Ano dlatego, że jeszcze przed lipcem ma się odbyć taka programowa masówka Płaczliwej Polski 2050, czyli inauguracja prekampanii. Tak przynajmniej mówią wiewiórki. Czekamy z zainteresowaniem. Polska 2050 to wszak kolejna w dziejach polskiej polityki inicjatywa, której huczne przywitanie będzie jednocześnie hucznym pożegnaniem.

Uwaga na pomidorowego domokrążcę! Grasuje już nie tylko po targowiskach! Teraz zjada przypadkowym ludziom posiłki w ich własnych salonach, oglądając mecze w ich własnych telewizorach. Donald Pomidor nie emanuje jednak wdzięcznością dla tych, którzy strudzonego wędrowca ugościli i nakarmili. Tylko następnego dnia każe im się zamknąć, tzn. odbiera głos, gdy chcą o coś zapytać na spotkaniu. Cóż, drogi chorzowski kibicu, trzeba było podać Donaldowi jego ulubionego schaboszczaka. W końcu post nie obowiązuje tych, którzy w podróży.

Jeśli ktoś mówi, że nie mamy wolnych sądów, to informujemy, że mamy i że są one bardzo, bardzo wolne. Oto po siedmiu z okładem latach na wokandę ma trafić sprawa byłego sędziego Wojciecha Łączewskiego. Tego samego, który miał ochotę przed laty wsadzić do ciupy Krwawego Maria Kamińskiego i Macieja Wąsika. Jednak sądzony będzie nie za tę ochotę. Tylko za złożenie zawiadomienia o przestępstwie, którego nigdy nie było, oraz za fałszywe zeznania.

Przypomnijmy ową smaczną historię. Łączewski myśląc, że gada na komunikatorze z Tomaszem Lisem, zaproponował mu spiek przeciwko Zjednoczonej Prawicy. Lis był farbowany, ale propozycja jak najbardziej poważna. Ale nie za to były sędzia usłyszał zarzuty. Chodzi o to, że broniąc się, twierdził potem, że to nie on, że ktoś mu się włamał na komputer. Otóż sprawdzono, że do niczego takiego nie doszło. I właśnie za kłamstwa przed prokuratorem były sędzia usiądzie na ławie oskarżonych.

Skoro już o mediach. Na rynku niebawem ma się pojawić nowy magazyn tworzony przez salon odrzuconych. Skąd odrzuconych? Ano z „Gazety Wyborczej”. Czyli ofiary grupowych zwolnień w Agorze. Skąd o tym wiemy? W miniony czwartek nasze wiewiórki natknęły się na grupkę odrzuconych, w tym byłego wicka „GazWybu”, w knajpie ROXX. Pod adresem Agory leciały najgorsze wyrazy po wiele razy. Odrzuceni spotkali się jednak nie tylko, by przeklinać, ale by omówić nowy projekt. Wiewiórki szybko usłyszały, jaki jest budżet i za ile mają być podkupywani ludzie, którzy jeszcze w „GazWybie” zostali. Oj, dzieci, dzieci! Niby doświadczeni dziennikarze, a w konspirę bawić się nie potrafią.

Na koniec historia ze sfer dyplomatycznych. W MSZ źli ludzie mocno podśmiewają się ostatnio z Pałacu Andrzeja Sebastiana. A konkretnie z Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Otóż w BBN gościła ostatnia delegacja z Korei, która – jak wiadomo – stała się naszym głównym dostawcą czołgów i haubic tudzież innego szpeju. Delegacja została podjęta z najwyższą atencją. Kiedy jednak goście weszli na salę – skamienieli. Była przyozdobiona flagami polskimi i koreańskimi. Problem polega na tym, że ta koreańska była z północy, a nie z południa. ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

WYDAWNICTWO PROMIC ZAPRASZA NA SPOTKANIA TARGOWE!

XXVIII Targi Wydawców Katolickich w Arkadach Kubickiego na Zamku Królewskim w Warszawie, plac Zamkowy 4

26,90

23 kwietnia, w godz. 12.00 – 12.45
Sala Kinowa Zamku Królewskiego
spotkanie panelowe „Pokonaj depresję"
z Robertem Rutkowskim, psychoterapeutą.
Po spotkaniu gość będzie pełnił
dyżur ekspercki w stoisku Wydawnictwa.

Na Targach 30% rabatu na książki

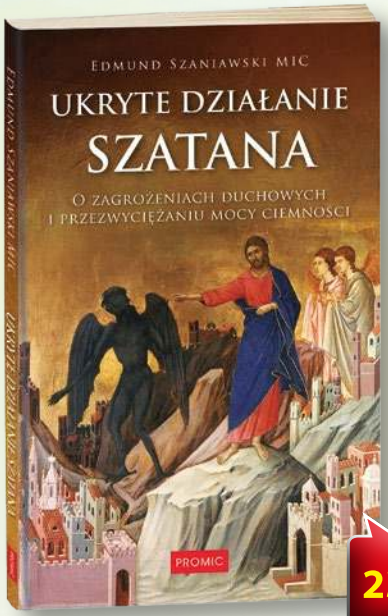

23,50

22 kwietnia,
w godz. 11.00 – 11.45
w namiocie przed wejściem
na Targi spotkanie panelowe
„Jak dziś pokonać szatana?
Jak odzyskać pokój ducha?"
z autorem ks. Edmundem
Szaniawskim, egzorcystą.
Po spotkaniu gość będzie
pełnił dyżur ekspercki
w stoisku Wydawnictwa.

25,00

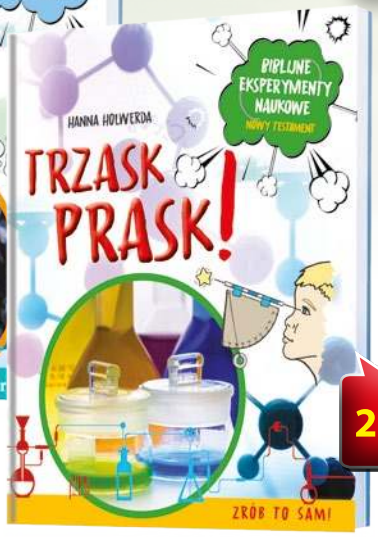

26,00

22 kwietnia, w godz. 13.00 – 14.20 do stoiska Wydawnictwa zapraszamy dzieci na FASCYNUJĄCE EKSPERYMENTY NAUKOWE m.in. z suchym lodem!

22 kwietnia, w godz. 14.30-17.30 stoisko Wydawnictwa
23 kwietnia, w godz. 13.00-15.00 stoisko Wydawnictwa
WARSZTATY ARTSTYCZNE m.in. malowanie buziek i rączek

Mega, ekstra, super! Ciekawe i bezpieczne!

cały plan spotkań na **www.wydawnictwo.pl**

• Do cen książek zakupionych w sklepie doliczamy koszty wysyłki.

WYDAWNICTWO PROMIC
ul. Św. Bonifacego 9/1, 02-914 Warszawa, tel. 22 651 90 54, e-mail: sprzedaz@wydawnictwo.pl

eprasa.pl d9a6dd6456

Polskie lasy mają się bardzo dobrze

Mimo odpowiadania na rynkowe zapotrzebowanie na drewno lasów w Polsce przybywa, a ich kondycja bardzo dobrze prezentuje się na tle innych europejskich krajów. Pozyskanie drewna odbywa się zgodnie z planem i bez uszczerbku dla przyrody – aktualnie to jeden ze strategicznych surowców, w pełni odnawialny

Polskie lasy zaliczają się do czołówki europejskiej pod względem zasobności (czyli ilości drewna na jednostce powierzchni lub prościej – liczby i rozmiaru drzew). Zasoby drewna to ponad 2 mld m sześc.! Taki stan zawdzięczamy położeniu w strefie klimatu umiarkowanego, a także konsekwentnie prowadzonej polityce leśnej. Drewno, które pozyskuje się w ciągu roku, to jedynie ok. 2 proc. tego, co rośnie w lasach, przez co stale zwiększa się zasobność polskich lasów. Zasobność zwiększa się mimo prowadzonych w lasach prac gospodarczych i milionów metrów sześciennych drewna, które rokrocznie pod różną postacią trafia do polskich domów. Jest dziś trzykrotnie wyższa niż po zakończeniu wojny!

Ponadto Polska ma imponującą lesistość. To nic innego, jak wskaźnik, który określa, w jakim stopniu określona powierzchnia jest pokryta lasem. Podawany jest w procentach, które obrazują stosunek powierzchni porośniętej lasami do całkowitej powierzchni danego obszaru. Obecnie lesistość Polski wynosi 29,6 proc., co oznacza, że lasy zajmują niemal trzecią część kraju. Nie zawsze tak było. W 1946 r. wskaźnik ten wynosił zaledwie 20,8 proc. Dzięki staraniom leśników powierzchnia lasów w Polsce wzrosła niemal o połowę! Takiego skokowego wzrostu lesistości nie ma na koncie żadne państwo Europy.

ZGODNIE Z PLANEM

Od prawie stu lat leśnicy, w myśl zasad zrównoważonej i wielofunkcyjnej gospodarki leśnej, dbają o polskie lasy. Podstawowym dokumentem, na którego podstawie nadleśnictwa prowadzą gospodarkę leśną, jest plan urządzenia lasu, zatwierdzany przez ministra właściwego do spraw środowiska. Powstaje raz na 10 lat, zawiera szczegółowy opis i ocenę stanu lasu oraz cele, zadania i sposoby prowadzenia gospodarki leśnej z uwzględnieniem m.in. zasad hodowli i użytkowania lasu, ochrony przyrody, krajobrazu czy różnorodności biologicznej. Opracowanie tego dokumentu jest złożonym procesem, w który zaangażowanych jest wielu specjalistów i naukowców, i trwa ok. trzech lat. Na każdym etapie jego powstawania jest zapewniony udział strony społecznej.

Po wejściu w życie planu w danym nadleśnictwie pozyskiwanie drewna odbywa się tam według ściśle określonych w nim limitów i w ściśle określonych miejscach. Nie ma możliwości wzrostu pozyskania drewna, bo zmieniła się koniunktura gospodarcza czy wzrosły ceny. Dlatego nie występuje w Polsce zjawisko „masowych wycinek", jak często się to rozpowszechnia w mediach. To planowe pozyskanie, określone często 10 lat temu i zatwierdzone przez ówczesne kierownictwo ministerstwa na podstawie opracowań ekspertów i danych naukowych.

> **Nie ma możliwości wzrostu pozyskania drewna, bo zmieniła się koniunktura gospodarcza czy wzrosły ceny**

eprasa.pl d9a6dd6456

Lasy Państwowe

Polscy leśnicy dbają o zrównoważoną i wielofunkcyjną gospodarkę leśną, tak aby polskiej gospodarce nie brakowało drewna, a Polakom lasów, gdzie mogą odpoczywać. Działają tak od dziesięcioleci i to dzięki nim leśne tereny z roku na rok się zwiększają, a lasy są w coraz lepszej kondycji.

CENY DREWNA

Obecne ceny drewna zostały wykreowane przez przedstawicieli przemysłu drzewnego, którzy biorą udział w procedurach aukcyjnych. Ostateczne ceny drewna to kwoty, jakie chcą za nie zapłacić przedsiębiorcy. Lasy Państwowe nie odpowiadają za ich wysokość. Pomimo wzrostu cen drewna na rynkach światowych ceny ofertowe jednostek PGL LP są niskie. Od wielu lat utrzymują się praktycznie na stałym poziomie. Dyskusja o tym, że to LP podyktowały ceny, jest próbą uwiarygodnienia w oczach opinii publicznej wzrostu cen towarów, która nie zależy od ceny surowca lub zależy tylko w pewnym zakresie.

Zasady sprzedaży drewna w Lasach Państwowych funkcjonują od 2009 r. zasadniczo w stałej i niezmienionej formie. W ubiegłym roku zmieniły się jedynie nieznacznie proporcje, w jakich drewno jest kierowane do sprzedaży w portalu leśno-drzewnym (70 proc.) i na aukcjach systemowych (30 proc.). Zwiększenie puli na aukcje systemowe wpływa na poprawę konkurencyjności na rynku. To konieczny warunek, aby umożliwić wejście na rynek nowym krajowym nabywcom i tym, którzy chcą rozwijać swoją działalność. Działanie to jest zgodne z wytycznymi UOKiK, na podstawie wyroku sądu.

Z EKSPORTEM DO CHIN LP NIE MA NIC WSPÓLNEGO

Drewno to ekologiczny i w pełni odnawialny surowiec. Jego głównym dostawcą do polskich przedsiębiorców i odbiorców indywidualnych są Lasy Państwowe. Często zarzuca się leśnikom masową wyprzedaż drewna do Chin. Czy słusznie? Ani trochę. Lasy Państwowe nie eksportują drewna do Chin ani do żadnego innego kraju na świecie, ponieważ w ogóle nie zajmują się eksportem tego surowca. Jest on sprzedawany legalnie działającym w Polsce podmiotom gospodarczym, w bardzo niewielkiej części również tym, które zostały zarejestrowane za granicą. To ok. 20 firm z Unii Europejskiej spośród 7 tys. kontrahentów figurujących w bazie klientów. Warto przypomnieć, że zasada swobodnego przepływu towarów i usług pochodzących z państw członkowskich leży u podstaw funkcjonowania UE. Od kilkunastu lat Lasy Państwowe posługują się w procesie sprzedaży specjalnymi narzędziami informatycznymi, które zapewniają transparentność wszystkich procedur i bezstronność przy wyborze kontrahentów. To, co robią z drewnem jego nabywcy, pozostaje ich indywidualną decyzją. Czy nabywca je wyeksportuje czy przerobi na miejscu i w jakim stopniu to zrobi, to jego autonomiczne prawo, w które nie można ingerować. W tym zakresie zachodzi niemal dokładnie taka relacja, jak między sklepem a kupującym. Gdy klient odchodzi od kasy, nikt nie ma prawa ingerować w to, co stanie się z zawartością jego koszyka. Jeśli będzie chciał ją wyekspediować za granicę, to kwestia ta zostanie przedmiotem zainteresowania służb celno-skarbowych, a nie sklepu. Wolność wyboru i możliwość podejmowania niezależnych decyzji leży u podstaw każdego demokratycznego państwa.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d9a6dd6456

Śledztwo w sprawie Łazarza

Wskrzeszenie Łazarza FOT. ADOBE STOCK

Paweł Lisicki z Jerozolimy

W Ewangelii Jana wskrzeszenie Łazarza to swego rodzaju punkt kulminacyjny. To ostatni wielki znak, który uczynił Jezus. To zapowiedź ostatecznego zmartwychwstania. Ale to także wydarzenie, które uruchamia fatalny mechanizm: pobudza strach władz żydowskich i wywołuje decyzję o usunięciu znienawidzonego Nazarejczyka. Wskrzeszając Łazarza, Jezus – pokazuje ewangelista – przypieczętował własną śmierć na krzyżu i jednocześnie otworzył bramę do Zmartwychwstania

Wieczorna kolacja w hotelu Mount of Olives. Stoję w kolejce po posiłek, obszerna sala jadalna, długie, prostokątne stoły, kilka okrągłych, przy jednym nasza ekipa filmowa z ks. Chrostowskim, który zna gospodarza. Właściwie, doszedłem szybko do przekonania, wszystkich zna. Miejsce, jakich wiele, ot jeden z tych dużych, może nie największych hoteli, których pełno jest na całym świecie. Jedzenie też dość typowe. Różnica może polega na tym, że wśród wystawionych przystawek są też humus i baba ghanoush, czyli danie z bakłażanów

eprasa.pl d9a6dd6456

i sezamu. Akcent orientalny, powiedzmy. Wystrój może przed laty wydawał się nowoczesny, teraz nieco trąci myszką. Wyraźne ślady mody lat 70. i coś, co często pojawia się w domach arabskich, czyli nadmiar blichtru. Na kolacji pełno ludzi, głównie są to pielgrzymi przybyli do Jerozolimy z całego świata. Języki się mieszają, zderzają, przeplatają nawzajem. Patrzę przez okno i nagle spada na mnie ta myśl: przecież to Jerozolima, święte miasto, miasto Dawida, wszystkich królów Izraela, ukochane miasto Boga, miejsce wybrane, góra Syjon, a przed sobą mam wspaniały, oszałamiający widok, teraz rozumiem, dlaczego ksiądz nam rekomendował to miejsce.

MIASTO PUSTYCH GROBÓW

Przed sobą mam zapierający dech w piersi widok na Jerozolimę nocą. Trudno to pogodzić – zwyczajne, banalne jedzenie i widok na miasto, które upodobał sobie przed trzema tysiącami lat JAHWE, Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, który objawił się w krzaku gorejącym Mojżeszowi i nakazał Salomonowi wzniesienie Świątyni, gdzie zamieszkał. Tam schroniła się Szechina, Boża obecność. Więc spada na mnie myśl, że podobnie święte miasto musiało się przedstawiać Chrystusowi w ostatnią noc przed pojmaniem i doprowadzeniem do siedziby Annasza i Kajfasza. Oczywiście to tylko podobieństwo. Jerozolima wtedy liczyła może kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, a jej najważniejszym punktem była nieistniejąca dziś świątynia, z nieprawdopodobnym rozmachem odbudowana przez Heroda Wielkiego. Inna, ale przecież jakoś ta sama. Myśli tej nie da się długo utrzymać. Ginie rozproszona przez gwar, rozmowy, zmęczenie.

Jesteśmy po kilku godzinach zdjęć, po wielogodzinnych rozmowach do filmu „Kto zabił Jezusa?". Jeszcze niedawno siedzieliśmy w promieniach słońca u stóp Góry Oliwnej, w Getsemani, w miejscu, gdzie z uczniami przebywał Chrystus. Tłumy pielgrzymów i turystów, dziś nie jest łatwo odróżnić jednych od drugich, przewalają się po ogrodzie. Przewodnicy zatrzymują się zwykle w dwóch punktach charakterystycznych – przy najstarszym drzewku oliwnym, które choć nie pamięta samo czasów Jezusa z Nazaretu, to już jego korzenie może tak, i przy nowej oliwce zasadzonej przez Pawła VI. Jest listopad, ale słońce nie daje za wygraną i im bliżej południa, tym goręcej. Wchodzimy do kościoła wszystkich narodów, liczącej raptem sto lat bazyliki wybudowanej w stylu bizantyjskim, zarządzanej przez franciszkanów. Jak niemal wszystkie inne kościoły jerozolimskie, tak ten został zbudowany na starych fundamentach. Poprzedzały go świątynia bizantyjska z IV w. (pozostały ociosane bloki skalne i skała w nawie głównej) i krzyżowców. Przed wejściem gęstnieje tłum. W środku księża sprawują mszę – akurat trafiam na liturgię po angielsku, to katolicy ze Stanów Zjednoczonych. Korzystam z krótkiej przerwy w nagraniach, wychodzę z kościoła i idę pod górę, w stronę kaplicy Dominus Flevit. Po paru minutach dochodzę do przepięknej cerkwi św. Marii Magdaleny. Inaczej niż w kościele Wszystkich Narodów panuje tu cisza, widać kilku jakby zabłąkanych pielgrzymów. Zdobi ją siedem słynnych złotych kopuł, przycupniętych na białych ścianach piaskowca. Budynek został wzniesiony za sprawą cara Aleksandra III. Od półtora wieku błyszczy radośnie i zwycięsko, chwaląc pamięć tej, która jako pierwsza zapewne spotkała Zmartwychwstałego, tej, którą tradycja nazwała „apostołką apostołów". W środku przy wejściu siedzi stara mniszka, dwie inne pracują w dzikim, nasyconym barwami kwiatów i zapachami ogrodzie.

Maria Magdalena, ta, która pierwsza poszła z innymi kobietami do grobu Pana i znalazła pusty grób. Nie po raz pierwszy uświadamiam sobie tę dziwność: Jerozolima to jedyne miasto na świecie, gdzie czci się puste groby. Nie groby ze zwłokami, ale właśnie groby puste. Uczucie osobliwości nigdzie nie jest równie mocne jak w tłumie, który tłoczy się w kolejce do kaplicy Anastasis w bazylice Grobu Świętego: to tam spoczywały zwłoki Chrystusa i tam trzeciego dnia o poranku, pierwszego dnia tygodnia, licząc według kalendarza żydowskiego, powstał On z martwych. Żeby wejść do krypty, czekam trochę więcej niż godzinę, potem do kapliczki grecki mnich wpuszcza na chwilę modlitwy trzy osoby. Trudno się skupić i oderwać od otoczenia. Najważniejsze, doszedłem do wniosku, to żeby dotknąć leżącej przede mną kamiennej płyty. Przykrywa ona inną płytę, na której spoczywać miały zwłoki Chrystusa. Kamień jest gładki, wypolerowany wręcz milionami dłoni i pocałunków przez wieki. Jednak pusty grób Chrystusa nie jest jedynym pustym w Jerozolimie – pół godziny piechotą od Ogrodu Oliwnego, gdzie kręciliśmy film, znajduje się tzw. grób Łazarza. Schodzi się do niego wykutymi w XVII w. schodami. Pierwotne wejście jest zamknięte i znajduje się na terenie meczetu, franciszkanie kupili od muzułmanów prawo wykucia schodów dopiero w 1613 r. Przypomina to do złudzenia sytuację w samej bazylice Grobu, gdzie też formalnie klucze do niej dzierży od wieków jedna muzułmańska rodzina. Wrażenie wszechobecności islamu towarzyszyć musi chrześcijanom podczas każdej wyprawy na Stare Miasto, kiedy to raz po raz, nie zważając na ciągnące po Via Dolorosa procesje, śpiewy i modlitwy, zagłusza ryk muezzina.

CÓRKA JAIRA, MŁODZIENIEC Z NAIN

Grób Łazarza w Jerozolimie przypomina o być może największym cudzie dokonanym za życia Jezusa. Ewangelie według świętych Marka i Mateusza opisują wskrzeszenie córki Jaira, przełożonego synagogi w Kafarnaum, Ewangelia według św. Łukasza przedstawia historię przywrócenia do życia młodzieńca z Nain. W obu przypadkach jednak wskrzeszenie ma miejsce wkrótce po zgonie. Wyraźnie piszą o tym zarówno św. Marek, jak i św. Mateusz. Ten pierwszy stwierdza, że do Jezusa przybył Jair, przełożony synagogi, i błagał go o pomoc: „»Moja córeczka dogorywa, przyjdź i połóż na nią ręce, aby ocalała i żyła«" (Mk 5, 23). Jezus rusza natychmiast. Według św. Marka córeczka znajduje się w stanie agonii – dlatego Jair mówi, że ona „dogorywa". Błaga on Jezusa o uleczenie. Mateusz idzie dalej: Jair przybywa do Jezusa, wiedząc, że jego córka już nie żyje. „Gdy to mówił do nich, pewien zwierzchnik [synagogi] przyszedł do Niego i, oddając pokłon, prosił: »Panie, moja córka dopiero co skonała, lecz przyjdź i włóż na nią rękę, a żyć będzie«. Jezus wstał i wraz z uczniami poszedł za nim" (Mt 9, 18–19). Według Mateusza Jair wierzy, że Jezus może przywrócić córkę do życia. Można się oczywiście pytać, jaka była różnica między twierdzeniem, że

eprasa.pl d9a6dd6456

córka „dogorywa", a tym, że „właśnie skonała". Pewne jest jedno: od chwili śmierci córki do chwili przybycia Jezusa do domu Jaira nie mogło minąć wiele czasu.

W przypadku opisu Łukasza można to wywnioskować ze znajomości tradycji i obyczajów żydowskich. Wiadomo, że zgodnie z nimi pogrzeb następował następnego dnia po śmierci. A skoro tak, można zakładać, że od chwili zgonu do momentu, kiedy to zrozpaczona matka spotyka Jezusa u bram miasta, minęło zaledwie kilkanaście, nie więcej niż 30 godzin. „Gdy zbliżył się do bramy miejskiej, właśnie wynoszono umarłego – jedynego syna matki, a ta była wdową" (Łk 7, 12). Ten krótki okres od chwili śmierci do momentu wskrzeszenia ułatwił ataki oświeceniowych krytyków, którzy z zasady odrzucali wiarę w cuda i przede wszystkim wiarę w moc wskrzeszania zmarłych. Mogli utrzymywać, że w obu przypadkach chodziło o śmierć pozorną.

Starożytni, dowodzili racjonaliści, nie mieli takiej wiedzy medycznej jak my dzisiaj i dlatego mogli się łatwiej i częściej mylić, co się tyczy stwierdzenia zgonu. Częściej mogli brać za śmierć przypadki zapaści, letargu, może omdlenia czy śpiączki. Mając do czynienia ze śmiercią pozorną, uważali ją za prawdziwą i dlatego mogło się zdarzyć, tak w przypadku córki Jaira, jak młodzieńca z Nain, że Jezus nie tyle ich wskrzesił, a więc przywołał do życia ze stanu śmierci, ale obudził. Dlatego św. Marek pisał o dogorywaniu, a Mateusz o śmierci. Poza tym w miarę czasu postać Jezusa otaczano coraz większą czcią i to, co może było uleczeniem, zmieniło się we wskrzeszenie. Niczego nieświadomi uczniowie rozpowszechniali później opowieści o wskrzeszeniu. Przy tym jest to wersja dla chrześcijan pozytywna: wprawdzie uczniowie okazali się ignorantami i nieświadomymi niczego powielaczami bajek, ale nie wynikało to z ich złej woli, tylko z niewiedzy.

W kręgach XVIII-wiecznych deistów nie mniejszym wzięciem cieszyła się druga wersja tej opowieści, zgodnie z którą uczniowie celowo wprowadzali innych w błąd i budowali w ten sposób pozycję swojego Mistrza i swoją własną. Zwolennikiem tej tezy był choćby XVIII-wieczny profesor z Hamburga Hermann Samuel Reimarus, uchodzący dziś za założyciela szkoły historyczno-krytycznej. Według niego niegodziwość uczniów była tak wielka i zapiekła, że świadomie kłamali na temat Zmartwychwstania Chrystusa. Podobnie zresztą świadomie kłamali, opowiadając o wskrzeszeniach. To uczniowie zatem wykradli z grobu zwłoki i później ogłosili, że ich Nauczyciel powstał z martwych. Obecnie hipoteza ta jednak nie znajduje już wyznawców, bo też skutecznie wyśmiał ją inny krytyk, David Friedrich Strauss. Zauważył on, że mimo najlepszych chęci nie da się przyjąć, że uczniowie wykradli ciało swego mistrza, a potem w imię tego kłamstwa znosili męczeństwo. Przy czym Strauss tak jak deiści czy agnostycy odrzucał prawdziwość cudów i Bożej ingerencji w stworzony świat.

Wprawdzie te racjonalistyczne tezy wcale nie są takie racjonalne, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. To prawda, że ogólna i teoretyczna wiedza starożytnych, w tym przypadku żydowskich mieszkańców Galilei, na temat medycyny była nieporównywalnie mniejsza niż nasza. Jednak nie da się tego powiedzieć o wiedzy praktycznej i szczegółowej. Być może starożytni nie znali tak jak współcześni uczeni przyczyn śmierci, działania różnych organów człowieka i ogólnych zasad funkcjonowania naszego organizmu. Ale, z drugiej strony, nieporównywalnie częściej i bardziej bezpośrednio od nas stykali się z chorobą i ze śmiercią. O ile współczesny człowiek obserwuje śmierć i agonię co najwyżej w telewizji, ewentualnie, być może w szpitalu, gdy dotyka jego najbliższych, o tyle wcześniejsze pokolenia doświadczały jej na co dzień. Można by wręcz powiedzieć, że zdolność odróżniania żywego od śmiertelnika była przez wieki umiejętnością powszechną. Ludzie nie potrzebowali lekarza, specjalisty, który stwierdzi zgon, sami posiadali konieczną umiejętność takiego rozróżniania.

Poza tym, i to powód drugi, tak w przypadku córki Jaira, jak młodzieńca z Nain można być pewnym, że jego najbliżsi zrobili wszystko, by uratować swoje dzieci. Na pewno nie poddaliby się, gdyby – czy to w przypadku córki, czy też młodzieńca – pozostał choćby cień nadziei. Czy można sobie wyobrazić, że czekający na Jezusa słudzy Jaira pozwoliliby sobie na drwiny i szyderstwa, gdyby pozostała w nich jakakolwiek wątpliwość co do stanu córki przełożonego? Podobnie: czy matka młodzieńca nie czepiałaby się rozpaczliwie każdej oznaki życia? I czy w jej wiosce brakowało innych ludzi doświadczonych, znających doskonale różnicę między życiem a śmiercią, co najmniej równie dobrze jak wielu współczesnych specjalistów?

PRZYPADKOWA ZBIEŻNOŚĆ IMION

Jednak największy kłopot racjonaliści mieli nie z opowiadaniem o wskrzeszeniu córki Jaira czy młodzieńca z Nain, ale z przekazanym przez św. Jana opisem przywrócenia do życia Łazarza.

Po pierwsze, jest ono najdłuższe, najbardziej dokładne i zawiera wiele szczegółów. Podane są imiona głównych bohaterów: „Był pewien chory, Łazarz z Betanii, z miejscowości Marii i jej siostry Marty" (J 11, 1). Łazarz to skrót imienia Eleazar, które oznacza tego, któremu pomaga Bóg. Pojawia się ono w Nowym Testamencie jeszcze tylko raz, w przypowieści Jezusa o bogaczu i żebraku, właśnie noszącym imię Łazarz, w 16 rozdziale św. Łukasza. Co ciekawe, jest to jedyny przypadek przypowieści, w której bohater ma konkretne imię, co zresztą skłoniło wielu racjonalistycznych krytyków do przekonania, że św. Jan znał tę przypowieść i dlatego wykreował swoje opowiadanie o Łazarzu, opierając się na przekazie Łukasza.

Hipoteza ta jednak nie ma żadnych historycznych podstaw. Przemawiają za nią jedynie zbieżność imion oraz to, że w obu przypadkach w pewnym sensie rzecz dotyczy losów pośmiertnych. Trudno tu mówić wszakże o jakiejkolwiek analogii. Łazarz z przypowieści jest biedakiem i żebrakiem, Łazarz w Ewangelii św. Jana najprawdopodobniej człowiekiem znaczącym i zamożnym. To w Betanii, w obecności Łazarza, przygotowano Jezusowi ucztę i to w jego obecności jego siostra Maria wzięła „funt szlachetnego i drogocennego olejku nardowego i namaściła Jezusowi nogi, a włosami swymi je otarła" (J 12, 3).

Łazarz z przypowieści jest samotny i nie ma nikogo, kto by się o niego zatroszczył, Łazarz z Ewangelii Jana ma

eprasa.pl d9a6dd6456

dwie siostry, które go kochają, opiekują się nim i opłakują go. Nic zatem nie łączy tych dwóch postaci. Jeśli wziąć pod uwagę, że imię Łazarz należało w owym czasie i w owym miejscu – to jest na terenach żydowskiej Galilei i Judei – do najbardziej popularnych, to nie sposób bronić tezy o tożsamości obu postaci.

Dodatkowym argumentem przeciw łączeniu obu Łazarzy – tego z przypowieści i tego z opowieści o wskrzeszeniu – jest to, że żaden z tekstów nie odwołuje się do symbolicznego znaczenia imienia. Wszystko to wskazuje na autentyczność przekazu Jana i stanowi dlatego tak poważne wyzwanie dla racjonalistycznych krytyków.

Zresztą wiedza na temat częstotliwości występowania imion żydowskich w pismach, dokumentach, inskrypcjach nagrobnych z terenu starożytnej Palestyny pomogła udowodnić, jak bardzo Nowy Testament bliski jest epoce, którą opisuje, i jak bardzo pasuje do kontekstu historycznego, do epoki, w której żył sam Jezus. Żydowskie imiona na kartach Ewangelii występują w sensie statystycznym w takiej samej proporcji jak imiona żydowskie znane i przekazane przez niechrześcijańskie źródła, które pochodzą z tego samego czasu i miejsca. To zestawienie imion – Łazarz, Maria, Marta – nie pojawia się ani w dokumentach pochodzących z obszaru pogańskiego, ani w hellenistycznej diasporze żydowskiej.

NIEPOKOJĄCE OPÓŹNIENIE

Po drugie, o ile w przypadku śmierci córki Jaira od chwili zgonu do momentu wskrzeszenia mogło minąć raptem kilka godzin, a w przypadku młodzieńca godzin kilkanaście, o tyle – jak podkreśla ewangelista – Łazarz spoczywał w grobie cztery dni! Więcej: właśnie sam Pan Jezus postanowił poczekać z przybyciem, żeby nikt nie miał wątpliwości co do faktu śmierci Łazarza. Można byłoby wręcz powiedzieć, że gdyby nie charakter śmierci – Łazarz umarł wskutek choroby, a Jezus gwałtownie na krzyżu – sam czas przebywania w grobie był w przypadku tego pierwszego dłuższy i śmierć w tym sensie bardziej pewna.

„Siostry zatem posłały do Niego wiadomość: »Panie, oto choruje ten, którego Ty kochasz«. Jezus usłyszawszy to, rzekł: »Choroba ta nie zmierza ku śmierci, ale ku chwale Bożej, aby dzięki niej Syn Boży został otoczony chwałą«. A Jezus miłował Martę i jej siostrę, i Łazarza. Mimo jednak że słyszał o jego chorobie, zatrzymał się przez dwa dni w miejscu pobytu" (J 11, 3–6). Ci, którzy znają moje książki, wiedzą, że praktycznie każde zdanie każdej Ewangelii może posłużyć w oczach współczesnych krytyków za dowód przeciw prawdzie wiary: jedni dowodzą, że nie mogło ono paść w danym kontekście historycznym, inni starają się dowieść, że pokazuje ono ciasność myśli i brak miłości. Nic dziwnego, że tak właśnie, jako przejaw braku miłosierdzia, interpretuje zachowanie Jezusa jeden z najbardziej popularnych współcześnie krytyków Nowego Testamentu, Bart Ehrman. Pisze, że przytoczone tu słowa to „jeden z najbardziej znaczących wersetów całego Nowego Testamentu". Dlaczego? Bo, w domyśle, skoro „Jezus miłował Martę i jej siostrę, i Łazarza", to jak mógł nie pospieszyć im od razu na ratunek? „Oto jak bardzo kochał Łazarza!" – pisze amerykański autor. I dodaje z taką samą ironią: „Gdy usłyszał, że on [Łazarz] jest chory, pozostał z daleka". Okazuje się, można sądzić, że nawet wytłumaczenie postępowania Jezusa, które podaje św. Jan – Jezus chciał wskrzesić Łazarza i pokazać swoją chwałę jako Syna Bożego – współczesnemu krytykowi nie wystarcza. Jakże to tak? Dla czegoś równie efemerycznego i niejasnego jak chwała Syna Bożego ryzykować cierpienie i życie człowieka, którego się kocha? Czy na tym może polegać miłość?

Przytaczam te opinie, bo są one typowe i pokazują, co się dzieje z przesłaniem ewangelicznym, gdy znika wiara w życie wieczne, świętość i chwałę Boga. Te zarzuty miałyby sens tylko wtedy, gdyby Jezus nie był takim, jakim przedstawia Go św. Jan.

Oczywiście wspomniany przeze mnie krytyk nie jest jedynym, który ma problem z informacją o tym, że Jezus przybył do Betanii z opóźnieniem. Z tego punktu widzenia kluczowa jest wiadomość, że „kiedy Jezus tam przybył, zastał Łazarza już od czterech dni spoczywającego w grobie" (J 11, 17). Cokolwiek by powiedzieć na temat pozornej śmierci i jej możliwych przypadków, trudno uznać, żeby dało się przypisać ją Łazarzowi.

Tak jak w przypadku córki Jaira i młodzieńca z Nain można być pewnym, że obie siostry walczyły o jego życie do końca. Tak jak w przypadku pozostałych na pewno czepiały się kurczowo wszelkich oznak życia. Co więcej, za autentycznością zgonu przez Łazarza przemawia inny ważny argument: siostry czekały na Jezusa i wierzyły w Jego cudotwórczą moc. Posłały do Niego wiadomość o chorobie, bo były pewne, że, jak to ujęła Marta: „Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł" (J 11, 21). To samo zresztą powtarza jej siostra, Maria. Wreszcie to samo mówią inni obecni: „»Czy Ten, który otworzył oczy niewidomemu, nie mógł sprawić, by on nie umarł?«". Te słowa pojawiają się na ustach niektórych Żydów. Ale tym bardziej jeśli mówią to „niektórzy Żydzi", czy właśnie takiej pewności nie miały obie siostry? Czy nie pojawia się tu lekka nutka żalu? Zapewne. Na tym zresztą polega geniusz literacki św. Jana, że chociaż pisał, już wiedząc o wskrzeszeniu Łazarza, potrafił tak doskonale oddać tę atmosferę czujnego oczekiwania. A więc jest jasne: siostry były pewne, że przyjście Jezusa pozwoli wyzdrowieć Łazarzowi. Nie dałyby się zatem zwieść. Do końca czekały. Do chwili, kiedy śmierć była całkowicie pewna.

ON CUCHNIE

W całym opisie nie ma śladu wątpliwości co do tego, że Łazarz faktycznie zmarł. „A Jezus ponownie, okazując głębokie wzruszenie, przyszedł do grobu. Była to pieczara, a na niej spoczywał kamień. Jezus rzekł: »Usuńcie kamień!«. Siostra zmarłego, Marta, rzekła do Niego: »Panie, już cuchnie. Leży bowiem od czterech dni w grobie«" (J 38–39). To, że po czterech dniach zwłoki cuchną, i to, że mówi tak o nich siostra, która do końca walczyła z miłością o życie brata, jest wspaniałym dowodem Janowego realizmu. Owszem, Marta wierzy, że Jezus jest Mesjaszem, ale nie pozwala swej wierze domagać się cudu. Wiara Marty jest pokorna, posłuszna. Niczego nie narzuca i niczego nie rozkazuje. Wyznaje: „»Ja mocno wierzę, żeś Ty jest Mesjasz, Syn Boży, który miał przyjść na świat«". Ale mimo, że stoi obok tego, w którym właśnie widzi Syna Bożego, nie śmie prosić o łaskę wskrzeszenia. Do końca zachowuje realizm. Po czterech

eprasa.pl d9a6dd6456

dniach zwłoki złożone w pieczarze cuchną. Jest wprawdzie wczesna wiosna, noce bywają chłodne, ale dni mogą już być bardzo ciepłe.

To Jezus mówi, by odsunięto kamień. Marta jedynie posłusznie nakazuje wykonać polecenie. Wtedy padają te ostateczne słowa: „»Łazarzu, wyjdź na zewnątrz!«. I wyszedł zmarły, mając nogi i ręce powiązane opaskami, a twarz jego była zawinięta chustą. Rzekł do nich Jezus: »Rozwiążcie go i pozwólcie mu chodzić!«" (J 43, 44). Łatwo zauważyć, że także ten opis podkreśla realność śmierci i wskrzeszenia. Łazarz wychodzi obwiązany opaskami, na twarzy ma chustę. W takim stanie – leżąc owinięty i zasłonięty, bez możliwości oddychania i poruszania się – nie mógł przeżyć w pieczarze czterech dni i nocy. Wskrzeszenie Łazarza to bez wątpliwości zapowiedź przyszłego Zmartwychwstania Chrystusa. Z tego punktu widzenia wspomnienie powiązania rak i nóg opaskami i osłonięcie twarzy wskrzeszonego chustą ma ogromne znaczenie: pokazuje nie tylko realność zdarzenia, lecz także wyższość powstania z martwych Chrystusa. Łazarz wraca do życia ziemskiego, zwykłego, dotychczasowego, o czym przypominają opaski i chusta, które ma na sobie. Chrystus pokonuje śmierć raz na zawsze, o czym świadczy to, że opaski i chusta pozostały w grobie. To widzi Piotr, gdy wchodzi do pustego grobu Chrystusa: „Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą na jednym miejscu" (J 20, 6–7).

PUNKT KULMINACYJNY

W Ewangelii Jana wskrzeszenie Łazarza to swego rodzaju punkt kulminacyjny. To ostatni wielki znak, który uczynił Jezus. To zapowiedź ostatecznego zmartwychwstania. Ale to także wydarzenie, które uruchamia fatalny mechanizm: pobudza strach władz żydowskich i wywołuje decyzję o usunięciu znienawidzonego Nazarejczyka. Wskrzeszając Łazarza, Jezus – pokazuje ewangelista – przypieczętował własną śmierć na krzyżu i jednocześnie otworzył bramę do Zmartwychwstania.

Wskrzeszenie Łazarza było punktem zwrotnym. Obecni przy tym Żydzi idą do faryzeuszów. Ci wraz z saduceuszami zwołują Wielką Radę, która decyduje wydać na Jezusa wyrok śmierci. To pod wpływem szoku wywołanego wieścią o wskrzeszeniu Łazarza zostaje powszechnie przyjęta opinia Kajfasza: „Lepiej jest dla was, gdy jeden człowiek umrze za lud, niż miałby zginąć cały naród" (J 11, 50). Jezus dowiaduje się o tym. Ukrywa się w miasteczku Efraim, skąd dopiero ruszy na święto Paschy do Jerozolimy. Wie już, że po wskrzeszeniu Łazarza jego los został przesądzony. „Arcykapłani zaś i faryzeusze wydali polecenie, aby każdy, ktokolwiek będzie wiedział o miejscu Jego pobytu, doniósł o tym, aby Go można było pojmać" (J 11, 57). Od tego momentu życie Jezusa i życie przywróconego przez niego do życia splatają się dodatkowym węzłem. Żywy Łazarz staje się w oczach wrogów Jezusa niebezpiecznym znakiem Jego mocy i prawdziwości misji. Ewangelia Jana pokazuje to, gdy opisuje ucztę w Betanii, w której to biorą udział Marta, Maria i Łazarz. O ile pozostałe Ewangelie wspominają o namaszczeniu Jezusa przez Marię, o tyle milczą o obecności Łazarza. Tymczasem św. Jan pisze: „Wielki tłum Żydów dowiedział się, że tam jest; a przybyli nie tylko ze względu na Jezusa, ale także by ujrzeć Łazarza, którego wskrzesił z martwych. Arcykapłani zatem postanowili stracić również Łazarza, gdyż wielu z jego powodu odłączyło się od Żydów i uwierzyło w Jezusa" (J 12, 9–10). Ma zginąć nie tylko Jezus, lecz także Łazarz. Jego wina? Jest żywym znakiem chwały Jezusa. Umarł był, a ożył. Te słowa to ostatnie wspomnienie o Łazarzu na kartach Nowego Testamentu.

GDYBY SPINOZA UWIERZYŁ

Od samego początku krytycy chrześcijaństwa starali się robić wszystko, co możliwe, żeby zanegować władze wskrzeszania zmarłych, którą Ewangelie przypisały Jezusowi. To naturalne. O ile inne cuda – uzdrowienie paralityka, trędowatych, kobiety cierpiącej na upływ krwi, chromych, a nawet ślepych – choć przekraczały naturalne zdolności człowieka, można było jeszcze zracjonalizować (możliwe oszustwo, brak dokładnych informacji, pobudzenie emocjonalne), o tyle wskrzeszenie człowieka byłoby cudem w ścisłym znaczeniu nadprzyrodzonym i wymagającym użycia Bożej potęgi. Co tu dużo mówić, taki cud ożywienia tego, co umarłe i martwe, mógłby sprawić jedynie Wszechmocny Bóg. Jak inaczej przywrócić do życia ciało? Jak inaczej dać mu znowu duszę? Jak przejść od tego, co całkowicie umarłe, od trupa, zwłok, do żywej osoby?

Tak jak Bóg stworzył coś z niczego, tak też z tego, czego już nie ma, powołał do życia to, co jest. Gdyby taka władza należała do człowieka i gdyby swobodnie mógł nią dysponować, miałby moc iście boską. Dokładnie to pragnie nam przekazać Ewangelia według św. Jana. Gdy Jezus woła, by Łazarz wyszedł z grobu, zachowuje się jak Bóg. Dlatego wszyscy przeciwnicy Kościoła starali się wykazać, że opowieści o wskrzeszeniach, na czele z opisem wskrzeszenia Łazarza, to po prostu produkt wyobraźni wczesnego Kościoła. Pod tym względem nowożytni racjonaliści niewiele różnią się od starożytnych.

Krytycy chrześcijaństwa od początku robili wszystko, aby zanegować władzę wskrzeszania zmarłych przypisywaną Jezusowi

Pierwszym zapewne przykładem takiego odrzucenia wiarygodności opisu Jana była krytyka pogańskiego filozofa Celsusa, który pisał w drugiej połowie II w. po Chr. Nie znamy w całości jego pisma skierowanego przeciw chrześcijanom, zachowały się jedynie fragmenty przechowane w replice aleksandryjskiego teologa Orygenesa, który żył na przełomie wieków II i III po Chr. Najważniejsze, że w odpowiedzi na zarzuty Celsusa Orygenes sformułował argument na rzecz wiarygodności opisów wskrzeszenia, który, mimo że od tamtego czasu minęło już XIX wieków, nic nie stracił ze swojej mocy.

Pisze otóż Aleksandryjczyk, że dowodem prawdziwości opisów wskrzeszenia zmarłych przez Chrystusa jest to, że gdyby opisy te zostały wymyślone, Pismo Święte roiłoby się od wskrzeszonych zmarłych, i to takich, którzy spoczywaliby w grobie latami. „Ponieważ jednak nie

eprasa.pl d9a6dd6456

jest to wymysł, wspomina się [w Piśmie] jedynie o niewielu, a mianowicie o córce zarządcy synagogi, dalej o jedynym synu wdowy, a jako o trzecim o Łazarzu, który w grobie już leżał cztery dni". Rzeczywiście, to jest argument trudny do zbicia. Jeśli autorzy Ewangelii mieli taką swobodę w wymyślaniu cudów, to dlaczego zamiast o trzech przypadkach wskrzeszenia nie wspominają o 10 czy 20?

Dodałbym też jeszcze jedno: Dlaczego piszą o tak nieznaczących postaciach jak córka Jaira lub syn wdowy w Nain? Zresztą, chociaż św. Jan przypisuje wskrzeszeniu Łazarza duże znaczenie, to inni ewangeliści potrafili się bez niego doskonale obejść. Można sobie zatem wyobrazić, że gdyby ewangeliści wymyślali wskrzeszonych, to mogliby, z nowszych, wspomnieć o Janie Chrzcicielu, a ze starszych np. o królu Dawidzie, którego grób znajdował się w Jerozolimie za czasów Jezusa. Mówił apostoł Piotr: „Bracia, wolno powiedzieć do was otwarcie, że patriarcha Dawid umarł i został pochowany w grobie, który znajduje się u nas aż po dzień dzisiejszy" (Dz 2, 29). Nic prostszego, by zręczny chrześcijański autor wprowadził wskrzeszenie Dawida do Ewangelii.

Ataki na wiarygodność opowieści o wskrzeszeniu Łazarza nasiliły się w okresie nowożytnym. Tak jak w starożytności pogańskiej doskonale zdawano sobie sprawę ze stawki, o jaką toczy się gra. Wiarygodność i prawdziwość opowieści oznaczały, że chrześcijanie mieli rację i Chrystus jest prawdziwym Bogiem. Rozumiał to największy przeciwnik religii objawionej, nadprzyrodzoności, cudów i wiary, czyli Benedykt Spinoza. Jak podawał jeden z jego zwolenników, ojciec oświecenia i obrońca tezy o moralności ateizmu Pierre Bayle w „Słowniku historycznym i krytycznym", wskrzeszenie Łazarza miało dla Spinozy znaczenie kluczowe. „Gdyby ktoś mógł go przekonać, że wskrzeszenie Łazarza było faktem, rozbiłby w drobny mak cały swój system i przyjąłby prostą, chrześcijańską wiarę". To, że Spinoza tego nie zrobił, nie wynikało z braku argumentów i zdolności przekonywania współczesnych mu chrześcijan, ale z wewnętrznego nastawienia, wrogiego wobec wszelkiego objawienia i opartego na nim autorytetu.

Półtora wieku po Spinozie autentyczność przekazu o wskrzeszeniu Łazarza odrzucił, wspomniany tu już, niemiecki teolog David Friedrich Strauss. Nie sądzę, żeby było to imię, które wiele mówi polskim czytelnikom. A jednak to właśnie Strauss, autor napisanego w 1835 r. dzieła „Das Leben Jesu" (tylko rok później niż wydanie „Pana Tadeusza" i w tym samym roku co „Nie-Boska komedia" Zygmunta Krasińskiego), w decydujący sposób, chciałoby się powiedzieć, wpłynął na losy Zachodu. W książce dowodził, że Ewangelie to zestaw mitów, które zrodziły się z potrzeby wiary i bogatej wyobraźni pierwszych chrześcijan. Strauss, uczeń Hegla, to duchowy ojciec Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Ten pierwszy od Straussa wziął przekonanie, że fałszywość religii jest rzeczą udowodnioną, a krytyka religii została raz na zawsze przeprowadzona, ten drugi pod wpływem niemieckiego teologa z wierzącego protestanta został zaprzysięgłym ateistą. Książka Straussa do dziś jest ważnym punktem odniesienia dla wszystkich racjonalistów, często przywołuje ją choćby (z aprobatą) Dale C. Allison, profesor teologii z Princeton Theological Seminary, być może jeden z najbardziej wpływowych współczesnych protestanckich teologów.

Strauss zdecydowanie odrzuca historyczną wartość przekazu św. Jana. To, że jakikolwiek człowiek mógłby wskrzesić drugiego, całkowicie przekracza zdolność pojmowania – twierdził. Według niego opowieść o wskrzeszeniu Łazarza jest rozwinięciem i wzbogaceniem wcześniejszych opisów wskrzeszenia z innych Ewangelii. Strauss odpowiada też na zarzut, który wcześniej przedstawiłem, czyli na pytanie, dlaczego, jeśli ewangeliści dysponowali tak wielką swobodą kreacji, nie zdecydowali się opisywać wskrzeszenia znanych postaci historycznych, a opisywali tak mało znaczące jak córka Jaira, syn wdowy z Nain czy Łazarz. Otóż przyczyną było, pisze, Strauss, to, że wybierali sobie bohaterów, którzy nie zostawili wyraźnych śladów w ludzkiej pamięci.

Łatwo zauważyć, że w ten sposób Strauss myli współczesną sobie pamięć z tym, co mogło być lub mogło nie być zachowane w pamięci współczesnych Jezusa. Jak wszyscy inni racjonaliści, nie potrafi odpowiedzieć, co się stało ze świadkami wydarzeń przedstawionych w Ewangeliach. W przypadku Łazarza byli to on sam, jego dwie siostry, uczniowie Jezusa i tłum przybyłych z Jerozolimy Żydów. W przypadku Jaira on sam, jego żona, słudzy drwiący z Jezusa, towarzyszący Jezusowi tłum, uczniowie, a przede wszystkim wskrzeszona dziewczynka. Jeśli chodzi o Nain, była to wdowa, wskrzeszony syn oraz pochód żałobników. Czy wszyscy ci ludzie nagle zniknęli z powierzchni ziemi? Czy przekaz ustny między pokoleniami, tak ważny w kulturze w ograniczonym stopniu piśmiennej, nie był wystarczającym gwarantem wiarygodności? Najważniejszym zarzutem Straussa przeciw historyczności opisu Jana jest fakt, podnoszony zresztą przez wielu wcześniej, a mianowicie brak tego przekazu w pozostałych Ewangeliach, świętych Mateusza, Marka i Łukasza. Według Straussa ewangelista stworzył opowieść o wskrzeszeniu Łazarza, odwołując się do mitów pogańskich z jednej strony, a do opowieści o wskrzeszeniach dokonanych przez Eliasza i Elizeusza ze Starego Testamentu z drugiej strony.

WRAŻENIA CZY HISTORIA

To postawa charakterystyczna, powtarzam, dla większości racjonalistów. Sądzą oni, że opowieść o wskrzeszeniu prawdziwa być nie mogła. Została zatem wymyślona. Ich zdaniem chrześcijanie byli entuzjastami, ludźmi w stanie euforii i uniesienia, popadającymi w ekstazę. Często ulegali wizjom, za rzeczywistość uznawali przywidzenia. Ich wiara wyrażała się zatem w tworzeniu opowieści, które należy rozumieć symbolicznie. Niestety, stopniowo w podobnym kierunku zmierzają też egzegeci chrześcijańscy, także katoliccy.

Na przykład autor najobszerniejszej zapewne książki na temat wskrzeszenia Łazarza, niemiecki teolog Jacob Kremer, najpierw przedstawił trzy możliwe odpowiedzi na pytanie o historyczność opowieści Jana o Łazarzu: albo jest to czysta kreacja wczesnego Kościoła bez oparcia w rzeczywistej działalności Jezusa, albo rozwinięcie przez Kościół przekazu o uzdrowieniu, albo zapis historycznego świadectwa. Autor słusznie zauważa zasadnicze różnice oddzielające przekaz ewangeliczny od mitów pogańskich, a także tradycji Starego Testamentu, chociaż utrzymuje, że nie da się ostatecznie rozstrzygnąć kwestii zależności opisu

eprasa.pl d9a6dd6456

ewangelicznego od innych, niechrześcijańskich opowieści. Stwierdza także, że hipoteza mówiąca o tym, że opowieść o wskrzeszeniu Łazarza jest modyfikacją opowieści o jego uzdrowieniu, jest wysoce prawdopodobna. Jednak zapewne najwięcej przemawia za tezą, zgodnie z którą za przekazem o wskrzeszeniu Łazarza stoją wspomnienia świadków. Jednak katolicki teolog od razu dodaje, że nie oznacza to wcale, że opis św. Jana wiernie odwzorowywał prawdę! Zastrzega się, że nawet jeśli to, co opisał św. Jan, opiera się na pamięci świadków, to twierdzenie to „nie pozwala przyjąć wniosku, że doszło do faktycznego dokonanego aktu wskrzeszenia". Dlaczego? Bo historyk rzekomo może dotrzeć jedynie do wrażenia, jakie mieli świadkowie, i do ich osądu, a nie do prawdy. Co najwyżej dowiadujemy się, co na temat wskrzeszenia Łazarza sądzili św. Jan i jego źródła, samo w sobie wydarzenie pozostaje nam niedostępne.

Niestety, rozważania niemieckiego teologa, tak z jednej strony gruntowne i rzeczowe, a tak płytkie i powierzchowne z drugiej, pokazują chorobę, jakiej uległa duża część teologii katolickiej. Opanował ją kantowski sceptycyzm, zgodnie z którym o ile możemy jeszcze dotrzeć do zjawiska, wrażenia i pamięci, o tyle nie możemy nigdy sięgnąć do rzeczy samej w sobie, to jest do faktu i realnego zdarzenia, w tym przypadku do samego w sobie aktu wskrzeszenia Łazarza.

CUDA NIE CUDA

Jeszcze wyraźniej niż Kremer pisał o tym jeden z najbardziej znanych katolickich biblistów z USA, zmarły raptem przed kilku miesiącami prof. John P. Meier z uniwersytetu w Notre Dame, przez wiele lat przewodniczący Amerykańskiego Stowarzyszenia Biblistów. To autor pięciotomowej monografii „Żyd z marginesu: nowe spojrzenie na Jezusa historycznego". Liczy ona sobie łącznie kilka tysięcy stron, z punktu widzenia debaty o wiarygodności wskrzeszenia Łazarza najważniejszy jest tom drugi, poświęcony cudom i ich wiarygodności. Meier zauważył słusznie, że „żaden inny rodzaj cudu nie zderza się tak mocno ze sceptyczną umysłowością, która zdominowała zachodnią kulturę, jak opowieści o wskrzeszeniu umarłych". Szkoda, że nie wyprowadza z tego właściwego wniosku, a mianowicie, że warunkiem wstępnym rzetelnego badania treści ewangelicznych musi być przezwyciężenie tego sceptycyzmu. Przeciwnie, zdaje mu się w dużym stopniu ulegać.

Twierdzi, że żaden historyk nie może przebić się przez zasłonę niepewności i dotrzeć do faktów takich, jakimi one były. Nie da się ustalić, czy Jezus dokonywał przypisywanych mu cudów czy nie, można jedynie ustalić, czy „niektóre opowieści o cudach zawarte w Ewangeliach opierają się na wydarzeniach z życia Jezusa, wydarzeniach, w których on, jego uczniowie i ludzie, którym pomógł, u w a ż a l i za cuda". Historyk, zdaniem Meiera, nie może odpowiedzieć na pytanie, co było prawdziwą przyczyną niezwyczajnych zdarzeń, i przywołuje różne „naturalne siły", jak autosugestię, hipnozę, a nawet spisek czy oszustwo. Ciekawe, że nie pojawia się tu jeszcze jeden, dla katolickiego teologa wydawałoby się kluczowy czynnik sprawczy: możliwość bezpośredniej ingerencji Boga w historię. Jedyne, do czego możemy dotrzeć, to przekonanie, że jeśli opowieść w pewien sposób sięga okresu działalności Jezusa, to pojawia się możliwość, że w i a r a, iż Jezus wskrzeszał zmarłych, istniała już wśród uczniów za Jego życia. Ale czy była prawdziwa? Czy Jezus faktycznie, jak to opisuje św. Jan, zawołał głośno do Łazarza, by ten wyszedł z grobu, a on, po czterech dniach zamknięcia w pieczarze, po tym, jak naprawdę umarł, wyszedł z grobu – zdaniem Meiera nie da się na to pytanie odpowiedzieć. Byłoby to przekroczenie granic, w jakich może się wypowiadać historyk i badacz.

Uderza, że temu sceptycyzmowi, a lepiej powiedzieć agnostycyzmowi co do ustalenia prawdziwych źródeł zdarzenia, którym było wskrzeszenie, odpowiada znacznie większa pewność przy osądzie znaczenia poszczególnych fragmentów opowieści św. Jana. I tak amerykański profesor twierdzi, po bardzo długich i zawiłych wywodach lingwistycznych, gramatycznych i krytycznoliterackich, że opowieść o wskrzeszeniu Łazarza nie jest „czystą kreacją Jana ewangelisty, ale raczej sięga do opowieści o cudach, jaka krążyła w środowisku Jana, zanim Ewangelia została zapisana". Opowieść o Łazarzu „odnosi się do jakiegoś zdarzenia z życia Jezusa historycznego". Nie jest to wiele. „Nie da się rozstrzygnąć, co się naprawdę wydarzyło". Czyli coś, ale nie wiadomo do końca co. Gorzej. Zdaniem katolickiego biblisty pierwotna opowieść nie zawierała w ogóle ani słów, ani postaci Marty (to jedynie rzeczniczka nieokreślonej wspólnoty). Dalej. W swojej pierwotnej wersji opowieść o wskrzeszeniu Łazarza nie była ważną przyczyną aresztowania, a potem męki Jezusa: to powiązanie jest kreacją czwartego ewangelisty.

Łatwo zauważyć, że dochodzimy w ten sposób do sprzeczności. Jeśli pierwotna opowieść nie zawierała wspomnienia o Marcie i jej słów, jeśli jej znaczenie odbiegało tak bardzo od tego, jakie nadał jej św. Jan, to jak, u licha, mam w ogóle wierzyć w jej autentyczność? Ostatecznie moja wiara musiałaby się opierać na wierze w słuszność rekonstrukcji dokonanej przez Johna P. Meiera. Zważywszy jednak, że każdy ze współczesnych badaczy podejmuje swoje arbitralne decyzje dotyczące tego, co jest, a co nie jest pierwotną częścią tradycji, praktycznie wiara byłaby niemożliwa.

Ważniejszy jest drugi zarzut. Jak mogę utrzymywać, że zarówno uczniowie, jak i sam Jezus najwyraźniej wierzyli we wskrzeszenie Łazarza, i jednocześnie mówić, że ich wiara nie oznacza, że do takiego wskrzeszenia doszło? W podobny sposób nie zachowuję się przecież w stosunku do żadnego innego wydarzenia historycznego ze starożytności. Czy kiedy czytam, że Juliusz Cezar przekroczył Rubikon, to mam na myśli, że tylko wierzę, że on sam i inni historycy w to wierzyli i być może przekroczenia Rubikonu i późniejszej wojny zwycięskiej z Pompejuszem nie było? Gdyby konsekwentnie stosować zasadę prof. Meiera, to okazałoby się, że nic nie wiemy, bo wszystko są to jedynie wrażenia i wierzenia. Tak naprawdę katolicki teolog wykluczył wiarę w aktywność Boga, zanim jeszcze zaczął cokolwiek badać. Ten agnostycyzm doprowadził go do tego, do czego doprowadził: wiemy, w co wierzyli uczniowie Jezusa, ale nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy przyczyna ich wiary była realna. To stanowisko wewnętrznie sprzeczne: to, co uprawiają prof. Meier i legion podobnych mu biblistów, to nie historia, ale psychologia. Badają stan psychiczny starożytnych postaci i tyle.

eprasa.pl d9a6dd6456

Jeśli dowiadują się o zdarzeniu, które wykracza poza ich własny, nowożytny rozum, to z góry je odrzucają. Rzeczywistość – co się naprawdę wydarzyło – jest przed nimi zakryta. Nie wiedzą, czy Łazarz został wskrzeszony, wiedzą jedynie, że jacyś uczniowie z otoczenia Jezusa w coś podobnego wierzyli. Dlaczego? Nie wiadomo.

ZAGADKA MILCZENIA

A jednak w całej tej sprawie, tak ważnej przecież, nie trzeba poprzestać na sceptycyzmie. Paradoksalnie, sądzę, że to, co racjonalistom od wieków wydawało się morderczym zarzutem wobec wiarygodności opisu Jana, przemawia za nim. Chodzi o proste pytanie: Dlaczego opisane przez św. Jana wskrzeszenie Łazarza nie zostało dostrzeżone przez pozostałych ewangelistów? Racjonaliści wnoszą stąd, że opowieść to Janowy konstrukt. Gdyby było inaczej, jak mogliby o tym tak ważnym wydarzeniu nie wspomnieć pozostali ewangeliści? Sam John P. Meier również tu zachowuje swój dystans: brak opowieści o Łazarzu u trzech pozostałych ewangelistów niczego nie dowodzi, pisze. Święty Jan nie znał ich ewangelii, oni nie znali jego. Osobliwy to sąd. A może jednak ten sceptycyzm uda się przezwyciężyć?

Wydaje się, że bardzo celnie na zarzut ten odpowiedzieli ostatnio anglikański teolog Richard Bauckham i protestancki Rainer Riesner. Ten ostatni w wydanej dwa lata temu książce „Jezus Mesjasz", która jest podsumowaniem wielu lat badań i wykładów, pisał: „Można by przytoczyć jeszcze jeden powód, dla którego opowieść o Łazarzu nie pojawia się u synoptyków. Według Ewangelii Jana wśród arcykapłanów istniał plan, aby ze względu na doniosłość osoby pozbyć się także Łazarza. Jeśli się przyjmie, że Ewangelie synoptyczne zostały wydane przed rokiem 70 po Chr. lub co najmniej zawierały raport o Męce Chrystusa, który powstał przed rokiem 40 po Chr., to ochrona anonimowości była możliwa. Starano się opowieść o cudzie przedstawić w taki sposób w formie pisemnej, żeby nie zagrozić Łazarzowi i jego siostrom". Te słowa, sądzę, to klucz do zrozumienia całej historii.

Wielu współczesnych badaczy zauważa, że najwcześniejszy raport o Męce Pańskiej powstał bardzo szybko po śmierci i Zmartwychwstaniu Chrystusa – zgadzają się z tym nawet niektórzy liberalni badacze, jak Gerd Theissen. Jeśli tak było i w formie skończonej istniał on przed rokiem 40 po Chr., to ewangeliści nie pisali o Łazarzu ze zrozumiałych względów bezpieczeństwa. Każde wspomnienie na piśmie ściągnęłoby na niego zemstę elit żydowskich. Jeszcze do 36 r. po Chr. władzę sprawuje Kajfasz, po jego usunięciu z urzędu pozostaje ona w rękach tego samego klanu Annasza. W 41 r. po Chr. zostaje zabity na zlecenie Heroda Agryppy św. Jakub, brat św. Jana, a św. Piotr musi uciekać z Jerozolimy. Jeszcze wcześniej ginie ukamieniowany św. Szczepan, a Szaweł prowadzi wtedy prześladowania chrześcijan. Sam wspomina o gwałtach, przemocy, a może nawet zabójstwach wyznawców Chrystusa, na co zdają się wskazywać użyte przez niego określenia. Chrześcijanie żyją w cieniu terroru, w każdej chwili muszą się liczyć ze śmiercią z rąk żydowskich pobratymców. W tym czasie Łazarz i jego siostry są naturalnym celem nienawiści Sanhedrynu i elit jerozolimskich. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji posługujący się najwcześniejszym raportem święci Marek, Mateusz i Łukasz pomijają wskrzeszenie Łazarza, troszcząc się w ten sposób o życie jego i sióstr. Piszą jedynie o namaszczeniu w Betanii i podają informację o Marii, ukrywają jednak obecność i znaczenie Łazarza.

Późniejsze tradycje, często legendarne, wspominają o ucieczce Łazarza na Cypr, gdzie miał być pierwszym biskupem Kitionu

Jeśli ta rekonstrukcja jest prawdziwa, a wydaje się to ze wszech miar prawdopodobne, to prowadzi to do jeszcze jednej konkluzji. Wbrew twierdzeniu niektórych biblistów św. Jan musiał znać trzy pozostałe Ewangelie, gdy pisał swoją. Więcej, musiał pisać wtedy, gdy niebezpieczeństwo dla Łazarza i jego rodzeństwa zniknęło. Albo Łazarz już umarł, albo udało mu się uciec w bezpieczne miejsce, poza granice Judei i Galilei. Dlatego św. Jan nie rozwinął do niebotycznych rozmiarów nieznaczącej, ubogiej opowieści o wskrzeszeniu Łazarza, ale przywrócił mu należne miejsce. Wiadomo, że argumenty z milczenia mają ograniczoną wartość. W tym przypadku wszakże milczenie o Łazarzu w Ewangeliach Mateusza, Marka i Łukasza oraz opisanie jego znaczącej roli przez św. Jana zdają się dodatkowo wskazywać na prawdziwą rangę Łazarza i wiarygodność historii Janowej. Przemilczenie jest pośrednio potwierdzeniem doniosłości. Teza Meiera, że synoptycy mieliby pominąć wskrzeszenie Łazarza, bo było ono tak mało znaczące, wydaje się nielogiczna.

UCIECZKA NA CYPR?

Późniejsze tradycje, często legendarne, wspominają o ucieczce Łazarza a to na Cypr, gdzie miał być pierwszym biskupem Kitionu (tam, czyli w dzisiejszej Larnace, znajduje się jego grób), a to do Prowansji, gdzie miał przebywać w okolicach Marsylii. Grób Łazarza w Larnace znajduje się w cerkwi wybudowanej w IX w., w tym też okresie część jego relikwii przeniesiono do Konstantynopola, skąd w 1204 r., po złupieniu miasta przez rycerzy IV krucjaty, trafiły na Zachód. Czy jest on prawdziwy? „O tym, gdzie żył, umarł i został pogrzebany po wskrzeszeniu, przynajmniej w szóstym wieku w Jerozolimie nie wiedziano" – pisze Kremer, powołując się na pisma Teodozjusza.

Piszący na początku IV w. po Chr. historyk Kościoła Euzebiusz z Cezarei miał być pierwszym, który wspomina pobyt, śmierć i pogrzeb Łazarza na Cyprze, tyle że pismo to się nie zachowało. Być może więcej będzie można powiedzieć, jeśli władze kościelne na Cyprze zdecydują się na prowadzenie prac archeologicznych pod bazyliką w Larnace – wiadomo jedynie, że obecny, bizantyjski budynek powstał na miejscu innego, wcześniejszego. Niezależnie od tego, czego dowiemy się lub nie dowiemy na temat życia Łazarza po wskrzeszeniu, można, sądzę, przyjąć, że zawarty w Ewangelii św. Jana opis jego wskrzeszenia nie tylko stanowi zapis wiary uczniów, lecz także jest najzwyczajniej w świecie prawdziwy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

FOT. DOMINIQUE FAGET/EAST NEWS

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Jak z perspektywy czasu ocenia pan pontyfikat św. Jana Pawła II i jego znaczenie dla katolików na świecie?

RAFAEL NAVARRO-VALLS: Kiedy magazyn „Time" przyznał mu tytuł Człowieka Roku 1994 r., a „Newsweek" w 1996 r., było to podkreślenie światowego przywództwa pierwszego polskiego papieża. Gazeta mało podejrzana o klerykalizm, taka jak „La Repubblica", opisała go jako „globalnego rzecznika praw człowieka". I to właśnie Jan Paweł II próbował odzyskać wizję człowieka jako podmiotu myślącego i moralnego. Nazywanie Wojtyły „Wielkim" – jak określiło go wiele międzynarodowych mediów – z mojego punktu widzenia było i jest trafne. Wy, Polacy, macie zaszczyt być ojczyzną jednego z najbardziej wpływowych papieży wszech czasów spośród tych, którzy przez wieki zasiadali na tronie św. Piotra.

Znane jest powszechnie uczucie, jakim darzył Hiszpanię. Ale czy pana rodacy je odwzajemniali?

Pięć podróży Jana Pawła II do Hiszpanii świadczy o prawdziwym przywiązaniu do mojego kraju. My, Hiszpanie, zawsze to docenialiśmy (dla porównania: obecny papież nie odbył ani jednej pielgrzymki do Hiszpanii – przyp. M.W.) Stąd przywiązanie do papieża Polaka w Hiszpanii pozostaje nadzwyczajne. Wystarczy spojrzeć na dwa fakty: podczas jego ostatniej wizyty (2003) w bazie lotniczej Cuatro Vientos powitało go ponad 1,5 mln osób. A podczas swojej pierwszej wizyty w 1982 r. odprawił w Madrycie Mszę pod gołym niebem i szacuje się, że było to najbardziej masowe spotkanie ze wszystkich, które stolica Hiszpanii przeżyła w swojej historii.

Jak to się stało, że pański brat został rzecznikiem Stolicy Apostolskiej? I dodajmy, że Joaquín Navarro-Valls pełnił tę funkcję przez 22 lata. A to oznacza, że znał naszego papieża jak mało kto.

Za kilka dni jego spisane wspomnienia, których przed śmiercią nie chciał upubliczniać, ukażą się jednocześnie w Rzymie i Madrycie. Trwa także tłumaczenie na języki polski i angielski. Przyniosą polskim czytelnikom wiele odpowiedzi. Dziś powiem wam tylko, że Joaquín został najpierw wybrany na przewodniczącego korespondentów zagranicznych we Włoszech (Watykan i Pałac Kwirynalski). Przy tej okazji papież Jan Paweł II zaprosił go na posiłek i spytał o opinię na temat pro-

eprasa.pl d9a6dd6456

jektu restrukturyzacji Biura Prasowego. Joaquín odpowiedział: „Wasza Świątobliwość, nie potrzeba restrukturyzacji, ale rewolucji". W ten sposób objął stanowisko dyrektora Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej. Joaquín zgodził się, ale postawił warunek: „Muszę mieć zawsze bezpośrednią łączność z papieżem", a Jan Paweł II mu to przyznał.

seksualne nieletnich jest bolesną tragedią, która musi posłużyć oczyszczeniu tego, co zgniłe w Kościele. Sytuacja ma wiele implikacji, ale część prasy próbuje szukać przyczyn tam, gdzie ich nie ma. „Wiele komentarzy – mówi Joaquín w swoich wspomnieniach – nie dotyka wcale problemu, są powierzchowne". Wydaje mi się, że to jeden z takich przypadków.

Z Rafaelem Navarro-Vallsem, hiszpańskim prawnikiem, bratem śp. Joaquína Navarro-Vallsa, dyrektora Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej w latach 1984–2006
rozmawia Małgorzata Wołczyk

Jan Paweł II kontra komunizm

Od tego momentu związek między nimi był bardzo bliski. Niektórzy mówili, że mój brat był prawdziwym przyjacielem papieża Polaka, chociaż Joaquín powiedział, że nie posunąłby się tak daleko, i zacytował Platona, który powiedział, że aby zaistniała przyjaźń, musi być zachowana równość, a przecież dystans między Ojcem Świętym a nim był ogromny. A mimo to myślę, że naprawdę byli przyjaciółmi. Platon nie miał racji: przyjaźń między nierównymi jest możliwa.

Owszem, my, Polacy, pamiętamy jego niepohamowane łzy na ostatnich konferencjach prasowych. Jak pan myśli, co powiedziałby brat, gdyby wiedział o atakach polskich liberałów i lewicy, którzy teraz, pół wieku później, obwiniają go o zaniedbania w sprawie pedofilii w Kościele?

Wierzę, że nawet papież Wojtyła zachowałby spokój, tak charakterystyczny dla niego, chociaż byłby niezwykle zasmucony, widząc, że ataki pochodzą z jego ojczyzny. Joaquín zareagowałby tak samo. Papież uważał, że wykorzystywanie

Musimy pamiętać o ostrej interwencji Jana Pawła II w kwietniu 2002 r. przed amerykańskimi kardynałami, wezwanymi do Watykanu w celu zbadania wykorzystywania seksualnego. Powiedział im m.in.: „W Kościele katolickim nie ma miejsca dla księży, którzy wykorzystują seksualnie nieletnich". To „straszliwy grzech w oczach Boga".

Czyli pana zdaniem papież Polak wystarczająco zwalczał przypadki pedofilii w Kościele? A może, jak się czasem zarzuca, ukrywał przestępczą działalność Marciala Maciela Degollado?

Maciel oszukał setki członków założonego przez siebie zgromadzenia, oszukał swój kraj Meksyk, prominentnych członków Kurii Rzymskiej, dużą część mediów, a także papieża, który doceniał apostolski dynamizm legionistów. W latach 1997 i 2002 Maciel opublikował oświadczenie, w które trudno było nie uwierzyć: „Przed Bogiem i z całkowicie czystym sumieniem kategorycznie stwierdzam, że postawione mi zarzuty są fałszywe".

Kiedy jednak Kongregacja Nauki Wiary rozpoczęła śledztwo w sprawie oskarżeń przeciwko Macielowi, oparła się na motu proprio „Sacramentorum sanctitatis tutela", ogłoszonym przez Jana Pawła II 30 kwietnia 2001 r. właśnie z tego powodu. A kiedy śledztwo, już za pontyfikatu Benedykta XVI, przynosi niewątpliwe dowody przeciwko Macielowi, część Kurii postanawia nie upubliczniać skandalu. Oburzony Navarro-Valls udaje się do Benedykta XVI i zwołuje spotkanie z Levadą, Sodano i rzecznikiem. Kiedy papież udziela głosu Joaquínowi, ten nalega, aby Stolica Apostolska przekazała informacje, i to natychmiast. W przeciwnym razie prasa oskarży o ukrywanie sprawy nie tylko Jana Pawła II, lecz także Benedykta XVI, który w momencie rozpoczęcia śledztwa był prefektem Kongregacji. Mimo wątpliwości niektórych obecnych papież zarządza publikację. Joaquín postąpił tak, jak postąpiłby Jan Paweł II. Oskarżenie go o ukrywanie Marciala Maciela to nie tylko obraza, lecz także ogromna niesprawiedliwość.

Jan Paweł II, jak już powiedziałem, brzydził się pedofilią. Jako załącznik do wspomnianego motu proprio załączył dokument („De Delicta Graviora"), zmieniający kary dla księży dopuszczających się znęcania się nad nieletnimi. Był punktem odniesienia aż do reformy Franciszka z 2010 r. Wydaje mi się, że ta kampania przeciwko jego pamięci, oparta na wątpliwych dokumentach, kryje w sobie po prostu cel zniszczenia historycznej spuścizny.

W ciągu prawie 27 lat pontyfikatu Jan Paweł II odbył łącznie 240 podróży po świecie. Niektórzy złośliwi twierdzą, że trochę za bardzo gonił za tłumami.

Pomóc wyjaśnić ten fenomen mogą dwie anegdoty. Kiedyś 11-letni chłopiec zapytał papieża: „Dlaczego ciągle podróżujesz po świecie?". Na co papież odpowiedział: „Papież tyle podróżuje, bo nie wszyscy tutaj są". Innymi słowy, ważne były wszystkie czynniki kulturowe, moralne i intelektualne Kościoła na świecie. Jak zauważył „Le Monde": „Żadne względy, ani medyczne, ani polityczne, nie mogły powstrzymać papieża, zawsze jechał tam, gdzie proszono o jego obecność".

Kiedyś spytałem bliskiego współpracownika papieża, co zostaje z tych licznych pielgrzymek. Nazwał to „wyłącznym

eprasa.pl d9a6dd6456

programem Boga". Przykład: w Kisangani, nad brzegiem rzeki Kongo, ów znajomy zapytał młodego misjonarza pod koniec dnia wizyty papieskiej: „Czy warto było, aby papież przyjechał tu na kilka godzin? W tym upale, zagrożeniu malarią…". Misjonarz odparł: „Nie mogę zrobić ogólnego bilansu, ale nawet gdyby pozostało tylko dobro, które bycie z papieżem wyrządziło mojej duszy, jego podróż do Kisangani byłaby już uzasadniona".

Inne owoce wymagają czasu, aby je dostrzec. Na przykład w styczniu 1999 r. papież przebywał w Missouri. Tam dowiedział się, że za kilka dni będzie stracony weteran wojny wietnamskiej Darrel Mease. Papież nic nie powiedział publicznie, choć prywatnie skierował do gubernatora – który nie był katolikiem – prośbę o ułaskawienie skazanego. Z wielką prostotą, w katedrze San Luis, przechodząc obok gubernatora, pochylił się i szepnął: „Zmiłuj się nad panem Mease". A gubernator odszepnął: „Zrobię to". I rzeczywiście zrobił.

W jakim zakresie przypisałby pan upadek muru berlińskiego i koniec systemu komunistycznego działaniom św. Jana Pawła II?

Na krótko przed wyborem na papieża Karol Wojtyła w prywatnej rozmowie z kilkoma niemieckimi biskupami przepowiedział upadek komunizmu. „Jako ideologia nie ma nic do zaproponowania. Jako system gospodarczy zawiódł. Trwa tylko na zasadzie uporczywego trzymania się u władzy". Jednak odkąd został wybrany na papieża, reflektory nagle oświetliły strefę Europy Wschodniej. Narody słowiańskie wyszły z historycznego mroku, choć już wcześniej masakra na Węgrzech i Praska Wiosna powinny uderzyć w sumienie Zachodu.

Papież – i to w mieście zarządzanym przez burmistrza komunistę – zaczął mówić o tym systemie jako o „nawiasie w historii Europy". Zmienił obecny wtedy paradygmat polityczny na historyczny i kulturowy. Odwoływał się do świadomości etycznej i moralnej. Jak mówił: „Trzeba iść do korzeni historii i kultury, a stamtąd patrzeć w przyszłość". W przeciwieństwie do wszelkich etycznych schizofrenii, które chcą oddzielać politykę od moralności. Jego fundamentalnym spostrzeżeniem było to, że same siły ekonomiczne i polityczne nie były w stanie ponownie zjednoczyć Europy, aby te dwa europejskie płuca – łacińskie i słowiańskie – czerpały siłę do wspólnego oddychania ze wspólnego dziedzictwa duchowego.

Rafael Navarro-Valls (z lewej) i Joaquín Navarro-Valls z Janem Pawłem II

FOT. ARTURO MARI

Ta jego strategia była bardziej ambitna, ale równie ryzykowna. Ostatecznie okazała się skuteczna. Taki sposób patrzenia na problem tłumaczy odwagę czy nawet zuchwałość niektórych decyzji, które łącząc się w łańcuch, obejmowały okres od jego pierwszej wizyty w Polsce w 1979 r. do wywiadu z Gorbaczowem w 1989 r. Bernard Lecomte właściwie to przeanalizował, że papieża i ówczesnych liderów wolności – Wałęsę, Sacharowa, Havla i Sołżenicyna – łączyły te same tematy czy to wiary w Boga, czy w życie i w człowieka. Wiary, która mogła być w nich z małej czy dużej litery…

Mówiąc, że „ze wschodu na zachód, z północy na południe, ruch historii pozwala przezwyciężyć porządek oparty na sile i strachu", budził siły i źródła, które wraz z innymi czynnikami zniszczyły system ucisku jak domek z kart. Kiedy więc ludy Wschodu odzyskały pewność siebie i pokonały strach, rozpoczął się systematyczny opór, a mury pękały, aż runęły. Podczas swojej pierwszej podróży do Polski powtarzał: „Wykluczenie Chrystusa z dziejów człowieka to występek przeciw człowiekowi". Na tej podstawie zbudował doktrynę, która przyczyniła się do powstania tych „ruchów tektonicznych" na Wschodzie.

Pański brat, Joaquín, który był tak blisko zdarzeń, opowiadał panu więcej szczegółów?

W latach 1989 i 1990 wielokrotnie rozmawiałem z nim. Opowiedział mi o długiej rozmowie, którą odbył z Janem Pawłem II podczas wycieczki na szczyt Court de Bard (2261 m). Podczas naszej rozmowy Joaquín przedstawił mi swój punkt widzenia: nowa Ostpolitik Jana Pawła II nie była operacją taktyczną, ale wysiłkiem konsekwentnej i odważnej logiki, podtrzymywanej ogromną pamięcią prawdy historycznej. Nie było w papieżu biernej akceptacji Jałty i przystosowania się do „determinizmu" historycznego. Był impuls wyrosły z jego wiary i poszanowania praw człowieka.

Ale jeśli wizyty Jana Pawła II w Polsce były pierwszą iskrą, po której zaczął trzeszczeć system totalitarny w krajach wschodnich, to kontakty między Gorbaczowem a Janem Pawłem II były decydujące. Kardynał Casaroli i właśnie mój brat byli m.in. odpowiedzialni za dostarczenie osobistego listu papieża do Gorbaczowa w Moskwie (13 czerwca 1989 r.). Gorbaczow uważnie przeczytał list i zaczął mówić o wolności sumienia, o bliższych stosunkach ze Stolicą Apostolską i zauważył, że on sam także przyjął chrzest. Wydawał się bardzo zainteresowany tym, aby to chrześcijaństwo miało więcej do powiedzenia niż dotychczas. Jan Paweł II wyjaśnił Joaquínowi Navarro-Vallsowi treść rozmowy z Gorbaczowem: „Dla niego religia jest pozytywną siłą dla ludzkiego życia. Zrozumiał, że popełnił błąd, nie doceniając ogromnej siły przekonań religijnych". Papież mówił, że mieliśmy do czynienia ze swego rodzaju nawróceniem.

Jak dla mnie prawdziwym bohaterem roku 1989 była Opatrzność, poruszona bardzo różnymi przyczynami, wśród których wyróżnia się nieustępliwe działanie Jana Pawła II.

Właściwie to pierwszy kilof, który zrobił ogromny wyłom w systemie, dzierżył papież Polak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Rafael Navarro-Valls
– prawnik, profesor emerytowany i profesor honorowy na Wydziale Prawa Uniwersytetu Complutense w Madrycie oraz wiceprezes Królewskiej Akademii Prawa i Legislacji Hiszpanii. Przewodniczący Stałej Konferencji Iberoamerykańskich Akademii Prawniczych. Doktor honoris causa Uniwersytetu Turyńskiego.

eprasa.pl d9a6dd6456

Daj wiarę naszym marzeniom o edukacji

Marzenia są nieodłącznym elementem naszego życia. Od nich wszystko się zaczyna. Niech rzuci kamieniem ten, kto w dzieciństwie nie powtarzał: gdy dorosnę, zostanę policjantem, aktorką, piosenkarką...

W moim przypadku na drodze do spełnienia marzeń stanęła Fundacja Dzieło Nowego Tysiąclecia – wyznaczyła kierunek, umożliwiła mi robienie tego, co naprawdę kocham, i dała przestrzeń na odkrywanie siebie. Wszystko zaczęło się w Białymstoku w 2017 r., na moim pierwszym obozie wakacyjnym Fundacji. Wtedy poznałam wielu pozytywnych ludzi, których łączyła wiara. Zapragnęłam być częścią tej wspólnoty, tworzyć to Dzieło z innymi. Zrozumiałam wtedy, co znaczy być stypendystką. Tu nie chodziło tylko o finanse, choć i one są niezbędne, ale o budowanie trwałych relacji. Zyskałam nowe znajomości, a poczucie zagubienia, które przez moment mi towarzyszyło, pożegnałam tak szybko, jak się pojawiło. Fundacja dała mi pokój serca, bo zatroszczyła się o moją edukację, rozwój. Nie jestem już sama.

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO?

Cofnijmy się do roku 2015, kiedy złożyłam pierwszy wniosek do Fundacji. Musicie wiedzieć, że pochodzę z małej miejscowości w diecezji warmińskiej. Nie muszę dodawać, że możliwości miałam tam ograniczone. Jednak dzięki wsparciu finansowemu Fundacji mogłam wreszcie odciążyć rodziców i zacząć na nowo. Zaczęłam sama się utrzymywać, finansować swoje wydatki, bez obawy, że zabraknie nam pieniędzy na życie. Teraz jestem już studentką, wynajmuję mieszkanie, uczę się na wymarzonym kierunku informatycznym na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Dzisiaj uświadamiam sobie, jak ważna była pomoc, którą otrzymałam od Dzieła na samym początku.

Fundacja pozwoliła mi również na zaangażowanie się w działalność wspólnoty akademickiej. Po pierwszym roku studiów, we wspólnocie olsztyńskiej, do której dołączyłam, szukano szefa. Coś pokierowało mną, by zgłosić swoją kandydaturę. Zgłaszając się na stanowisko lidera, jako osoba nieśmiała mierzyłam się ze swoimi lękami i obawami. Jednak to był strzał w dziesiątkę. Odkryłam, jaką radość sprawiają mi przebywanie z ludźmi, wspólne rozmowy i dyskusje, już nie tylko osobista modlitwa, lecz także ta w wymiarze grupowym.

Chcę pomagać innym ludziom. W Fundacji ukończyłam kurs wychowawcy i jeżdżę na jej obozy wakacyjne jako wychowawca naszych uczniów. Nie sprawiają mi już problemów wystąpienia, z radością uczestniczę w różnych spotkaniach i kursach.

Historii takich jak moja jest wiele. Każdy stypendysta przeżył swoją wyjątkową przygodę, zaczynając od poczucia niestabilności, przez kształtowanie swojego charakteru, kończąc na uzyskaniu wiary w swoje możliwości. Za to wszystko jesteśmy wdzięczni naszym wspaniałomyślnym darczyńcom.

Fundacja Dzieło Nowego Tysiąclecia jest organizacją OPP, można na nią przekazać 1,5 proc. podatku dochodowego. Jako stypendystka tego pożytecznego Dzieła zachęcam do wsparcia przez wpisanie w zeznaniu PIT numeru **KRS** organizacji: **0000 150 776**. Dajcie wiarę naszym marzeniom. Dobro procentuje!

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl d9a6dd6456

Nowa mapa sztabowa Kaczyńskiego

Piotr Semka

Na tle sporów i konfliktów w łonie opozycji PiS jawi się jako spójna formacja. Wyciszono kontrowersje z Solidarną Polską. PiS wchłania kukizowców, a wszyscy politycy w pokorze czekają na rozstrzygnięcia „naczelnika" w sprawie układu na listach. Czy więc Kaczyński może spokojnie czekać na najbliższe miesiące kampanii wyborczej? Raczej nie. Bo zaczyna się zmieniać krajobraz polityczny

Media donoszą, że Jarosław Kaczyński planuje ponownie wyruszyć w objazd po kraju niedługo po Świętach Wielkanocnych. Jak komentuje to jeden z działaczy PiS: „Nasz elektorat będzie niebawem pytał: »Gdzie jest prezes?«. Musimy mobilizować wyborców". Ostatnie półtora miesiąca, jeśli wierzyć wieściom z Nowogrodzkiej, było okresem rekonwalescencji lidera PiS po operacji kolana. Ale już na 2 kwietnia, rocznicę śmierci Jana Pawła II, Kaczyński zapowiada obecność na wielkim koncercie w Wadowicach [czyli już po oddaniu do druku tego wydania „Do Rzeczy" – przyp. red.]. Przeciwnicy lidera PiS komentują to jako przykład „brania papieża na PiS-owskie sztandary", ale dla Kaczyńskiego wystąpienie w obronie Karola Wojtyły jest naturalnym wypełnianiem życzeń elektoratu prawicy.

Zima przeszła stosunkowo dobrze, co przyznają mściwie nawet publicyści sympatyzujący z Platformą Obywatelską. Ziściła się przepowiednia, że politycy Platformy tak długo będą wmawiać społeczeństwu wizję wychłodzonych mieszkań i braku węgla, że wystarczy jedynie trochę operatywności Mateusza Morawieckiego, by wszystkim tym lękom zaprzeczyć skuteczną polityką energetyczną.

Z okolic PiS wychodzą też sygnały, że podobno wzrastać ma szansa odblokowania pieniędzy z KPO dla Polski. W sondażach partia Jarosława Kaczyńskiego nadal utrzymuje duży dystans przed Platformą, a skupienie się ugrupowania Donalda Tuska na idei jednej listy jeszcze

eprasa.pl d9a6dd6456

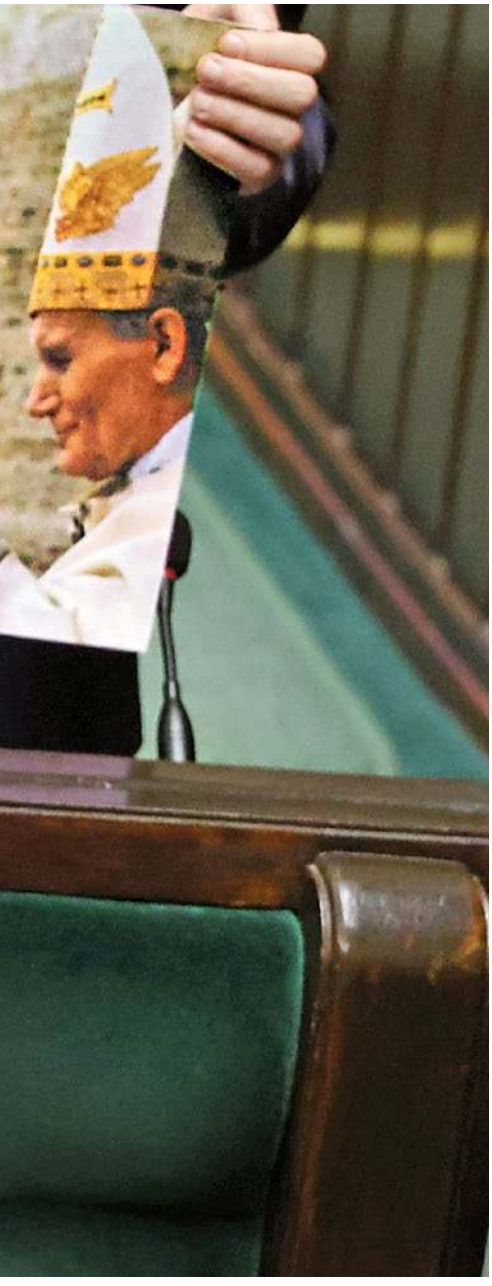

FOT. PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

bardziej podkreśliło fiasko tego pomysłu. Sondaż obywatelski w wykonaniu „Gazety Wyborczej" ośmieszył idee wspólnej listy, a Donalda Tuska postawił w roli polityka bezsilnie miotającego groźby i przestrogi wobec innych partii opozycyjnych. Na dodatek publicystyczni kibice Platformy, tacy jak prof. Radosław Markowski i prof. Andrzej Rychard, w starym-nowym stylu dalej wykpiwają ciemnotę i ubóstwo elektoratu PiS-owskiego. Taka arogancja „profesorskich głów" z okolic PO przynosi spore korzyści rządzącej partii.

Na tle sporów i konfliktów w łonie opozycji PiS jawi się jako spójna formacja. Wyciszono kontrowersje z Solidarną Polską. PiS wchłania kukizowców, a wszyscy politycy w pokorze czekają na rozstrzygnięcia „naczelnika" w sprawie układu na listach. Czy więc Kaczyński może spokojnie czekać na najbliższe miesiące kampanii wyborczej? Raczej nie. Bo zaczyna się zmieniać krajobraz polityczny.

KONFEDERACJA ŚMIESZY, TUMANI, PRZESTRASZA

Nie jest jasne, czy ostatnia zwyżka notowań Konfederacji to tylko zabieg medialny obozu liberalnego, aby wystraszyć liderów partii opozycyjnych przed zdobyciem władzy przez prawicę i zagnać ich do jednej listy pod wodzą Tuska. Ale już wysyp wywiadów z liderami Konfederacji pokazuje, że uzyskiwanie wysokich wyników w sondażach przesuwa tę partię do grupy ugrupowań, które są w stanie włączyć się do gry jak równy z równym wobec największych sejmowych graczy.

Jarosław Kaczyński unikał jak dotąd tematu Konfederacji. Nie miał ochoty na zauważanie tego ugrupowania nawet w postaci krytykowania jego liderów. O tym, że partia Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka idzie w górę, piszą rozmaite media od ponad trzech tygodni. Przed PiS niełatwy problem – musi się zdecydować na jakąś taktykę wobec rywala po prawej stronie. Nie ułatwia tego zadania to, że liderzy Konfederacji, dowartościowani ostatnimi dobrymi wynikami swej partii, zachowują się z niezwykłą pewnością siebie. Sławomir Mentzen czy Robert Winnicki dobrze wiedzą, że ich największą szansą jest prezentowanie się jako partii antysystemowej, która zachowuje równy negatywny odstęp od PO i PiS. Krzysztof Bosak mówi: „Sojusz z PiS? Nigdy". I podkreśla, że jego partia nie wesprze ani Tuska, ani Morawieckiego. To wyraźny sygnał dla PiS, że jeżeli konfederaci mieliby załatać dziurę ewentualnej większości sejmowej, to na pewno będą się domagać jakiegoś nowego, kompromisowego premiera. Kaczyński i inni liderzy PiS na razie starają się nie komentować dobrych sondaży Konfederacji. Chcą się przekonać, czy dobra passa tej partii to jakaś trwała tendencja czy tylko chwilowy skok w górę.

Sławomir Mentzen wpada już w lekceważący ton zarówno wobec PiS, jak i PO. Na Twitterze głosi: „Idziemy po dwucyfrowy wynik, a Tusk mi może skoczyć tam, gdzie Morawiecki może mnie pocałować". Choć Mentzen nawiązywał do jednego z dialogów kabaretowych z udziałem Jana Kobuszewskiego, to cała jego wypowiedź pokazuje, że bardzo szybko wpada w ton spod budki z piwem. Jarosław Kaczyński, który niejednokrotnie demonstrował, że działają mu na nerwy źle wychowani młodzieńcy (przypomnijmy sobie fatalną chemię między liderem PiS a Radosławem Sikorskim), zapewne reaguje na takie przechwałki jak najgorzej.

Trzydziestosiedmioletni Mentzen podkreśla też konflikt pokoleniowy na polskiej scenie politycznej. Wskazuje w wywiadach, że „zarówno Kaczyński, jak i Tusk są starsi od moich rodziców". Ironizuje, że „robiący w Platformie za młodego Rafał Trzaskowski jest po pięćdziesiątce". Niedawno w Radiu Zet mówił: „Najwyższy czas odesłać ich wszystkich na emeryturę, niech przestaną układać życie młodym Polakom".

W PiS nie brak obaw, że zaproszenie konfederatów do koalicji może się skończyć tak jak flirt PiS z Andrzejem Lepperem i jego Samoobroną w latach 2006–2007, czyli otwartym konfliktem. Ale może też się okazać, że po wyborach, gdy pojawią się już realne widoki na udział we władzy, konfederaci spuszczą z tonu. Jednak pokłady niechęci wobec PiS za rozmaite starcia w przeszłości i za blokowanie im dostępu do mediów publicznych są spore. Na pewno będzie to silnym czynnikiem utrudniającym współpracę. Na razie PiS wydaje się nie mieć pomysłu, jak się do nowego fenomenu „Konfy" odnieść. A ignorować młodszej konkurencji na dłuższą metę nie sposób.

PIS I MŁODY ELEKTORAT

Liberalne media miały dużo uciechy z klipu Prawa i Sprawiedliwości, w którym wicerzecznik tej partii, Radosław Fogiel, zachęcał młodych do odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego nienawidzą PiS?". Oczywiście z okazji skorzystało parę młodych aktywistek lewicowych, które umieściły jako odpowiedź na TikToku płomienne, feministyczne manifesty, wyliczające wszystkie grzechy rządzącej

eprasa.pl d9a6dd6456

partii. Tyle że działanie Radosława Fogla było chęcią choćby kontrowersyjnego, ale jednak nawiązania kontaktu z najmłodszymi wyborcami. Fogiel się bronił, że aby pokonać tę pierwszą barierę, musi sięgnąć do jakichś wyrazistych emocji, nawet jeśli to będą emocje negatywne.

Cała sprawa pokazuje, jak bardzo PiS potrzebuje dziś nadrobić ostatnie pięć–sześć lat, kiedy to próby docierania do młodszego wyborcy nie wypadały zbyt zgrabnie. Lider młodzieżówki PiS-owskiej Michał Moskal, który miał docierać do młodej generacji, nie bardzo dał sobie radę z tym zadaniem. Liczby są dla PiS bardzo okrutne. Według badań Łukasza Pawłowskiego, prezesa Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, wśród grupy wiekowej elektoratu między 18. a 29. rokiem życia PiS ma poparcie na poziomie ok. 15 proc. Platforma zresztą niewiele wyższe. Za to w grupie 18–29-latków obojga płci poparcie dla partii Sławomira Mentzena szybuje aż do 75 proc. A wśród mężczyzn między 17. a 29. rokiem osiąga poziom 60 proc.

W tym sensie ten sukces konfederatów jest odsyłaniem na zieloną trawkę zarówno „dziadersów" z PiS, jak i Platformy. Jak z satysfakcją tłumaczą politycy Konfederacji, dwie rywalizujące ze sobą duże partie w niemal równym stopniu skupiają uwagę boomerów, czyli generacji 50+. Faktem jest, że konfederaci bardzo dobrze nauczyli się poruszać na Facebooku czy TikToku i tak dotarli do młodszych wyborców. Poniekąd zresztą byli skazani na rozwijanie takich umiejętności. Nie zapraszały ich ani wspierająca PiS TVP, ani życzliwa dla Platformy stacja TVN. Dziś z wyraźną kpiną dziękują za to obu wiodącym partiom i właśnie dotarciem za pośrednictwem Internetu tłumaczą sobie wzrost popularności.

Faktem jest też, że Sławomir Mentzen to polityk, który ma parcie na bramkę i dość dobrze odgrywa rolę self-made mana, który wszystko zawdzięcza sobie. Pytanie tylko, co będzie, jeśli się zacznie prawdziwa polityka, a nie tylko występowanie w roli jedynych sprawiedliwych. Czy wtedy Mentzen nie zacznie popełniać błędów, które szybko zrażą do niego jakąś część obecnych sympatyków?

Kaczyński na pewno będzie miał opory przed wchodzeniem z Konfederacją w jakąkolwiek koalicję. W PiS dobrze pamiętają nieprzewidywalność takich partii jak Samoobrona Andrzeja Leppera czy Liga Polskich Rodzin Romana Giertycha, które próbowały być koalicjantami PiS w latach 2006–2007. Ale pokusa oparcia się na Konfederacji w przypadku uzyskania np. 210 czy 220 głosów może być w PiS silna.

MGŁA POLA BITWY

W zaplanowaniu kampanii wyborczej Jarosławowi Kaczyńskiemu przeszkadza brak rozstrzygnięć w obozie opozycji. Ile będzie list? Czy ziści się w końcu idée fixe Donalda Tuska dotycząca jednej listy? A może w końcu w Platformie dojdzie do jakiegoś przesilenia wewnętrznego i np. Rafał Trzaskowski zostanie ogłoszony kandydatem na przyszłego premiera? Tusk jest mimo wszystko o wiele lepszym obiektem ataków dla PiS niż znacznie młodszy prezydent Warszawy. Jeśli Trzaskowski stanie się twarzą kampanii, to spece od PR z obozu Platformy mogą próbować zamienić wybory w plebiscyt – nowa epoka kontra trwanie w świecie, w którym decyzje podejmuje generacja 60-latków.

Nie wiadomo, czy PSL koniec końców stworzy z Hołownią wspólną listę czy też obie partie, zaniepokojone możliwością nieprzekroczenia progu wyborczego, zegną w końcu szyję przed wielkim Donaldem. Swoje niełatwe dylematy ma lewica, której lider, Włodzimierz Czarzasty, marzy o nawet niewielkim dostępie do władzy, podczas gdy młodsi politycy zapatrzeni w Adriana Zandberga wzywają, by nie żyrować ewentualnego powrotu Donalda Tuska do władzy. Apelują, by poczekać, aż powinie mu się noga, i wtedy próbować sięgnąć po władzę. Tak czy inaczej bez wyłonienia się ostatecznej kompozycji wyborczej opozycji trudno jest walczącej o trzecią kadencję partii ustalać taktykę kampanijną.

PiS tymczasem stara się trafnie wychwytywać problemy, które niepokoją Polaków. Rząd woli dmuchać na zimne. Po tym, jak rozwścieczeni rolnicy wraz z konfederatami protestowali na wschodniej granicy przeciwko przenikaniu ukraińskiego zboża do Polski, Mateusz Morawiecki zlecił wprowadzenie przepisów, które pozwolą ograniczyć napływ tego zboża. Tak samo PiS bardzo głośno reklamuje swój sprzeciw wobec unijnych idei zakazu produkcji samochodów spalinowych, wykorzystując przy okazji to, że eurodeputowani Koalicji Obywatelskiej głosowali za przyjęciem dyrektywy wykluczającej auta spalinowe. Wezwania do zatrzymywania ekologicznej dogmatyki Brukseli sprzedają się w Polsce całkiem nieźle. Wciąż jednak nie widać jakiegoś wielkiego przesłania na ewentualne kolejne cztery lata rządów PiS. Hasło „Przyszłość to Polska" nie jest specjalnie udane, a biało-czerwone logo „Program" mówi niewiele.

Czy PiS będzie w stanie na nowo zarysowywać nowatorskie projekty kampanii w ślad za zmieniającą się sceną polityczną? Na pewno odwrócenie się młodej generacji od PiS na rzecz Konfederacji jest wyzwaniem. Rządząca partia musi znaleźć na to jakieś odpowiedzi. Na razie wśród pomysłów na ożywienie kampanii PiS słyszymy tradycyjnie już powtarzane wyzwania, by ściągnąć Beatę Szydło z Brukseli. Ale czy odgrzewanie pomysłu z 2015 r. nie świadczy o braku nowszych idei? Co z młodszymi twarzami?

Tusk był dla Jarosława Kaczyńskiego idealnym rywalem, a sytuacja duopolu była bardzo wygodna. Jeżeli ten generalny podział się rozszczelni i wyborcza rywalizacja będzie polifonią, to rządząca partia będzie musiała znaleźć receptę na taki stan rzeczy. A wymyślenie tego w szybkim tempie nie będzie łatwe. Jak oczywiście wskazują zwolennicy rządzących, partia z siedzibą przy Nowogrodzkiej podobno zawsze najlepiej się sprawdza, gdy musi improwizować. Zobaczymy, czy ta zasada sprawdzi się w najbliższych miesiącach.

Tusk był dla Jarosława Kaczyńskiego idealnym rywalem, a sytuacja duopolu była bardzo wygodna. Jeżeli ten generalny podział się rozszczelni i wyborcza rywalizacja będzie polifonią, to rządząca partia będzie musiała znaleźć receptę na taki stan rzeczy

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

Z Józefem Orłem, filozofem i ekonomistą, posłem na Sejm I kadencji
rozmawia Karol Gac

Opozycja nie przekonuje większości

KAROL GAC: Zima za nami, nadeszła wiosna. Odetchnął pan z ulgą?

JÓZEF ORZEŁ: To nie była meteorologicznie mroźna zima, więc nic strasznego się nie stało, ale politycznie będzie ona trwała jeszcze długo. Geopolitykę konstytuuje rywalizacja chińsko-amerykańska, co potrwa lata. Jeśli chodzi o wojnę na Ukrainie, to część analityków twierdzi, że jest czas na kontrofensywę ukraińską i może to być ostatnia szansa Kijowa, bo później trzeba będzie myśleć o zakończeniu konfliktu. Z kolei w Unii Europejskiej rozgrywka obliczona jest na początek zimy, czyli wybory parlamentarne w Polsce, i do tego czasu nic dobrego ze strony UE nas nie spotka. Amerykanie również czekają na zmianę władzy w Polsce, ale jeśli ta nie nastąpi, to dadzą sobie radę w kontaktach z PiS. Tego UE nie mówi, co może oznaczać, że USA mają plan B w sprawie Polski, a UE nie.

Jeśli chodzi o kraj, to żadne pory się nie liczą, bo kampania wyborcza trwa w najlepsze. Pora roku ma jednak znaczenie dla gospodarki, bo oczekuje się, że inflacja zacznie spadać. Według niepublikowanych, pogłębionych badań, jeśli inflacja zacznie spadać z miesiąca na miesiąc, to po czterech–pięciu miesiącach ludzie uznają, że przestała być ona problemem. Ludzie równocześnie patrzą na ceny dziś i na trend jutro. Jeśli się okaże, że za pół roku inflacja spadnie poniżej 10 proc., to psychicznie ludzie będą mieć to z głowy, bo dadzą sobie radę.

PiS wychodzi chyba z zimy zwycięsko? Rozwiązał problem węgla, narracja opozycji się posypała, a pod koniec marca ma niezłą pozycję wyjściową przed kampanią wyborczą.

Odniosę się do badań, o których wspominałem przed chwilą. Po pierwsze, według szeroko rozumianego obozu prawicy, łącznie z niezdecydowanymi, tylko trzy osoby się liczą – prezydent, premier i prezes PiS. Jak wiemy, Jarosław Kaczyński świetnie współpracuje z Mateuszem Morawieckim. Pozostaje bardzo trudna współpraca z prezydentem. Widać to np. po odesłaniu nowelizacji ustaw sądowych do Trybunału Konstytucyjnego, o którym prezydent wie, że nie działa. Zarówno prezes PiS, jak i premier wiedzą, że ta trójka powinna być twarzą kampanii. Pytanie jednak, jak zachowa się prezydent. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę plotki, zgodnie z którymi Andrzej Duda szuka sobie miejsca poza Polską.

Drugi punkt badań dotyczy nastrojów niezdecydowanych grup po obu stronach sceny politycznej, które liczą ok. 20 proc. wyborców obu obozów. Różnica jest jednak zasadnicza – niezdecydowani po stronie władzy nie wskazują partii drugiego wyboru, więc najwyżej zostaną w domu. Z kolei niezdecydowani po stronie opozycji jako partię drugiego wyboru wskazują inne ugrupowania opozycji, a nawet trochę PiS. Ich będzie łatwiej zdemobilizować.

Trzeci punkt jest ciekawy, ale to na razie tylko jedno badanie, a mianowicie, że PiS bez Solidarnej Polski miałby wynik nieco wyższy, niż idąc razem z nią. Wiemy jednak, że Zjednoczona Prawica pójdzie razem do wyborów. Poprzednio Solidarna Polska dostała ok. 10 mocnych miejsc na listach, a zdobyła 20 miejsc, co znaczy, że jej kandydaci są lepiej zorganizowani i zmotywowani. Teraz będzie to samo. Jeśli dostaną ok. 20 miejsc, to po wyborach będą mieć ok. 40 posłów. Zbigniew Ziobro powiedział, że liczy na to, iż kiedyś to PiS będzie mniejszym koalicjantem. Nie lekceważyłbym tego.

To badanie pokazuje, że zmienił się trend na korzyść PiS i wygląda on na głęboki, tj. taki, którego nie zmieni byle jaka informacja. To znaczy, że opozycja nie przekonuje większości być może dlatego, że Polacy bardzo głęboko boją się wojny i Rosji (właściwie odczytują jej intencje) i bardziej wierzą PiS, że zapewni im bezpieczeństwo. Nawet przy tak dużej inflacji PiS pokazał, że potrafi ugasić głębokie lęki społeczne, jak choćby w sprawie węgla.

Zatrzymajmy się na chwilę przy relacjach PiS z Solidarną Polską. Jarosław Kaczyński oznajmił, że chciałby iść razem z Solidarną Polską. Zbigniew Ziobro mówi, że jego partia przygotowuje się do samodzielnego startu. Taktyka negocjacyjna?

Podstawowy problem jest taki, że Solidarna Polska ma realistyczną diagnozę relacji z UE, ale poprzestaje na propozycjach prowadzących do polexitu, a na to nie czas, bo bilans całościowy jest jeszcze pozytywny, choć dobrze byłoby przedstawiać go na bieżąco, o co apeluję od lat.

eprasa.pl d9a6dd6456

Po brexicie widać determinację w KE, by dyktować wszystkim własne warunki. Ziobryści stosują prostą taktykę: „Mówimy, jak będzie – patrzcie, mieliśmy rację. Dlaczego nie zrobiliście tak, jak wam mówiliśmy?". Premier broni z kolei polityki „jeszcze warto". Sądzę, że ta różnica stanowisk będzie rosła, bo Polska będzie przegrywać w sporze z Brukselą i Berlinem, który szybko wróci do swojej dominującej postawy. Jedyną szansą na wzmocnienie pozycji Polski jest budowa Międzymorza, czyli sojusz państw sąsiadujących z Rosją, dla których Moskwa jest i będzie zagrożeniem, bo najprawdopodobniej w wyniku wojny nie rozpadnie się ani nie odejdzie od imperialnej polityki.

Trzeba rozróżnić Trójmorze i Międzymorze. Trójmorze to państwa byłej Jugosławii i Albania, a one nie są zagrożone przez Rosję, nie są więc zainteresowane wspólną obroną i budowaniem wspólnej silnej pozycji wobec Brukseli i Berlina. Międzymorze, czyli państwa od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego, powinno być (głównie) blokiem militarnym i politycznym, opartym na armii polskiej i ukraińskiej. Widać, że Ukraińcy potrafią walczyć, a my mamy armię, sprzęt i pieniądze.

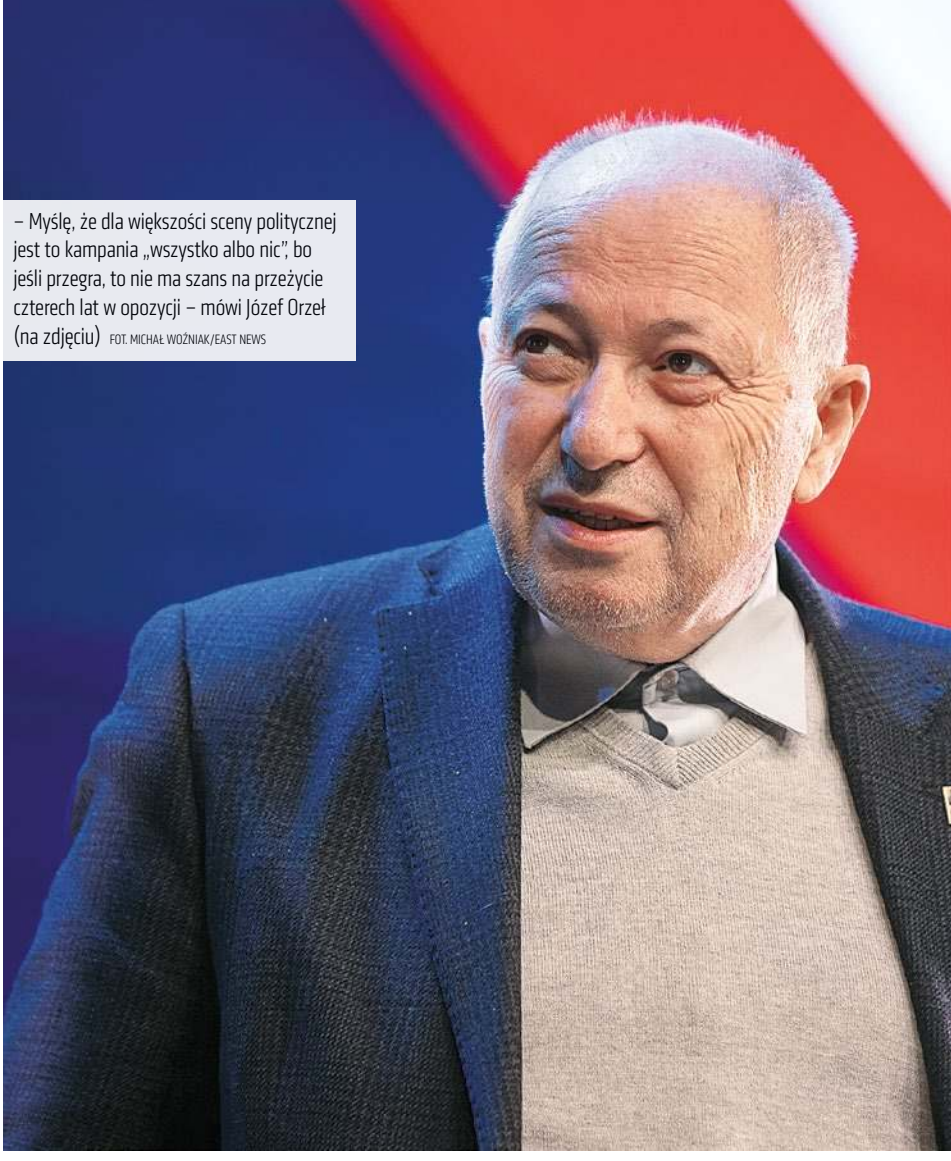

– Myślę, że dla większości sceny politycznej jest to kampania „wszystko albo nic", bo jeśli przegra, to nie ma szans na przeżycie czterech lat w opozycji – mówi Józef Orzeł (na zdjęciu) FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Mamy przełom marca i kwietnia, a pieniędzy z KPO jak nie było, tak nie ma. Prezydent Andrzej Duda skierował nowelizację ustaw sądowych do Trybunału Konstytucyjnego, którego legalność i tak zaskarżyła KE do TSUE. Może powinniśmy się już z tymi pieniędzmi po prostu pożegnać?

Przed wyborami parlamentarnymi na pewno tak, bo to się nie opłaca rywalizującej z nami Komisji Europejskiej. Zwracam uwagę, że przy tym osłabieniu Niemiec KE zyskała na samodzielności i znaczeniu. Widać to np. po ucieczce do przodu w sprawie polityki klimatycznej, ustanawiającej nierealne warunki dla całej UE. Za chwilę głównym hamulcowym będą Niemcy, które zrozumiały, że bez przemysłu samochodowego nie będą liderem Europy. Tyle tylko, że KE i Niemcy będą nas stale grillować. Właśnie zaczyna się kwestionowanie dania nam funduszy strukturalnych. Ciekawe jednak, co będzie po wyborach.

No właśnie. Załóżmy, że dalej będzie rządzić Zjednoczona Prawica. Czeka nas zmiana w relacjach z Brukselą?

Teraz PiS, by dostać środki unijne, jest gotów spełnić wszystkie warunki. Ale celem Brukseli i Berlina jest zmiana władzy w Warszawie, więc kasy nie dostaniemy. Jednak gdy PiS wygra i będzie rządzić następne cztery lata, pozycja Brukseli i Berlina osłabnie, bo nie wytrzymają kolejnych czterech lat na kursie kolizyjnym z Polską – i prędzej czy później te pieniądze dostaniemy.

W ostatniej naszej rozmowie wspominał pan, że trudno myśleć o zbilansowaniu budżetu bez pieniędzy z KPO. Jednocześnie oceniał pan, że bez tych pieniędzy Zjednoczona Prawica przegra wybory. Minęło jednak kilka miesięcy i wydaje się, że sytuacja – na polu gospodarczym i politycznym – z punktu widzenia PiS uległa poprawie. Zgodzi się pan?

Taki był dogmat zdecydowanej większości analityków, mediów i polityków, który i ja przyjąłem. Mea culpa. Rządowi PiS się udało pokazać, że te pieniądze nie są niezbędne i da się z budżetu państwa prefinansować i rozpocząć realizację projektów z kasy unijnej. Ludzie uwierzyli obozowi władzy, bo nie nastąpił żaden armagedon. To tworzy przestrzeń do postawienia pytania: Jeśli Bruksela i Berlin nie zmienią stosunku do Polski oraz będą próbować nadal sobie ją podporządkować, to czy to nie zagrozi ich pozycji w UE? I nie dlatego, że dojdzie do polexitu, ale dlatego, że w następnej kadencji większość Polski będzie miała dochód powyżej 75 proc. średniej unijnej i staniemy się płatnikiem netto, co wzmocni naszą pozycję. A jeszcze bardziej ją wzmocni budowanie sojuszu Międzymorza.

Najważniejsi politycy PiS zapowiadają pierwszy kongres na koniec czerwca. Czego powinniśmy się spodziewać w kampanii po partii rządzącej? W jakie tony Zjednoczona Prawica będzie pana zdaniem uderzać?

eprasa.pl d9a6dd6456

PiS dotrze do głębokiej sfery społecznych lęków i oczekiwań – bezpieczeństwa i tożsamości. Świetnie potrafi na tych nutach grać, bo przygotował taką orkiestrę od początku swojego istnienia. Opozycja nie może tam nawet sięgnąć, bo dla niej to jest wrogi teren, nie jest zainteresowana głębokimi uczuciami i tradycjami Polaków, bo jest im przeciwna. PiS na poziomie tożsamości jest mocniejszy, co pokazała teraz nieudana kampania opozycji wymierzona w Jana Pawła II. Jedynym problemem na tym poziomie jest inflacja, ale rząd, jak oceniałem wcześniej, chyba sobie z tym poradzi.

Wszyscy spodziewali się niezwykle brutalnej i brudnej kampanii. Tylko czy wydarzenia z ostatnich miesięcy mimo wszystko nie zaskoczyły skalą i intensywnością?

Myślę, że dla większości sceny politycznej jest to kampania „wszystko albo nic", bo jeśli przegra, to nie ma szans na przeżycie czterech lat w opozycji. Szczególnie dotyczy to obozu anty-PiS, jeśli w tym roku nie wygra. Trudno wyobrazić sobie jeszcze bardziej kryzysową sytuację Polski, która dałaby mu większą szansę na wygraną. To powoduje panikę w tym obozie, a ta – brutalność kampanii.

Opozycja nie potrafiła oddzielić problemów kleru od oceny Kościoła i wiary w Boga. Zamiast atakować pedofilów w Kościele, co przynosiło jej zysk polityczny, zaatakowali Jana Pawła II, czyli być może jedyny już wspólny fundament polskości. Inną rzeczą jest, że długookresowo to uderzenie może przynieść dalsze rozbicie społeczeństwa na korzyść anty-PiS. Strategiczny interes „Gazety Wyborczej" i TVN różni się od bieżącego interesu opozycji. Dzięki temu PiS ma łatwiejszą drogę do zwycięstwa.

Czołgi nie zmieniają optyki amerykańskiej, co może doprowadzić na Kremlu do paniki, która mogłaby się zakończyć użyciem np. taktycznej broni jądrowej. Samoloty już tak

Spójrzmy za naszą wschodnią granicę. Wojna na Ukrainie trwa już prawie 14 miesięcy. Wiem, że to trudne pytanie, ale jakiego rozwoju wypadków się pan spodziewa? Skuteczna kontrofensywa? Negocjacje i kompromis?

Odpowiedź jest paradoksalnie prosta. Większość analityków mówi o dwóch punktach, które wskazują, że długotrwała wojna daje większe szanse Rosji. Zachód może się zmęczyć, a Ameryka może zmienić nastawienie antyrosyjskie. To jest wojna na zasoby, a Rosja ma większą możliwość angażowania i tworzenia nowych zasobów – ludzkich, surowcowych czy militarnych. Nieważne, czy broń jest z lat 50., czy 60. Ważne, że jest, a w takim typie wojny odgrywa ona swoją rolę. Z kolei Ukraina ma dużo większe zasoby, ale nie swoje, lecz zachodnie. Tylko że Zachód w ogóle nie był przygotowany do takiej wojny. To, co mnie zadziwia, to to, że rok temu NATO wraz z Polską nie zdecydowało się na budowę fabryk broni i amunicji dla Ukrainy w Polsce. Trzeba jednak zwrócić uwagę na rywalizację amerykańsko-chińską, bo to zakłada maksymalne osłabienie Rosji przez USA, by jej sojusz z Chinami nie wzmacniał tych ostatnich.

Wydaje mi się, że wiem, jak Amerykanie chcą zakończyć wojnę. Chcą dać broń, której Ukraina naprawdę teraz potrzebuje, czyli rakiety dalekosiężne i samoloty, by wyłączyć przewagę rosyjską w powietrzu. Ale nie teraz, a po zawieszeniu broni, by dać Kijowowi gwarancję bezpieczeństwa przed kolejnym atakiem Rosji. Ten scenariusz zaczęła jednak już podważać rzeczywistość. I to dzięki Polsce. Ukraina już zaczęła dostawać myśliwce, a więc Zachód przekroczył kolejną barierę pomocy.

Podobnie było z czołgami.

Tak, ale bariera samolotowa była trudniejsza do pokonania. Czołgi nie zmieniają optyki amerykańskiej, co może doprowadzić na Kremlu do paniki, która mogłaby się zakończyć użyciem np. taktycznej broni jądrowej. Samoloty już tak. Sądzę, że jeszcze w tym roku Ukraińcy mogą otrzymać F-16, ale będzie to zależeć od sytuacji na froncie. Zwłaszcza gdy nie uda się kontrofensywa. Chodzi o to, by nie zaczęła wygrywać Rosja, bo to jest czerwona linia dla USA.

Tylko czy Amerykanie nie są niejako pod presją czasu? Nie wiadomo, jak rozstrzygną się wybory prezydenckie, a i nastroje Amerykanów mogą się zmienić.

To prawda. Wydaje się, że ciągle większość republikanów jest za taką samą – albo i większą – pomocą, ale Donald Trump zdobywa tam coraz silniejszą pozycję, co świadczy o kryzysie Partii Republikańskiej. Pytanie, co się stanie, jeśli Trump zostanie kandydatem republikanów na prezydenta? W jaki sposób republikanie będą głosować w Kongresie? Może część „urwie" się Trumpowi i zacznie wspierać demokratów. Jednak naprawdę nie wiadomo, co się wydarzy, jeśli Trump zostanie prezydentem. Tak jak Putin gra w zarządzanie niepewnością. Nawet jeśli myśli i chce działać logicznie, to sprawia wrażenie nieobliczalnego, bo tak jest najłatwiej prowadzić politykę. A jeśli działałby przeciw strategicznemu interesowi USA, to zawsze możemy liczyć na amerykański deep state, który przywoła każdego prezydenta do porządku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

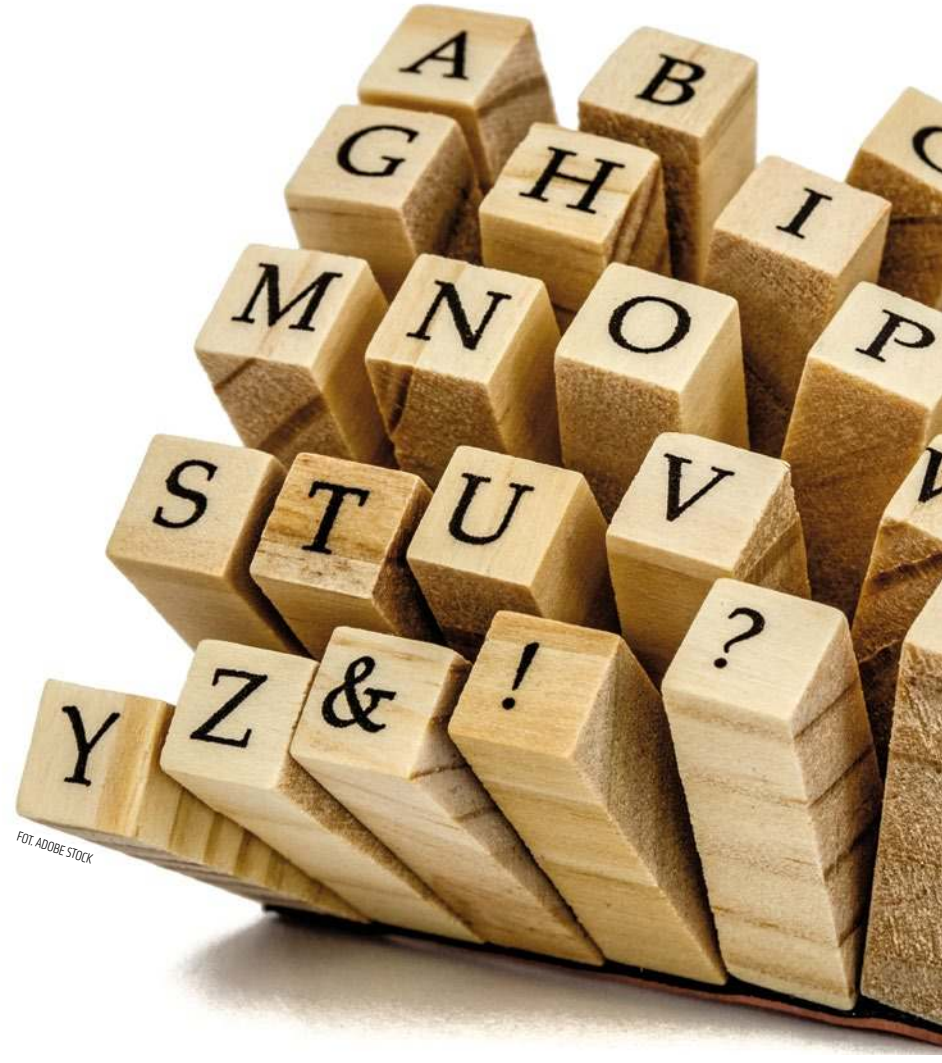

FOT. ADOBE STOCK

Alfabet apokalips

Rafał A. Ziemkiewicz

Media opozycji nie ustają w przekonywaniu, że apokalipsa jest blisko. Jej bliskość i nieuchronność są niezmienne, ale ponieważ trwa to już osiem lat, szczegółowe przyczyny apokalipsy się zmieniały, choć żadna nie została odwołana

Od ośmiu lat przeżywamy prawie codziennie koniec świata. Oczywiście nie wszyscy, tylko ci z nas, którzy obcują z lewicowo-liberalnymi mediami. Fenomen ten stanowi oryginalny polski wkład w dzieje demokracji: trudno wskazać inny kraj, w którym potężna formacja polityczna, jedna z dwóch najważniejszych w kraju, po przegranych wyborach po prostu wyparła tę przegraną z głowy i stanowczo odmówiła jakiejkolwiek analizy przyczyn swej klęski, wyciągania z niej jakichkolwiek wniosków czy bodaj rozważenia działań mogących służyć odzyskaniu utraconego poparcia. Zamiast tego całą strategię oparła na przekonaniu, że już, za chwilę, rządy ich przeciwników doprowadzą do katastrofy. A wtedy głupie społeczeństwo gorzko pożałuje, że zagłosowało tak, jak zagłosowało, i wróci z płaczem, na kolanach, błagając, aby odsunięte od władzy elity zechciały do niej wrócić.

Aby społeczeństwu uświadomić nieuchronność, z jaką to nastąpi, media opozycji nie ustają w przekonywaniu, że apokalipsa jest blisko. Jej bliskość i nieuchronność są niezmienne, ale ponieważ trwa to już osiem lat, szczegółowe przyczyny apokalipsy się zmieniały, choć żadna nie została odwołana.

AGENCJE RATINGOWE. Tak się składa, że pierwsza z apokalips w porządku alfabetycznym jest zarazem pierwszą chronologicznie. Natychmiast gdy stało się jasne, że władza się zmienia, media związane z poprzednią ekipą (czyli wtedy praktycznie wszystkie, także państwowe) ogłosiły rychłe i nieuchronne bankructwo kraju. Pierwszym jeźdźcem apokalipsy finansowej, uświadamiającym Polakom, że wyjść na ulicę i przegnać „pisowców" trzeba natychmiast, miały być spadające oceny polskiej wiarygodności przez światowe agencje ratingowe. Co prawda, ranking obniżyła w istocie tylko jedna z nich, tylko o jeden szczebel, nie ukrywając, że czyni to nie ze względów ekonomicznych, bo zagrożeń dla stabilności finansowej ze strony nowego rządu nie widzi, ale politycznych, bo ma obawy, czy polski system władzy jest „stabilny". Inne agencje tych obaw

eprasa.pl d9a6dd6456

nie podzieliły, wskutek czego i ta pierwsza się z nich wycofała i mimo kilkutygodniowej medialnej kampanii strachu bankructwo państwa wciąż jest przed nami.

BOJÓWKI. Od pierwszej chwili opozycja wiedziała, że PiS nie zadowoli się wyborczym zwycięstwem i przejmie pełnię władzy siłą – bo tak zrobił Hitler, a przecież Kaczyński to też Hitler, co wśród ludzi na pewnym poziomie „słyszy się samo przez się". W tym celu PiS tworzy zbrojne bojówki. Początkowo jako te szykowane do zamachu stanu bojówki wskazywano (wicenaczelny „Gazety Wyborczej" w wywiadzie dla „El Pais") grupy rekonstruktorów, zbrojone pod pozorem zabaw w odtwarzanie historii. Potem PiS ogłosił tworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej i od tej pory wiadomo już, że te „prywatne wojska PiS" zostaną użyte „przeciwko demokracji". I wiadomo to nadal, nikt zagrożenia nie odwołał.

DROŻYZNA. Nie trzeba przekonywać, że Polacy głodują i zwyczajnie nie stać ich na nic, a zwłaszcza na jedzenie. Aby to skazanym na rychłą śmierć głodową uświadomić, ktoś z oświeconych elit, bywa nawet, że i sam Tusk, od czasu do czasu zstępuje na niziny zwykłych dyskontów i targów, aby pokazać tam i znaleźć jakiś produkt tak szokująco drogi, że nie sposób zrozumieć, jakim cudem wciąż jeszcze kogokolwiek tam na dole na cokolwiek stać. Pewną przesłanką dla zrozumienia tego fenomenu może być niedawna publikacja „Dziennika Gazety Prawnej", który opierając się na danych z urzędów skarbowych, obliczył, że Polacy en masse z roku na rok są coraz bogatsi i nawet wytwarza się pod rządami PiS „klasa średnia". Ale to mało wiarygodne dane, bo wiadomo przecież, że w deklaracjach podatkowych każdy swoje dochody zawyża, jak tylko może.

DRZEWA. Szczególnie perfidnym planem PiS, a konkretnie śp. ministra Szyszki, było ogołocenie Polski z lasów i wycięcie, wzorem rządów złego Sharkeya/Sarumana w Hobbitonie, wszystkich drzew. Stało się to dla salonów i mediów opozycyjnych jasne po tym, jak wspomniany minister uprościł przepisy, które wymagały licznych zgód i zezwoleń na wycięcie przez właściciela drzewa na własnej działce. To, że lasy wciąż w Polsce są i być może zostaną niebawem uratowane przed niechybną zgubą przez objęcie ich władzą troskliwej UE, zawdzięczamy tylko zawziętej, wielotygodniowej walce, którą w ich obronie stoczyła opozycja, dzień w dzień pokazując wszystkie możliwe zdjęcia wyciętych drzew, jakie tylko udało się znaleźć w archiwach.

EDUKACJI SEKSUALNEJ ZAKAZ. Tak został przez opozycję zinterpretowany zapis w projekcie ustawy, że podlega karze, kto przedstawia osobie nieletniej treści nacechowane seksualnie. I niech nikt nie mówi, że nie była to trafna interpretacja projektu, skoro ten przebiegły zamiar zakazania edukacji seksualnej w Polsce potępił w jednej ze swych licznych antypolskich rezolucji Parlament Europejski!

INTERNET. Został Polakom odebrany przez ministra Ziobrę już na samym początku rządów PiS, mimo licznych demonstracji urządzanych „w obronie Internetu" w całej Polsce przez Komitet Obrony Demokracji, pod hasłami takimi jak: „Lepiej zęby myć w klozecie niż mieć Ziobrę w Internecie" czy: „Nie ma netu, nie ma sieci, nie ma wykształconych dzieci". Bezpośrednim powodem wyjścia przez KOD w obronie Internetu na ulice było implementowanie przez rząd do prawa polskiego eurodyrektywy o ochronie bezpieczeństwa w sieci. Pewnym zgrzytem jest tu postawa byłego przewodniczącego KOD, Mateusza Kijowskiego (zapewne właśnie dlatego byłego), który publicznie wyznał, że była to całkowita ściema, ale młodzież nie chciała przychodzić na marsze w obronie demokracji i praworządności, to myśleli, że w obronie Internetu przyjdzie. Niestety, młodzież po raz kolejny zawiodła.

IZOLACJA MIĘDZYNARODOWA. dała się zauważyć od razu po objęciu władzy przez PiS, z którą to chwilą wypadliśmy z „głównego nurtu polityki europejskiej". Do roku 2015 byliśmy jednym z państw rządzących Unią, czego dowodem, że zawsze „przemawialiśmy jednym głosem" z decydującymi o jej losach mocarstwami. Może nie była to taka potęga jak za czasów PRL, kiedy to przemawialiśmy jednym głosem z mocarstwem rządzącym połową świata, ale zawsze coś. Teraz wszystko to przepadło, nikt się z Polską nie liczy, nie przyjeżdżają do nas żadni ważni przywódcy światowi, zwłaszcza prezydent USA, a prezydent Duda jest w Ameryce przyjmowany przy windzie i nie pozwalają mu usiąść przy historycznym biurku Waszyngtona. A jeśli ktoś ma co do całkowitej izolacji pisowskiej Polski wątpliwości, to jej dowodem ostatecznym i niepodważalnym są dwie liczby: 27 i 1. I wszystko jasne.

KORONAWIRUS. Każdy, kto umarł w czasie pandemii, jest ofiarą koronawirusa, a każda ofiara koronawirusa jest ofiarą ludobójstwa barbarzyńskiego rządu PiS. Ludobójstwo to przeprowadził PiS w kilku etapach. Po pierwsze, nie kupił respiratorów. Po drugie, kupił

eprasa.pl d9a6dd6456

respiratory, i to była afera. Po trzecie, nie kupił szczepionek. Po drugie, kupił ich za dużo i teraz nie ma z nimi co robić, a pieniądze poszły na zmarnowanie. Po pierwsze i pół, jak już miał szczepionki, to nie wprowadził obowiązku szczepienia i nie dość surowo karał za nienoszenie maseczek. Po drugie pierwsze, nie podporządkował całej służby zdrowia wyłącznie leczeniu koronawirusa, przez co ofiary zarazy nie mogły się doczekać leczenia i masowo umierały. Po drugie drugie, potem podporządkował całą służbę zdrowia wyłącznie leczeniu koronawirusa, przez co inni chorzy nie mogli się doczekać leczenia i masowo umierali. Po trzecie, chciał zrobić wybory kopertowe, a po czwarte, w końcu ich nie przeprowadził. Wszystko to zostało w mocnym tonie odnotowane i zdemaskowane przez opozycję, nie naraz oczywiście, ale kolejno, etap po etapie, w świetle mądrości każdego z etapów.

KREW SIĘ POLEJE „Powiedzmy to sobie otwarcie, PiS nie przestraszy się manifestacji pokojowych". Żeby go odsunąć od władzy, opozycja – jak to ujął Leszek Miller – „musi się zdobyć na brutalność". Liczni jej liderzy opinii i politycy ubolewają nad tym, że wskutek rządów pisowskiego reżimu „poleje się w końcu krew", bo „ludzie wreszcie stracą cierpliwość", ale rozumiejąc historyczną konieczność, nie starają się oczekiwanemu przelewowi krwi zapobiec. Tu na szczególnie czułą pamięć zasługuje Zbigniew Hołdys, który w czasie największych, kilkunastotysięcznych manifestacji KOD na ulicach Warszawy zagrzewał manifestujących na Twitterze, by szli na całość i nie ograniczali się (to właśnie z tych tweetów pochodzi cytat użyty na wstępie), a pomiędzy te bojowe pobudki wplótł tweet z podziękowaniem dla właściciela spa, w którym właśnie zażywał był kąpieli i rekreacyjnych zabiegów.

OSTATNIE WYBORY. Każde od ośmiu lat są ostatnie, a ich stawką jest „sama demokracja jako taka", bo jeśli PiS wygra, to następnych już nie będzie. Każde też okazują się sfałszowane. O tym, że tak jest i że np. Andrzej Duda nie jest wskutek tego legalnym prezydentem, informowali świat liczni przedstawiciele opozycji, w tym tak prominentni jak marszałek Grodzki. I, jak zapowiedział w jednej ze swych płomiennych internetowych odezw Roman Giertych, nie zostaną przez opozycję uznane za sfałszowane dopiero te wybory, które ona wygra. Przyznajmy, że jest to dość wysoko ustawiony próg.

Pod rządami PiS węgiel jest węglem Schrödingera, to znaczy zarazem jest i go nie ma, przy czym zarówno jedno, jak i drugie jest katastrofą

ROZBIÓR UKRAINY. Wojna za naszą wschodnią granicą jest oczywiście winą PiS, którego agenturalność wobec Kremla i osobiście Władimira Putina została bez żadnych wątpliwości (literalnie żadnych – widział ktoś jakiekolwiek polemiki z tą tezą w „wolnych mediach", bo przecież te reżimowe się nie liczą?) udowodniona w książkach Tomasza Piątka i wywiadzie gen. Piotra Pytla. To właśnie Kaczyński wespół ze swym innym złowrogim przyjacielem dyktatorem, Viktorem Orbánem, namówił Putina do napaści na Ukrainę po to, aby oderwać od niej Lwów. Właśnie w tym celu – oderwania Lwowa – PiS obecnie inwestuje wielkie pieniądze, które można by wydać na żłobki, przedszkola i „babciowe", w zakup broni. Swoje plany niechcący wyłożył Jarosław Kaczyński w pierwszych miesiącach wojny, wzywając do wprowadzenia na Ukrainę międzynarodowych sił pokojowych pod sztandarem NATO. Eksperci liberalnej lewicy, na czele z Tomaszem Lisem i Romanem Giertychem, od razu domyślili się, czemu ma to służyć: Kaczyński chce wejść na czele polskich wojsk do Lwowa, przyłączyć zachodnią Ukrainę do Polski i jako ten, dzięki któremu Kresy powróciły do macierzy, ogłosić się dożywotnim dyktatorem, a może nawet królem. Pośrednim dowodem, że tak właśnie wyglądają skrywane plany dyktatora z Żoliborza, jak również dowodem jego powiązań z Putinem, jest uparte blokowanie i opóźnianie przez reżim PiS pomocy dla walczącej Ukrainy, którą próbują dostarczyć jej Niemcy i inne kraje.

WĘGIE. Pod rządami PiS węgiel jest węglem Schrödingera, to znaczy zarazem jest i go nie ma, przy czym zarówno jedno, jak i drugie jest katastrofą. Kiedy węgiel istnieje, to powoduje smog, który to smog, jak z właściwą sobie odwagą i przenikliwością wskazała „Gazeta Wyborcza", PiS wytwarza celowo, by truć Polaków w ramach planowego, wyniszczającego ich opór ludobójstwa („ludobójstwa, i nie jest to żadna metafora", powtórzmy za autorem tej demaskacji Jackiem Żakowskim). Poza tym sprowadzanie tego węgla służy finansowaniu zaprzyjaźnionego z PiS Putina (patrz: Rozbiór Ukrainy). Natomiast jeśli węgla nie ma, to jest to po pierwsze dowodem, że PiS nie umie go sprowadzić, a jeśli nawet sprowadza, to taki, który położony na łopacie nie daje się zapalić palnikiem od góry, co pokazała telewizja TVN24. Przez co ostatnia zima była ostatnią.

WYPROWADZENIE/WYRZUCENIE POLSKI Z EUROPY. Może do tego dojść każdej nocy – jak alarmowała już kilka lat temu europosłanka PO (obecnie ruchu Polska 2050), „grunt pod polexit jest już przygotowany" i Kaczyński szykuje się do tego, żeby na nieoczekiwanym zwołanym w nocy posiedzeniu, pod nieobecność opozycji, wyprowadzić Polskę z Unii, bo „można to zrobić jedną ustawą". Jest to plan tym bardziej oburzający, że w ten sposób uprzedziłby PiS nieuchronnie zbliżające się „wyrzucenie z Europy" Polski, do którego prowadzi sprzeczna z wartościami Unii polityka reżimu i przed czym przestrzegają m.in. Donald Tusk i Anne Applebaum w rozmowie rzece „Wybór", której wydaniem uczcił „król Europy" swój powrót do kraju, by „znowu walczyć o jego wolność". Zawarte tam przestrogi uaktualnił Tusk niedawno, wyjaśniając, dlaczego pomimo upływu ośmiu lat pod rządami reżimu wciąż nie zostaliśmy z Europy ani wyrzuceni, ani wyprowadzeni. Obecnie wiadomo, że stanie się to, kiedy do władzy dojdzie koalicja PiS z Konfederacją.

ZIMA. Wszyscy umarliśmy już z głodu i zimna najpóźniej w lutym. Sami państwo wiedzą. Nie chcą chyba państwo powiedzieć, że tyle medialnych autorytetów mogło się w swych przewidywaniach mylić?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

Reaktywacja Kwaśniewskiego?

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Tomasz Rowiński

Branie pod uwagę Kwaśniewskiego na szefa NATO byłoby dla samego kandydata niekomfortowe. Bo trzeba by prześwietlić jego karierę

Chociaż Tomasz Szatkowski, stały przedstawiciel Rzeczypospolitej przy NATO, zaprzeczył, by można było traktować plotkę o kandydaturze Aleksandra Kwaśniewskiego na szefa sojuszu północnoatlantyckiego poważnie, jej pojawienie się wydaje się jednak nieco niepokojące. Ten pomysł, gdyby jednak zawarta w nim była choć odrobina prawdy, można by potraktować jako próbę reaktywacji politycznego zombie postkomunizmu. Czy rzeczywiście tego Polsce potrzeba? Szczególnie że losy byłego prezydenta w ostatnich kilkunastu latach nie należą do kryształowych.

„To stały temat przy deserze. Wszyscy, którzy poważnie myślą o kandydatach, trzymają raczej karty przy sobie. Jest kilku stałych kandydatów. Mowa o premierze Holandii czy o premierze Hiszpanii. Jest kilka nazwisk ze wschodniej flanki. Tego rodzaju dyskusje nie pomagają tym, którzy mogliby zostać sekretarzem generalnym. Nie przywiązywałbym dużej wagi do spekulacji" – tak plotki dotyczące Kwaśniewskiego Szatkowski komentował pod koniec marca. I dodał: „Pan prezydent Kwaśniewski był aktywny w polityce międzynarodowej 20 lat temu, ale obecni liderzy NATO go nie znają. [...] Wiem, że wielu polityków obozu rządzącego zapowiedziało, że byliby gotowi go poprzeć, ale to nazwisko nie pojawia się".

SKĄD TA PLOTKA

Gdy jednak plotka o możliwej kandydaturze Kwaśniewskiego pojawiła się po raz pierwszy na początku marca, europoseł PiS Ryszard Czarnecki zareagował na nią niemal entuzjastycznie. – Trzymam kciuki za każdego Polaka i w Parlamencie Europejskim głosowałem na ludzi z różnych opcji politycznych na stanowiska, poczynając od pana profesora Geremka

eprasa.pl d9a6dd6456

na szefa Parlamentu czy Jerzego Buzka, także kolegów z Lewicy, którzy kandydowali do prezydium – powiedział w Radiu Plus. – Ja w Brukseli, a to jest siedziba NATO, o takiej kandydaturze nie słyszałem. Natomiast jakby się pojawiła, to oczywiście polski rząd powinien wspierać tę kandydaturę, natomiast pytanie, czy ma realne szanse. Myślę, że tak naprawdę raczej w sierpniu, we wrześniu będą ci kandydaci poważni zgłaszani. Czarnym koniem może być Mark Rutte z Holandii – dodał europoseł, wcześniej zaznaczając, że o innych niż Kwaśniewski kandydaturach już słyszał. – Mówi się dzisiaj, i nie jest to tajemnicą, o obecnej premier Estonii, mówi się o obecnej premier Litwy, byłym prezydencie, o obecnej prezydent Słowacji, a także wymienia się np. prezydenta Rumunii, a więc to już policzyłem, pięcioro kandydatów z naszego regionu, w tym cztery kobiety – podsumowywał sprawę Ryszard Czarnecki.

Od tego czasu wiele mogło się zmienić, ale z wypowiedzi posła PiS wynika, że wtedy, gdy polskie media obiegła wiadomość dotycząca możliwej kandydatury Aleksandra Kwaśniewskiego, nie była ona oczywistością. Może nawet w ogóle nie funkcjonowała na rozkręcającej się w Europie karuzeli nazwisk.

Tego samego dnia co Czarnecki sprawę komentował też wiceszef MON Marcin Ociepa. – Myślę, że to jest przeciek, który nie służy Aleksandrowi Kwaśniewskiemu. Nie tak dokonuje się wyboru sekretarza generalnego NATO. Ktoś wypuścił ten przeciek, ale nie podejrzewam samego prezydenta Kwaśniewskiego. Myślę, że ktoś chciał mu zaszkodzić lub spalić tę kandydaturę. Być może był taki plan – powiedział Polsatowi News.

Trudno do końca zrozumieć, co minister miał na myśli. Czy chciał powiedzieć, że kandydatura Aleksandra Kwaśniewskiego nigdy nie była poważnie brana pod uwagę i mamy do czynienia z plotką, że była jakimś próbnym balonem czy może raczej, że pomysł był w pewnych kręgach całkowicie realnie brany pod uwagę i zbyt szybkie jego ujawnienie miałoby Kwaśniewskiemu „zaszkodzić lub spalić tę kandydaturę"? Nie można wykluczyć, że mieliśmy do czynienia z takim oto mechanizmem – w obozie rządzącym ktoś rzucił pomysł, by na szefa NATO wystawić Kwaśniewskiego jako „człowieka ponad podziałami", a ktoś inny zupełnie słusznie uznał, że to absurd, by antykomunistyczna z ducha formacja polityczna, którą jest PiS, promowała postkomunistycznego byłego prezydenta na reprezentanta Rzeczypospolitej o międzynarodowej randze. Minister Ociepa w rozmowie dla Radia Plus potwierdził ambicje Polski, by to przedstawiciel naszego kraju objął funkcję szefa sojuszu, trzeba zatem przyjąć, że sprawie nadano w kręgach ZP jakiegoś rodzaju dynamikę.

Sam Aleksander Kwaśniewski do tematu podszedł z dyplomatycznym dystansem. – To są spekulacje. Nikt ze mną nie rozmawiał. Poza tym mam silne przeświadczenie, że tych aktywnych obecnie polityków, którzy będą walczyć o to stanowisko, jest tak dużo, że byli politycy nie mają tutaj wielkich szans – powiedział były prezydent dwa dni po pierwszych informacjach na temat własnej rzekomej kandydatury.

Aleksander Kwaśniewski jest odpowiedzialny za ułaskawienie Petera Vogla

Trudno mu się dziwić, powrót do życia publicznego oznaczałby ponowne prześwietlenie wszystkich nie do końca jasnych spraw, które się wiążą z jego osobą. I to zarówno tych z czasów 10 lat prezydentury, jak i późniejszych. A jest ich całkiem sporo.

KARIERA BUDZĄCA WĄTPLIWOŚCI

Właściwie od roku 1995 – nie sięgając już w odleglejszą przeszłość – kariera Kwaśniewskiego jest ciągiem budzących wątpliwości spraw: kłamstwo w sprawie braku wyższego wykształcenia, zatajenie informacji o posiadaniu akcji TU Polisa, które znajdowały się w majątku jego żony Jolanty, udział – w czasie trwania prezydentury – w reklamie mebli Forte, których sprzedażą w Gdańsku trudnił się szwagier żony prezydenta. Do tego trzeba doliczyć pijacki incydent w Charkowie z roku 1999, który miał miejsce podczas 59. rocznicy zbrodni katyńskiej, czy kpiny z Jana Pawła II z roku 1997 (wysiadając w Kaliszu z helikoptera, rozbawiony Kwaśniewski nakłonił swojego ministra Marka Siwca, by ten ucałował ziemię, naśladując gest znany z pielgrzymek papieża; wcześniej Siwiec „pobłogosławił", stojąc na schodkach helikoptera, oczekujących prezydenta ludzi).

W czasie działań komisji ds. afery Rywina w 2002 r. okazało się, że Kwaśniewski wiedział o korupcyjnej propozycji, z którą ten producent filmowy udał się do Adama Michnika, jednak odmówił stawienia się przed posłami badającymi sprawę. Mediom powiedział wtedy: „Ja mogę się stawić. Mogę zaśpiewać i zatańczyć, tylko niech pan powie po co?". Prezydent mógł się stawić, ale skoro się nie stawił, to widocznie z jakiegoś powodu nie chciał.

Kwaśniewski miał też przygodę z inną sejmową komisją śledczą. Już po końcu drugiej kadencji za sprawą komisji ds. Orlenu na jaw wyszły jego kontakty z Janem Kulczykiem. Według notatki wywiadu Kulczyk na spotkaniu z rosyjskim szpiegiem Władimirem Ałganowem, gdy omawiał możliwość sprzedaży należącej do Skarbu Państwa Rafinerii Gdańskiej, powołał się na poparcie „Pierwszego", co miało oznaczać prezydenta.

Kwaśniewski jest także odpowiedzialny za ułaskawienie Petera Vogla, znanego też pod nazwiskiem Filipczyński. Człowiek ten nazywany był swego czasu „kasjerem lewicy" i miał opiekować się tajnymi szwajcarskimi kontami polskich polityków. Historia Vogla jest jednak znacznie bardziej mroczna i podejrzana. W czasach PRL odsiadywał on wyrok za morderstwo i został w niejasnych okolicznościach zwolniony, po czym wyjechał na Zachód, skąd wrócił już jako „bankier" i człowiek pozostający w bliskich kontaktach z politykami. Kwaśniewski, tłumacząc się z tej sprawy, zastosował metodę podobną do tej, którą posłużył się wcześniej przy sprawie akcji TU Polisa, formalnie należących do jego żony. Jak wtedy twierdził, że nie wiedział o istnieniu małżeńskiej wspólnoty majątkowej, tak tu oświadczył, że zaufał pozytywnej opinii otrzymanej z sądu i prokuratury.

Trzeba powiedzieć, że już powyższa lista podejrzanych spraw dotyczących tylko lat prezydentury Kwaśniewskiego jest całkiem imponująca. Szczególnie jak na

eprasa.pl d9a6dd6456

potencjalnego szefa sojuszu północnoatlantyckiego w trzeciej dekadzie XXI w. A przecież nie jest ona tak zupełnie pełna. Można by dopisać do niej jeszcze np. słowo o relacjach Jolanty Kwaśniewskiej z lobbystą Markiem Dochnalem.

Gdy czyta się, w jaki sposób Aleksander Kwaśniewski podsumowywał lata swojej prezydentury, trudno się nie uśmiechnąć szyderczo. „Był to czas stabilny, okres, w którym ludzie – w ogromnej większości – mieli poczucie bezpieczeństwa i pewności" – mówił prasie były już prezydent. Z dzisiejszej perspektywy wszystkie te skandale, ciągnące się za Kwaśniewskim do roku 2005, przypominają polskie lata 90. – i to takie, mówiąc kolokwialnie, na pełnej petardzie. Kwaśniewski bowiem jest człowiekiem mentalności tych czasów, do których nie wiadomo, czy bardziej pasuje określenie „ziemia obiecana", z powodu wielości pojawiających się szans, czy raczej „dziki zachód", z powodu wpływów mafii, zrywających się z łańcucha służb, trzymającego władzę układu, którego Pałac Prezydencki był ważnym elementem.

Z tej perspektywy istotne wydarzenia czasów Kwaśniewskiego, jak wejście Polski do UE i wcześniej NATO, wydają się pozłotą położoną na październierzowej płycie.

WYPŁATY Z GOLDMAN SACHS I OD NAZARBAJEWA

Koniec prezydentury wcale nie oznaczał końca dziwnych historii Aleksandra Kwaśniewskiego. Już w roku 2006, czyli zaledwie kilkanaście miesięcy po zakończeniu urzędowania, Kwaśniewski mógł się pochwalić rekordowo wysokimi zarobkami dzięki współpracy z bankiem Goldman Sachs. Wszystko to działo się niedługo przed podjętą przez GS spekulacyjna grą na osłabienie złotówki. Dziś wydarzenia te zacierają się w pamięci, ale wtedy akcję GS uznano za bardzo poważne zagrożenie dla państwa. Sprawa została ujawniona kilka lat później, gdy katowiccy prokuratorzy prowadzili śledztwo w sprawie ukrywania przez Kwaśniewskich niektórych dochodów. „Dlaczego Goldman Sachs podjął współpracę z absolwentem handlu zagranicznego bez magisterki? Najwidoczniej w banku tym ceni się polskich polityków, bo oprócz Aleksandra Kwaśniewskiego z instytucją był też związany premier Kazimierz Marcinkiewicz – z wykształcenia nauczyciel fizyki" – trafnie ironizował w 2013 r. jeden z tabloidów.

Kwaśniewski był też członkiem powstałego w 2010 r. i sowicie opłacanego zespołu doradczego działającego przy autokratycznym prezydencie Kazachstanu Nursułtanie Nazarbajewie. W radzie tej znaleźli się także były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair i były kanclerz Austrii Alfred Gusenbauer. Śladem po tej współpracy jest artykuł Kwaśniewskiego opublikowany na łamach „Guardiana", w którym były prezydent Rzeczypospolitej lobbuje na rzecz współpracy Zachodu z Nazarbajewem i namawia do „odrzucenia uprzedzeń".

Z kolei w roku 2014 Kwaśniewski musiał się tłumaczyć z informacji ujawnionej przez portal Buzzfeed.com, wedle której zasiadał on we władzach ukraińskiej spółki gazowej Burisma Holdings należącej do jednego tamtejszych oligarchów Mykoły Złoczewskiego. Wówczas zaangażowanie Kwaśniewskiego w rolę doradcy firmie byłego członka rządu prorosyjskiego prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza zgodnie krytykowali Jarosław Kaczyński i Donald Tusk.

W roku 2013 media pisały o tym, że Kwaśniewski miał lobbować u Donalda Tuska w imieniu rosyjskiego oligarchy Wiaczesława Kantora, by ten mógł przejąć Grupę Azoty. Kantor to oligarcha putinowskiej Rosji. Był też przewodniczącym Europejskiego Kongresu Żydowskiego i Europejskiego Funduszu Żydowskiego. Założył Fundację Światowego Forum Holokaustu i przewodniczył jej. Od kwietnia 2022 r. jest objęty sankcjami w związku z rosyjską agresją na Ukrainę, wciąż jednak poprzez swoje spółki posiada ok. 20 proc. akcji Grupy Azoty. To pozostałość po próbie całościowego przejęcia przedsiębiorstwa kontrolowanego przez Skarb Państwa. Widać, Kwaśniewski nie miał oporów, by pomagać rosyjskiemu biznesowi na nowo rozsiadać się nad Wisłą.

Trzeba też wspomnieć o ciągnącej się latami sprawie willi w Kazimierzu Dolnym, która miała być, według śledczych z CBA, kupiona na podstawioną osobę. Podejrzewano, że Kwaśniewscy w ten sposób ukrywają dochody, a także być może dopuszczają się prania brudnych pieniędzy. Choć ostatecznie sprawę umorzono w 2022 r. ze względu na „brak danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia czynu", to jednak, co pozostało jako efekt działań operacyjnych służb i było opisywane wielokrotnie przez dziennikarzy, w dalszym ciągu rzuca cień na byłego prezydenta.

W wyniku akcji kontrolowanego przez CBA zakupu willi ustalono, że właścicielka domu konsultowała telefonicznie z Jolantą Kwaśniewską ofertę kupna – złożoną przez agenta Tomasza Kaczmarka. Przy tym w rozmowach telefonicznych rozmówczyni Kwaśniewskiej posługiwała się kryptonimizowaną mową. Mówiła, że „znalazła kupca na buty, ale on nie chce zapłacić 350 zł, tylko 310". Oferta została przyjęta, ale oficjalna kwota transakcji miała wynosić jedynie 1,6 mln zł, resztę pieniędzy planowano przekazać w sposób nierejestrowany. CBA liczyło, że właścicielka willi po dokonaniu transakcji przekaże pieniądze Jolancie Kwaśniewskiej, jednak ta udała się do kantoru wymiany walut i operacja musiała zostać przerwana.

Kłopoty Kwaśniewskich z willą zaczęły się zresztą w pewien sposób od opublikowanej przez media w 2007 r. rozmowy Józefa Oleksego z Aleksandrem Gudzowatym, w którym były premier nazwał byłego prezydenta „małym krętaczem", a także stwierdził, że „Kwaśniewscy nie potrafiliby się wytłumaczyć z willi". W roku 2020 na podstawie decyzji prokuratora regionalnego w Katowicach Centralne Biuro Antykorupcyjne udostępniło wszystkie materiały związane ze śledztwem. Kto chce, może się dokładnie przyjrzeć, w jaki sposób działały służby, a w jaki były prezydent i jego żona. Kwaśniewscy wydali w tej sprawie oświadczenie, nazywając raport manipulacją.

I teraz, zupełnie na koniec, zastanówmy się, po tej całej litanii podejrzanych historii pana prezydenta, czy Polska chciałaby mieć takiego szefa w siedzibie NATO. Czy to byłoby dobre dla polskiego interesu? Naprawdę, niech ta szafa z postkomunistycznym zombie pozostanie już zamknięta – szczelnie i na zawsze. A ci, którzy taki pomysł zaproponowali, niech przemyślą sprawę raz jeszcze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

Raj nad Wisłą?

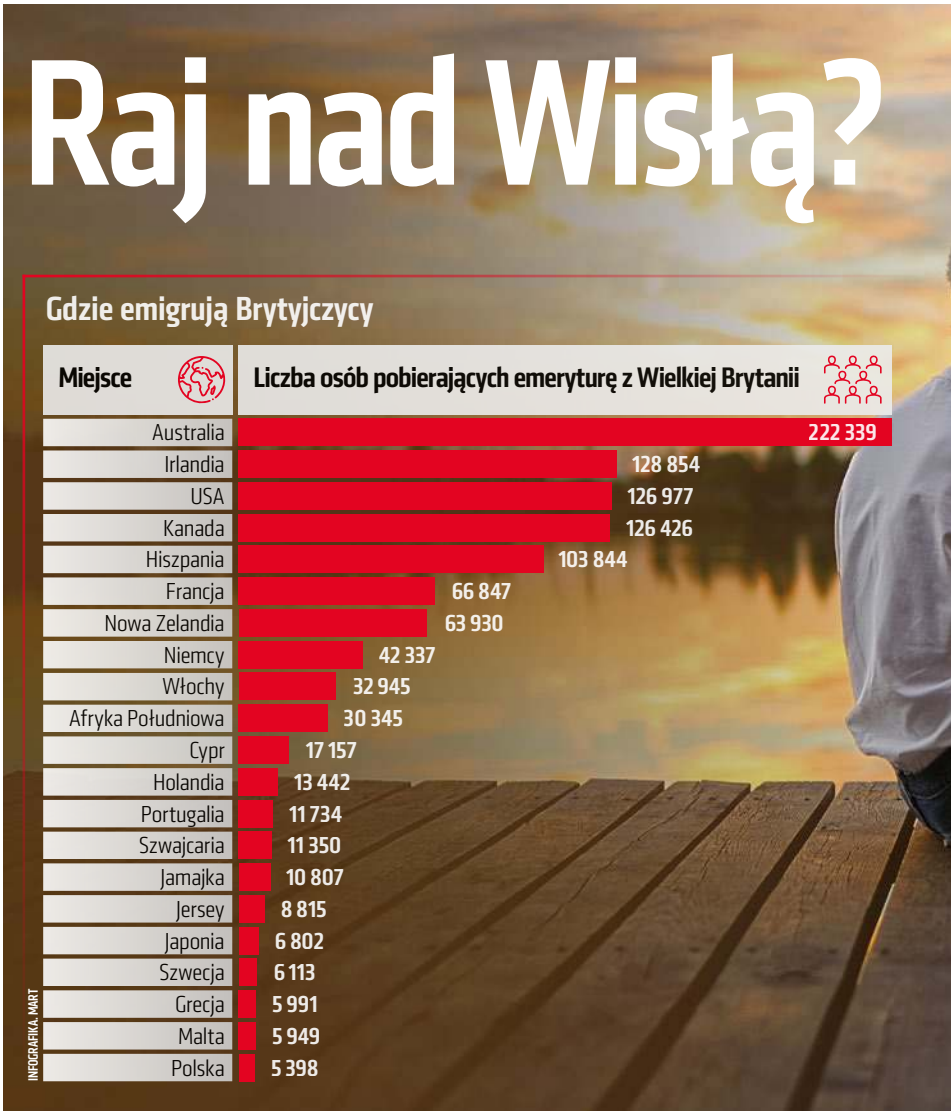

Łukasz Zboralski

Brytyjski raport zadziwił ekspertów na Wyspach. Emeryci z tego kraju zamiast słonecznych plaż na resztę życia zaczęli wybierać Polskę

To, co mimo 13. i 14. emerytur różni jeszcze polskich seniorów od tych z krajów Europy Zachodniej, to to, że u nas na starość wybierają się na rowerowe wycieczki – czasem dlatego, że nie stać ich już na sprawne auto – a Belgowie, Holendrzy czy Francuzi odpoczywają na ogromnych wycieczkowcach obwożących ich po Karaibach.

Oczywiście nie wszyscy chcą wydawać emerytury na luksusowe podróże. Część zachodnich emerytów woli poczuć się jak król tam, gdzie ich emerytury realnie nabierają jeszcze większej wartości. Od dawna obserwują to np. mieszkańcy Kołobrzegu. Sam zdumiałem się kilka lat temu, gdy akurat nocowałem w jednym z kołobrzeskich hoteli i zszedłem na kolację – parkiet pełen był niemieckich par w podeszłym wieku, a orkiestra przygrywała im do tańca bawarskie przeboje. Niemcy nazywają Kołobrzeg „emeryckim rajem". Zapełniają rynek, lokale, hotele i plaże. Z pensjami w euro polskie sanatoria są dla nich tanim miejscem ze zdrowotnymi zabiegami. Dlatego w mieście nie brakuje szyldów także w ich języku.

KIERUNEK: KOMFORT

Część zamożnych emerytów z Europy szuka podobnie taniego miejsca, tyle że do spokojnego dożycia do ostatnich dni. Robią to oczywiście także Brytyjczycy. Mają za co. Bo mają dobry system emerytalny. Według raportów Mercer CFA Institute Global Pension Index – które porównują 44 systemy emerytalne świata i uwzględniają wiele składników do pomiaru tych dochodów – brytyjski system osiąga oceny powyżej 70 punktów, gdy polski zaledwie 55 (dane za rok 2021).

Nic dziwnego, że emeryci z Wysp wybierali często inne miejsca do życia. Zwykle takie, gdzie mogą zapomnieć o mglistym i mokrym rodzinnym klimacie. Jakie?

Zestawienie sprzed kilku lat wskazywało, że najwięcej Brytyjczyków postanawiało osiedlić się w Australii. To był emerycki numer jeden. Ciepło, wspaniałe plaże i wysoki standard życia. Oczywiście były i minusy – wysokie ceny domów i jedzenia, czyli szybszy wypływ środków z funduszu emerytalnego.

Drugim państwem, w którym osiedlało się najwięcej emerytów, są Stany Zjednoczone. Choć osiedlanie się w USA nie jest już tak proste; zdecydowanie łatwiejsze to jest dla tych, którzy posiadają już tam rodzinę. Kolejny raj – Kanada. Bez opłat za leczenie, wizyty lekarskie czy nawet u dentysty.

Piątkę najpopularniejszych kierunków zamykały dwa kraje europejskie. Pierwszy to Republika Irlandii. Powód jest dość prosty: fantastyczna przyroda i relatywnie niższe ceny nieruchomości oraz bliskość tego kraju sprawiają, że emeryci często wybierają Szmaragdową Wyspę.

Piątym krajem, który przyciągnął najwięcej brytyjskich emerytów, była Hiszpania. Właściwie – jak szacowano – może ich być tam znacznie więcej, niż wynikało to z oficjalnej statystyki, wielu z nich bowiem od dawna posiadało tam drugie domy i spędzało część roku.

BREXIT POMÓGŁ WYBRAĆ POLSKĘ?

Te trendy właśnie zostały odwrócone. Finansowa porównywarka – Investing Reviev – opublikowała krótki raport oparty na danych brytyjskiego Departamentu Pracy i Emerytur dotyczący tego, gdzie po brexicie Brytyjczycy najczęściej pobierają swoje świadczenia emerytalne. Tu małe

eprasa.pl d9a6dd6456

FOT. ADOBE STOCK

wyjaśnienie: po tym, jak Wielka Brytania opuściła Unię Europejską, emeryt z Wysp może nadal wybrać kraj UE, ale musi zapewnić sobie status stałego pobytu. Oznacza to traktowanie takie samo, jak wobec obywateli innych krajów spoza wspólnoty. Tu zaczynają się schody, bo tylko niektóre państwa mają specjalne wizy, które mogą bardziej odpowiadać sytuacji emerytów. Tak jest np. w Hiszpanii, która oferuje wizę przeznaczoną dla osób, które mają środki finansowe umożliwiające pobyt w tym kraju bez starania się o pracę zarobkową.

Czy zatem nastąpił boom na Hiszpanię? A skąd! Okazało się, że od 31 stycznia 2020 r. (czyli od dnia opuszczenia UE przez Wielką Brytanię) lawinowo wzrosła liczba emerytów z Wysp, którzy brytyjskie emerytury pobierają w Polsce. To wzrost aż o 75 proc. W sumie nad Wisłą przybyło w tym czasie 2212 brytyjskich seniorów. W liczbach bezwzględnych – najwięcej w tym zestawieniu. Kolejnym często wybieranym miejscem była Francja (1804 emerytów pobierających tam emerytury od brexitu). Jednak tam liczba osób pobierających brytyjską emeryturę wzrosła ostatnio jedynie o 3 proc.

Biorąc pod uwagę jeszcze szerszy okres – od 2012 do 2020 r. – liczba tych, którzy w Polsce pobierają brytyjskie emerytury, wzrosła ponad trzykrotnie. I sięgnęła 5398 osób.

Sami autorzy raportu przyznają, że ostatni wzrost może częściowo wynikać z powrotu rodaków do ojczyzny. „Ponieważ potrzeba tylko 10 lat składek na ubezpieczenie społeczne, aby otrzymać emeryturę państwową w Wielkiej Brytanii, wzrost może wynikać z powrotu obywateli polskich do domu po przejściu na emeryturę z pracy w Wielkiej Brytanii" – czytamy w opracowaniu. Jednak autorzy raportu nie są przekonani, że tak wytłumaczyć można cały ten wzrost. „Może być też tak, że Polska stała się nowym hotspotem dla emerytów, którzy chcą cieszyć się ostatnimi latami" – zaznaczają.

Trzeba bowiem zauważyć, że jednocześnie ze wzrostem liczby brytyjskich emerytów w Polsce nastąpił spadek ich liczby takich osób wybierających inne kraje. Największą zmianę odnotowano w Jemenie (mniej o 66 proc.), a następnie w takich miejscach jak: Jamajka (24 proc.), Afryka Południowa (13 proc.), Kanada (10 proc.), Włochy (8 proc.), USA (7 proc.) i Australia (7 proc.).

„SZCZĘŚLIWE MIEJSCE"

Dlaczego akurat Polska? Odpowiedzi na to pytanie kilku brytyjskich emerytów udzieliło tamtejszej prasie. Złudzeń nie ma: u nas jest po prostu tanio. „Znaleźliśmy uroczą, wolno stojącą posiadłość za 130 tys. funtów [niecałe 700 tys. zł – przyp. red.] ze stawem, stajniami i z sadem" – tłumaczyła „Daily Mail" Marianne Goodman, która wraz z mężem przeniosła się na wieś niedaleko Malborka z szeregowego domku pod Hartlepool. Pięćdziesięcioośmioletnia była pracownica banku cieszyła się, że będzie mogła tu zabrać swoje psy, i wyrażała nadzieję na sielskie życie w otoczeniu kur i kóz.

Z kolei były pracownik brytyjskiej służby zdrowia (NHS) wybrał dom z widokiem na wodę i las w północno-zachodniej Polsce. „Mieszkałem w Hiszpanii oraz Londynie i Polska jest lepsza niż oba te miejsca" – powiedział dziennikarzom 73-letni John. Wysłał gazecie zdjęcia, na których cieszy się prostym życiem, np. spotkaniami przy ognisku z polskimi sąsiadami. „Nie mógłbym być szczęśliwszy" – stwierdził.

I już w przypadku Johna widać, że nie chodzi wyłącznie o pieniądze i o to, że Polska jest dla brytyjskich emerytów relatywnie tania. Czują się tu też bezpiecznie. Z ich relacji wynika również, że Polacy łatwo nawiązują z nimi kontakty i są gościnni. A na anglojęzycznych portalach agencje, które zajmują się obsługą finansów emerytów, publikują już obszerne opracowania na temat „najszczęśliwszych miast Polski", które mogą pomóc im wybrać docelową przystań.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

Boski Witoldo

Krzysztof Masłoń

Dlaczego w twórczości wielkiego pisarza Witolda Gombrowicza mieszka nieśmiertelne piękno, które zachwyt wzbudza? Bośmy dali sobie to wmówić

FOT. OZKOK/SIPA/EAST NEWS

Witold Gombrowicz zachwyca nas, bo wielkim pisarzem był. Już w przedwojennej Warszawie spełniał po temu wszelkie warunki: jako dobrze urodzony, stosunkowo młody człowiek, uchodzący za przystojnego, słynący z ostrego języka, co było dowodem wybitnej inteligencji, posiadacz swojego stolika w Ziemiańskiej, autor powieści niezrozumiałej wprawdzie, za to zagadkowo zatytułowanej „Ferdydurke", ateusz, no i – jak się wówczas mawiało – pederasta. Po wojnie na emigracji lista jego tytułów do chwały znacznie się wydłużyła, stał się bowiem autorem w kraju zakazanym, a na uchodźstwie wyklętym, antykomunistą, weredykiem uświadamiającym rodakom całą ich małość, odnowicielem literatury ojczystej, wreszcie „żelaznym" kandydatem do Nagrody Nobla, której oczywiście nie otrzymał. Dość było tego, by paść przed nim na kolana, uznając za geniusza, o czym on sam przekonany był od zawsze.

Ponieważ Witold Gombrowicz nie lubił i nie cenił ludzi, którzy nie lubili i nie cenili Witolda Gombrowicza, jego – kiedyś powiedzielibyśmy – miłośnicy, a dziś – fani, których po śmierci ich idola w 1969 r. z dnia na dzień przybywało, zaczęli się prześcigać w jego fetowaniu. Aż w samym apogeum tej fety, w 2004 r., roku gombrowiczowskim obchodzonym w setną

eprasa.pl d9a6dd6456

rocznicę urodzin twórcy „Trans-Atlantyku", kobieta przytomna, czyli Małgorzata Szpakowska, tyleż otwarcie, ile retorycznie spytała: Kto z nas w ostatnim roku choć przez chwilę czytał Gombrowicza dla bezinteresownej przyjemności?

Stwierdziła również, że „Ilość nas przerosła. Już dwadzieścia lat temu, kiedy Gombrowicz był pisarzem półlegalnym, obecnym na scenach, lecz nieobecnym w druku, kiedy jego książki przemycało się z Paryża lub powielało w podziemiu – już wtedy zaczynał być pisarzem przeinterpretowanym. Już wtedy trudno było napisać o nim coś nowego, nie powtarzając cudzych opinii, a nawet zapoznać się z tymi wszystkimi opiniami, przedrzeć się przez stosy literatury egzegetycznej, zapanować, przynajmniej z grubsza, nad całością". I rzeczywiście, jest Gombrowicz jednym z tych autorów, do którego liczba komentarzy i interpretacji wielokrotnie przekroczyła rozmiarami jego twórczość. Jego dramaty grane są w teatrach na okrągło, a że napisał ich niewiele [trzy: „Ślub", „Iwonę, księżniczkę Burgunda" i „Operetkę", a jak ktoś się uprze, to i pozostawioną w rękopisie „Historię" – przyp. K.M.], to i jego prozę przysposabia się na scenie, co uczyniono w Polsce dziesiątki razy, z mizernym rezultatem artystycznym. Podobnie nie wzbudziły oczekiwanego zachwytu trzy ekranizacje jego powieści, choć do reżyserii ich brali się, po kolei: Jerzy Skolimowski „Ferdydurke" (1991), Jan Jakub Kolski „Pornografia" (2003) i Andrzej Żuławski „Kosmos" (2015). Niewykluczone, że nic z tego sensownego nie wyszło, bo wyjść nie mogło.

Ciekawe jest natomiast, że na solidną biografię pisarza czekać musieliśmy aż do 2017 r., gdy Klementyna Suchanow, jakoś w tym samym czasie wsławiona rzucaniem jajkami w samochody Kancelarii Prezydenta RP, wydała dwutomowe dzieło „Gombrowicz. Ja, geniusz". Oczywiście każdym zdaniem książki potwierdziła genialność swego bohatera, nie powstał jednak żywot świętego, czego można było się obawiać, znając multum innych pomniejszych opisów życia Gombrowicza i jego twórczości, która ponoć zachwyca wszystkich. Z wyjątkiem Gałkiewicza, przepraszam za pomyłkę – Mackiewicza.

SIĘ JEST NIKT

Cóż, Józef Mackiewicz nie był skory do zachwytów. Był zdania, że jedynie prawda jest ciekawa, i dlatego, wprawdzie z charakterystyczną dla siebie przesadą, twierdził, że „Gombrowicz nie umiał pisać i nie miał nic do napisania. Zastosował więc chwyt, jakiego używają malarze, którzy nie umieją malować i nie mają nic do namalowania: ukrycie treści, a raczej jej braku, pod niezrozumiałą dla otoczenia formą. Czym mniej treści, tym bardziej niezrozumiała forma. Trzeba się tylko nie obawiać absurdu. Czym większa rozpiętość pomiędzy rozumieniem i utworem, tym większym durniem okazuje się czytelnik, tym większym geniuszem autor utworu. Bo »łatwiznę« potrafi zrozumieć każdy. »Rzeczy trudne« natomiast – wyłącznie elita umysłowa. Jest to formuła prosta i tym razem zrozumiała. A któż chce być durniem!".

Józef Mackiewicz nie był skory do zachwytów. Twierdził, że Gombrowicz nie umiał pisać i nie miał nic do napisania

Autor „Ferdydurke" był, według niego, pisarzem „przecenionym. Źródłem tej przeceny stała się duża reklama, którą Gombrowicz potrafił sobie wyrobić w międzynarodowych sferach literackiego establishmentu, czyli kumoterstwa popieranej przez pewne koła amerykańskie tzw. awangardy. Zbliżonej lub czasem identycznej z pojęciem »Lewicy Intelektualnej«, która w dzisiejszej Demokracji w odniesieniu do spraw intelektualno-artystycznych spełnia, mniej więcej, tę funkcję, którą za czasów carskich spełniała Prokuratura św. Synodu w odniesieniu do spraw Cerkwi prawosławnej. Czyli miarodajną funkcję. Nasi ojcowie tego rodzaju manipulacje w dziedzinie ducha nazywali z przekąsem: »kazionszczina«, w tamtych, dawnych czasach, gdy awangardy nie bywały jeszcze subsydiowane przez kancelarie państwowe. Rozgłos i powodzenie, jakie udało się Gombrowiczowi osiągnąć, w tych rządzących dziś Duchem Czasu, literaturą i sztuką, najbardziej miarodajnych sferach, zaimponowały rodakom".

No, może nie wszystkim, choć po dziś dzień nawet ci nieliczni, którzy zachowywali umiar w entuzjazmie wobec tego, co Witoldowe pióro jego na świat wydało, a i co on sam orzekł albo i nie orzekł, plackiem padali przed gombrowiczoskością. Bo też niezależnie od wszystkich sensownych uwag krytycznych na temat jego poszczególnych utworów, a przede wszystkim „Kronosa", zdaniem np. Andrzeja Horubały jest Gombrowicz największym pisarzem XX w. I już. A jego „Dziennik" to „literackie arcydzieło, niezwykle kunsztownie zorganizowana wypowiedź artystyczna, nowatorska narracyjnie, arcymistrzowsko wykorzystująca język polski, przynosząca kapitalne refleksje o świecie, literaturze, Polsce, egzystencji…".

Czy naprawdę musimy bić pokłony przed „Dziennikiem"? Wojciech Tomczyk, który w swoim pisarstwie zmagał się z Gombrowiczem, i to wielokrotnie, ze szczególnym uwzględnieniem „Ferdydurke", sławny Gombrowiczowski zapis: „Poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja, czwartek – ja" zderzył z inną znaną „deklaracją Ideową" – Edwarda Stachury: „Czas umarł na czas. Ja umarło na ja. Nie ma ja. Się jest. Się jest się. Się jest duch. Się jest nikt" i dopowiedział (w „Teologii Polskiej Co Tydzień" 37/2016) co następuje: „Te dwa cytaty opisują, nawet z pewnym naddatkiem, horyzonty i strategie współczesnej polskiej prozy. Przy tak określonych celach i środkach nie są potrzebne żadne lekarstwa, nawet aspiryna. Nie mówiąc o pigułkach Murti-Binga. Przecież samym sobą można się zabawiać całe życie, a słowem się wysławiać drugie tyle".

NIEZDROWE POLSKIE OPARY

„Czy Polak – pytał Gombrowicz w 1947 r. w liście do »Wiadomości« – nie jest obciążony dziedzicznie Polską, to znaczy chorą przeszłością narodu i jego nieustannym umieraniem? Czy wobec tego, jeśli Polak pragnie być człowiekiem pełnowartościowym […], nie powinien on wypowiedzieć służby tej polskości, która go dzisiaj określa". Po latach, w wywiadzie dla Wolnej Europy, uściślił, że kiedy pisze książkę, to „nie jest Polakiem ani Chińczykiem. Ja jestem Gombrowicz" i zupełnie nieważne jest, gdzie mieszka. Kosmopolityzm niby nic nowego, ale już wyrzekanie na kulturę polską, jakoby „zakorkowaną dramatem

eprasa.pl d9a6dd6456

utraty niepodległości, sprowadzoną do lokalnych nieszczęść", pozwala domniemywać, że polskość generalnie była dla niego problemem.

I to bynajmniej nie od roku 1939, gdy na statku „Chrobry" przypłynął do Argentyny, dzieląc kajutę z innym polskim pisarzem, Czesławem Straszewiczem, później autorem świetnej książki „Turyści z bocianich gniazd". Ten, na wieść o wojnie, powrócił do Europy, wstąpił do Wojska Polskiego, był u gen. Maczka, podczas gdy Gombrowicz wtedy właśnie wybrał emigrację. Ale – jeśli wierzyć temu, o czym pisze we „Wspomnieniach polskich": To „rok 1920-ty uczynił ze mnie istotę nie taką jak wszyscy, wyodrębnioną, żyjącą na marginesie społeczeństwa […]. Ten rozbrat z gromadą, z narodem, zmuszający do szukania własnych dróg i życia na własną rękę, począł się dla mnie w owym pamiętnym roku bitwy warszawskiej. […] miałem uczucie, że jestem sam, przeciw wszystkim, że trzeba mi się zamknąć w sobie i nikomu nie dawać dostępu".

Miał wtedy zaledwie 16 lat i naprawdę trudno było mieć do niego pretensje, że do wojska się nie garnął. Jedni mają w sobie zadatki orle, inni nie. Wiele lat później – w 1953 r., bogatszy o doświadczenia – rozwinie temat w przedmowie do „Trans-Atlantyku": „Sądzę, że jest zupełnie możliwy taki stosunek do narodu, w którym naturalne nasze do niego przywiązania, ba, nieunikniony i od naszej woli niezależny z nim związek, zostałyby uzupełnione odczuciem narodu jako siły niebezpiecznej, przed którą należy mieć się na baczności. Musielibyśmy zrozumieć, że naród (podobnie jak każda zbiorowość) może nas paczyć, i to w najgłębszej naszej istocie. Powinnibyśmy tak się urządzić psychicznie, aby być jednocześnie w narodzie i poza narodem – a nawet ponad narodem. Poza i ponad – aby móc stwarzać sobie naród na obraz i podobieństwo nasze".

Nasze, czyli jakie? Z którego zniknęłyby „niezdrowe opary polskiej tradycji i polskiej sztuki. I ten właśnie punkt był dla mnie najtrudniejszy do przełknięcia. Romantyzm. Piłsudski też był romantykiem, deklamującym Słowackiego, który mawiał o sobie »ja jestem potrzebny na czas burzy« – typowy eksponent kresowego mistycyzmu wydawał się i niebezpieczny, i podejrzany".

„Niebosiężna zarozumiałość, przechodząca w poniżającą próżność, arogancja, dokuczliwość, pogarda dla wszystkich i wszystkiego były zbyt przesadne, zbyt jaskrawe, by nie były przybraną maską, rodzajem kompensaty za niepewność siebie" – pisała o Gombrowiczu Stefania Kossowska z londyńskich „Wiadomości"

LUDZIOM GŁOS SIĘ ŁAMIE

Nieliczni są już ci, którzy mieli styczność z Gombrowiczem, chcąc nie chcąc, opieramy się więc na wspomnieniach ludzi nieżyjących, często od dawna. A ci zapamiętali go takim, jakim był naprawdę. „Całe jego zachowanie – pisała Stefania Kossowska, ostatnia redaktorka londyńskich »Wiadomości« – było nieustanną grą, często dla otoczenia męczącą ponad wytrzymałość najcierpliwszych. Jego słynne miny to były nie tylko grymasy, robione do lustra czy dla towarzyskiej zabawy. Było to permanentne wykrzywianie się całemu światu. Niebosiężna zarozumiałość, przechodząca w poniżającą próżność, arogancja, dokuczliwość, pogarda dla wszystkich i wszystkiego były zbyt przesadne, zbyt jaskrawe, by nie były przybraną maską, rodzajem kompensaty za niepewność siebie".

Wacław A. Zbyszewski wspominał, że sławny redaktor tychże „Wiadomości" Mieczysław Grydzewski nie znosił Gombrowicza i uważał go za „pretensjonalnego nudziarza bez cienia wiedzy i talentu". Samego Zbyszewskiego „trochę zainteresował pierwszy rozdział jego »Trans-Atlantyku«, gdym go przeczytał w »Kulturze«. Rozmowa posła RP z autorem była oczywiście ściągaczką z »Brideshead Revisited« Evelyna Waugh, ale miała pewien posmaczek oryginalności, pewne ciekawostki formy. Ale potem to się beznadziejnie powtarzało. Gombrowicz był człowiekiem bez talentu pisarskiego, tzn. jego postacie były zawsze ściśle papierowe, nigdy nie żyły, nigdy nie ruszały się, wygłaszały tylko pewne teorie nudne, mętne: ziarnko prawdy, a więc że Polacy grzeszą megalomanią i wierzą, że wszyscy ich kochają, było ukryte pod grubym pokładem osobistego zarozumialstwa, arogancji, złych manier, wielosłowia, zwykłego grubiaństwa".

Kiedy Gombrowicz po swojej argentyńskiej emigracji przyjechał do Europy, pierwsze kroki skierował, naturalnie, do Maisons-Laffitte, do swojego najważniejszego wydawcy, którego wcześniej nie widział na oczy, a spośród mieszkańców domu „Kultury" osobiście sprzed wojny znał jedynie Józefa Czapskiego. Spotkanie ponoć tak wyglądało: „Ukazuje mi się Giedroyc. Ja się ukazuję Giedroyciowi.

On: – Cieszę się, że pana widzę… Ja: – Jerzy, bój się Boga, chłopie, nie będziesz przecie mówił »pan« komuś, z kim od lat jesteś w listach na »ty«. On: – Hm… hm… a tak… no, cieszę się rzeczywiście, że przyjechałeś. Ja: – Co za domek! Przyjemnie spojrzeć! On: – Dosyć przestronnie i wygodnie, dobre warunki pracy. Ja: – Jerzy, słowo honoru ci daję, wyskoczyłem już na Mickiewicza, o poza dyskusją, ludziom głos się łamie, gdy mówią ze mną przez telefon. On: – Hm… ja Mickiewicza nie bardzo lubię…".

Nie minie wiele czasu, gdy Gombrowicz – po wykorzystaniu berlińskiego stypendium – zapuka ponownie do drzwi w Maisons-Laffitte, Giedroyc przyjmie go wprawdzie, ale tylko na tydzień, zdecydowanie odmawiając dalszej gościny. Poważnie strapionego pisarza, który naprawdę nie wiedział, gdzie się podziać, uratował dopiero Jeleński, lokując Gombrowicza w niedalekim od Paryża opactwie Royaumont. To tam spotka kanadyjską studentkę, Ritę Labrosse, która zostanie towarzyszką jego życia, i z którą pół roku przed śmiercią się ożeni.

Uściślijmy to – literaturze polskiej, w której przed wojną zdążyło zabłysnąć „Ferdydurke", przywrócił Gombrowicza Jerzy Giedroyc: Instytut Literacki wydający jego książki i „Kultura", gdzie drukował pisarz sławny potem „Dziennik". A do literatury światowej wprowadził go Konstanty Jeleński, zakochany w nim i w jego pisarstwie, a dysponujący wpływami,

eprasa.pl d9a6dd6456

o których innym się nie śniło. Nie tylko dlatego, że tak samo jak Gombrowicz był homoseksualistą. Ale dlatego też.

CO SIĘ KOMU NALEŻY

W 2012 r., w 75-lecie wydania „Ferdydurke" (w Roju", ze wstępem i z okładką Brunona Schulza), prof. Józef Olejniczak, pisząc o Gombrowiczu, nadmienia, że Klementyna Suchanow „bardzo szczegółowo i precyzyjnie wyjaśnia tajemnice z biografii argentyńskiej, pokazując jednak niektóre dramaty autora »Fedydurke«, także homoerotyzm, bo w jego przypadku to był dramat; ukazuje również pisarza, który bieduje, który jest zagrożony, który głoduje". Bez przesady. Józef Łobodowski uważał, że „Gombrowicz miewał w Argentynie ciężkie chwile, ale to jeszcze nie była prawdziwa nędza. Jerzy Cieniewicz, który przez trzy lata pracował razem z nim w Banco Polaco S.A., w dość brzydkim wspomnieniu („Kierunki" z 21 czerwca 1970 r.) pisze, że Gombrowicz stale domagał się podwyżki, uważając swoją pensję za głodową. Był drugim sekretarzem, właściwie chodziło o synekurę, bo, rzecz prosta, nie miał pojęcia o bankowości. Trochę to sobie trudno wyobrazić, żeby drugi sekretarz nawet podrzędnego banczku miał przymierać głodem. Gombrowicz znał swoją cenę i uważał, że należy mu się znacznie więcej. A cała reszta to buntownicza legenda sfabrykowana za łaskawym zezwoleniem mistrza przez entuzjastów".

Z mistrzem w tym samym banku pracował także Kazimierz Ryttel, który rejestrował jego rozmaite nietypowe zachowania i wręcz zdumiewające wypowiedzi. Ot, takie z roku 1953, które cytuję za Klementyną Suchanow:

„[...] Gombrowicz, na skutek mojej radości z beznadziejnego stanu zdrowia Stalina: »Oj, wy, Polaczki, Polaczki, nie wiecie, co świat i ludzkość traci z odejściem tego największego geniusza«.

Powołuje się na notatki (obrzydliwe) z prasy i rozczula się, że miliony stoją na mrozie i opłakują niechybną śmierć tego najszkaradniejszego dyktatora.

Gombrowicz doprowadza mnie do szaleństwa, rozwodząc się o wielkości i moralności Stalina".

Że to celowe prowokacje? Ależ oczywiście. Tylko że czy z tego powodu mamy przejść nad nimi do porządku dziennego?

CZŁOWIEK FERDYDURKICZNY

Cały pobyt Gombrowicza w Argentynie znaczony jest jego przygodami homoseksualnymi. „Po latach pobytu tam w swym najbardziej twórczym okresie nie zdołał wejść do argentyńskiego świata literackiego – pisała Stefania Kossowska. – Nie znali go ani się nim nie interesowali poważni pisarze jak Cortazar, jak Borges, który po śmierci Gombrowicza odmówił widzenia się z Ritą Gombrowicz, a gdy nie dała za wygraną i w końcu do niego dotarła, powiedział jej, że nic Gombrowicza nie czytał, spotkał go raz czy dwa i nic nie może o nim powiedzieć. Jego książki, choć umiał wytwarzać koło nich atmosferę sensacji, nigdy nie miały tam powodzenia. Recenzje, wymuszone towarzyskimi stosunkami, były niechętne, książki rozchodziły się źle, głównie wśród grona znajomych i przyjaciół. Niesprzedane egzemplarze »Ferdydurke« dwóch młodych pisarzy wywiozło na Kubę, aby tam je rozdać wśród znajomych".

REKLAMA

eprasa.pl d9a6dd6456

Jeden z nich to Virgilio Piñera, kubański poeta, zaprzyjaźniony z Gombrowiczem. „Kubański homoseksualizm jest przeciwieństwem argentyńskiego – czytamy w biografii autora »Trans-Atlantyku« napisanej przez Klementynę Suchanow – zwłaszcza w wydaniu Virgilia, który prowadzi rozwiązły tryb życia, ma wielki apetyt seksualny i niewyszukane metody podrywu na ulicy. W pamięci Alejandra Russovicha zachowa się scena, gdy po sesji translatorskiej »Ferdydurke« u Kubańczyków Gombrowicz udawał się na schadzkę. Oczywiście nic nie powiedział, ale wyczuwający sprawę Virgilio nastawał, że go odprowadzą, bo idą w podobnym kierunku, a Gombrowicz wił się jak piskorz, byle tylko pozbyć się świadków. Dlatego zachowana drastyczna historia, pochodząca ponoć z ust Virgilia, czyli Witolda, mówi więcej o autorze tej opowieści i jego przekazicielu niż o samym jej bohaterze. Kubański pisarz Reinaldo Arenas, dla którego Virgilio stanie się mistrzem, wspomina taką historię w spisanej w 1992 r. książce »Antes que anochezca« [Zanim zapadnie noc]: »Tam [w Argentynie] poznał [Virgilio] polskiego pisarza Witolda Gombrowicza. Obu emigrantów połączyły przyjaźń i kumplostwo w łazikowaniu i erotycznej przygodzie. Gombrowicz, jak powiadał Virgilio, był wtedy bardzo przystojny; żeby przeżyć, został męską prostytutką w łaźniach Buenos Aires, gdzie pozwalał się pieprzyć za kilka groszy. […] Według Virgilia jego przyjaciel [Gombrowicz] spotkał pewnego razu Argentyńczyka z wielkim penisem; facet już zapłacił i domagał się pieprzenia, no i oczywiście postawił na swoim. Ale, jak mówił Virgilio, tak rozerwał mu odbyt, że po przyjściu do domu Gombrowicz cały krwawił. Virgilio wypełnił wannę ciepłą wodą, zdjął z przyjaciela ubranie i wsadził go do kąpieli, żeby mu ulżyć. Virgilio mówił, że Gombrowicz spędził dwa dni w wannie, zanim rany zaczęły się goić«".

Do opowieści tej, pochodzącej z drugiej ręki, powinniśmy podchodzić z dystansem. Ale co można myśleć po lekturze pewnych, nomen omen, ustępów z „Kronosa", opublikowanego ponad 40 lat po śmierci pisarza, jak się zdaje zupełnie niepotrzebnie? Na przykład jego część pierwszą – „Polska 1922–1939" – kończy taki zapis: „2 ku.wy z Mokotowa. Przyjaciółka Jadźki. Baletnica z Wilna. O'Brien de Lassy. Ku.wa, tryper. Dziewczyna, której nie mogłem zgwałcić. Upiłem się, chodzę po mieście. Służąca z Zaborowa. Kelnerka z Zodiaku (z Piętakiem)".

Cały „Kronos" to spis tego, z kim i jak, a także wykaz chorób i specyfików – pigułek, czopków, zastrzyków – którymi leczył trypra, bronchit czy lumbago. Fascynujące!

Zresztą cały „Kronos" opatrzony tysiącem przypisów przez Ritę Gombrowicz, Jerzego Jarzębskiego i Klementynę Suchanow to spis tego, z kim i jak, a także wykaz chorób i specyfików – pigułek, czopków, zastrzyków – którymi leczył trypra, bronchit czy lumbago. Fascynujące!

W przedmowie do dzieła Rita Gombrowicz twierdzi jednak, że rzecz trzeba uznać za „ciąg ściśle osobistych punktów odniesienia, które nie dają właściwego pojęcia o roli, jaką odegrały w jego [Gombrowicza] życiu pewne osoby. »Kosmos« usunął także dwuznaczność na temat jego seksualności, która jest tak ważna w twórczości aż do tego stopnia egzystencjalnej. Otoczenie »gwardią« w dzieciństwie i »kuchenne schody« młodości pozwalają lepiej zrozumieć jego biseksualność, której wspólnym mianownikiem jest anonimowa młodzież »o bosych stopach«. Staje się jasne, dlaczego mógł napisać, że nie wierzy w filozofię nieerotyczną. Jego umiłowanie młodości jest punktem wyjścia do refleksji nad koncepcją człowieka ferdydurkicznego".

WŚRÓD KWIATÓW NICEI

Któż nie zna tych słów z „Trans-Atlantyku": „– A płyńcież wy, płyńcież Rodacy do Narodu swego! Płyńcież wy do Narodu waszego świętego chyba Przeklętego! Płyńcież do Stwora tego św. Ciemnego, co od wieków zdycha, a zdechnąć nie może! Płyńcież do Cudaka waszego św., od Natury całej przeklętego, co wciąż się rodzi, a przecież wciąż Nieurodzony! Płyńcież, płyńcież, żeby on wam ani Żyć, ani Zdechnąć nie pozwalał, a na zawsze was między Bytem i Niebytem trzymał. Płyńcież do Ślamazary waszy św., żeby was ona dali Ślimaczyła!".

W 2007 r. okazało się, że cytat ten, podobnie jak całe dzieło, nieznany był ówczesnemu ministrowi edukacji Romanowi Giertychowi, co po dziś dzień w obecnym środowisku politycznym niegdysiejszego narodowca i prezesa Ligi Polskich Rodzin uchodzi za największą jego hańbę. A minister nie tylko bezskutecznie usiłował usunąć Gombrowicza z list lektur szkolnych [mało kto pamięta, że do pionu postawił go wtedy kierujący rządem Jarosław Kaczyński, uchylając stosowne rozporządzenie], lecz także obśmiał się jak norka z „Trans-Atlantyku", po którego w obliczu całego tego polonistyczno-politycznego sięgnął wreszcie. Jakby zapomniał o znanej radzie, której Janusz Wilhelmi udzielił Januszowi Głowackiemu, by nie ufał swoim pierwszym reakcjom, mogą być bowiem uczciwe.

A jeśli już o politykach mowa, to z pewnością pilnym uczniem Witolda Gombrowicza miał się okazać Donald Tusk, podobnie jak pisarz skłaniający się do zdania, że Polska to nienormalność.

Całkiem niedawno ukazała się ciekawa książka Marcina Gugulskiego „Moje ulubione książki o Warszawie", w której w rozdziale o Gombrowiczu, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie jest to jego ulubiony autor, akcentuje jednak, że „Dziennik" i niektóre inne dzieła były i są ważne dla ludzi, których szanuję i szanowałem…". Ależ oczywiście, mnie w „Dziennikach" np. zauroczył opis wizyty u pisarza, którą złożył mu w Vence młody kolega po piórze Jean-Marie Gustave Le Clézio [noblista z roku 2008 – przyp. K.M.]: „bardzo urodziwy, a bardziej jeszcze fotogeniczny", „zdrów, krzepki, opalony wśród kwiatów Nicei, z ładną żoną, krewetki, rozgłos i plaża… czegóż chcieć więcej? Jego powieści dyszą mrokiem nieprzeniknionym najskrajniejszej rozpaczy, gdy on sam, młody bóg w majteczkach kąpielowych, zanurza się w lazury słone Morza Śródziemnego". Ta uroda Le Clézio jest jednak niebezpieczna, uważa autor „Dzienników" i wywodzi dalej: „Musiałbym go znać, gdy miał lat 14, 13, aby móc o tym coś konkretniejszego powiedzieć".

No dobrze, odpowiedzmy więc sobie wreszcie na pytanie, dlaczego w twórczości wielkiego pisarza Witolda Gombrowicza mieszka nieśmiertelne piękno, które zachwyt wzbudza. Bośmy dali sobie to wmówić. W istocie w jego życiu najwięcej było pozerstwa, a jego twórczość to jeden wielki ciąg opowieści o konwencjach, które zwalczamy, posługując się niczym innym, a konwencjami właśnie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski**, **Piotr Lisiewicz** i **Tomasz Sakiewicz**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl d9a6dd6456

FOT. COLIN HUTTON

Trenerze, ratuj!

Piotr Gociek

Od czasów komedii Franka Capry nie było w Hollywood równie mądrej i dobrej rozrywki. Nic dziwnego, że fenomen serialu „Ted Lasso" wykroczył poza mały ekran

Zaczęło się od żartu. W 2001 r. Jason Sudeikis i Brendan Hunt podczas komediowego tournée po Europie odkryli, jak wielu ludzi fascynuje się tu piłką nożną. Fascynacja – i wrażenie nowości – były zrozumiałe. To były inne czasy. Piłka nożna, czyli – jak zwą ją w USA – „soccer", nie była tam jeszcze jednym z najpopularniejszych sportów (dziś jest w czołowej czwórce, zaczyna przebijać popularnością hokej). Liga MLS istniała, ale traktowano ją jako dziwactwo. Wiele się zmieniło, gdy podczas mundialu w 2002 r. w Korei i Japonii reprezentacja USA dotarła do ćwierćfinału, gdzie nieznacznie uległa Niemcom (przyszłym wicemistrzom imprezy).

Sudeikis i Hunt wymyślili w Amsterdamie (czegóż tak nie kocha Holandia, jak piłki nożnej!) postać jankeskiego trenera futbolu amerykańskiego, który nie ma zielonego pojęcia o piłce nożnej. Nazwali go Ted Lasso. Dekadę później Lasso wykorzystany został w reklamówce telewizji NBC, która chciała zainteresować widzów transmisjami meczów Premier League. W sierpniu 2020 r. w serwisie Apple TV+ zadebiutował natomiast serial komediowy „Ted Lasso", który stał się jednym z najwyżej ocenianych i kochanych produkcji ostatnich lat (zdobył już 11 nagród Emmy, jestem pewien, że będą kolejne).

Trzeci i ostatni sezon trafia właśnie do widzów (w podostrzających apetyt tygodniowych odstępach). Nie tylko jest to jeden z najcieplej przyjmowanych (i najlepiej recenzowanych) seriali ostatnich lat, lecz także obiekt kultu. Pastor Matthew Titus opublikował nawet książkę „The Gospel According to Ted Lasso" („Ewangelia według Teda Lasso"). W postaci trenera, którego „wszystko ciekawi, ale który nie osądza", znalazł doskonałą metaforę pomocną przy lekturze i propagowaniu Pisma Świętego. Lasso jest jego zdaniem przykładem człowieka, któremu „wydaje się, że znalazł się w miejscu, w którym nie powinien, które jest jednocześnie dokładnie tym, w którym powinien się znaleźć". Sformułowania „Ewangelia według Teda Lasso" użył zresztą sam Jason Sudeikis (grający też tę rolę w serialu). Gdy tłumaczył korzenie optymizmu, dobroci i głębokiego zrozumienia ludzi natury, którymi emanuje ta produkcja, odwoływał się do

eprasa.pl d9a6dd6456

swoich doświadczeń z młodości – czyli do grupy studiującej Biblię w parafii jego matki, w południowym Chicago. Nie bez powodu nasz sympatyczny bohater pracę w nowym miejscu zaczyna od wywieszenia kartki z jednym słowem: „Believe". Nie, Ted Lasso nie jest kaznodzieją. A zalecenie „uwierz" nie ma na celu pomnożenia szeregów uczestników mszy w najbliższym kościele. Chodzi raczej o… No właśnie, o co chodzi?

ZWIERCIADŁO

Naszkicujmy tło dla tych, którzy Teda jeszcze nie poznali. Wyciągnięty z uniwersyteckiej drużyny futbolu (amerykańskiego, nie soccera) trafia do Wielkiej Brytanii, do fikcyjnego klubu AFC Richmond. Właścicielka klubu, Rebecca Welton, finansuje w ten sposób gruby żart i zemstę na swoim byłym mężu. Klub piłkarski był jego oczkiem w głowie. Zniszczenie jego legendy i popularności byłoby zemstą doskonałą. Rebecca zatrudnia więc gościa, który nie ma zielonego pojęcia o piłce nożnej, i czeka, aż przybysz zza Atlantyku spuści zespół do drugiej ligi. Inna sprawa, że w samym klubie atmosfera też nie jest za dobra. Zawodnicy kłócą się między sobą, wyniki sportowe są fatalne, prywatne niesnaski przenoszą się na atmosferę w szatni, największa gwiazda szykuje się do odejścia, a do nowej właścicielki zaufania nie ma nikt. Do nowego trenera – również.

Klub zmierza więc prostą drogą ku katastrofie, aż wydarzy się rzecz nieoczekiwana: Ted Lasso może i nie odróżnia kornera od spalonego, ale jest wybornym znawcą charakterów. Ponadto sam emanuje spokojem i optymizmem: oto człowiek, który każdy dzień w pracy zaczyna od częstowania własnoręcznie wypieczonymi ciasteczkami i zawsze chętnie posłucha, jak minął twój dzień. Nie jest fanatykiem piłki nożnej, ale jest pasterzem ludzi. Zahukanym pomoże uwierzyć w siebie, zadufanym – zrozumieć, że drużyna jest najważniejsza. Nie musimy być doskonali, ale musimy pojąć, że sami sobie powinniśmy dać szansę.

Brzmi to wszystko jak streszczenie jakiegoś tandetnego podręcznika motywacyjnego, poradnika „help yourself", ale nie ma niczego tandetnego w lekcjach Teda Lasso. Bo on nie naucza. On po prostu… taki jest. Dobroduszny, optymistyczny, otwarty, stający w obronie skrzywdzonych i zawstydzający krzywdzących. To, co wielu wydaje się banałem, w jego ustach brzmi prawdziwie, bo Ted Lasso nie udaje, nie kłamie, nie podlizuje się, jego mowa jest tak-tak, nie-nie. I w konfrontacji z takim dziwem natury naraz wszyscy zaczynają przeglądać się w nim jak w lustrze, a przeglądając – dostrzegają swoje słabości i wady. Mecz po meczu AFC Richmond staje się lepszym zespołem, ale – co ważniejsze – ci, wśród których obraca się Ted Lasso, stają się lepszymi ludźmi. Marudny weteran potrafi wykrzesać z siebie pokorę, odkryć na nowo miłość (nie tylko do piłki), zainteresować się pracą trenera. Pełen pychy modniś przekonany, że świat należy do niego, odkrywa, że najpierw trzeba na karierę zasłużyć. Wyciągnięte z pralni popychadło, którym jest wykpiwany przez wszystkich Nate, okazuje się cennym nabytkiem sztabu szkoleniowego, bo kocha piłkę, jest bystry i widzi więcej niż inni (inna sprawa, że pycha poprowadzi go potem w złym kierunku). Zimna i odpychająca z początku właścicielka klubu zaczyna rozumieć, że AFC Richmond to coś więcej niż zabawka byłego męża, że zbyt wielu ludzi włożyło w klub serce, by jak zabawkę go traktować.

Nie ma dziś innego równie mądrego serialu w telewizji i streamingu, choć niby to tylko komediowa rozrywka

CUDNA ODTRUTKA

Choć świat serialu „Ted Lasso" siłą rzeczy jest męski, to wyróżniają się w nim panie: oprócz wspomnianej Rebeki Welton także Keely Jones, kapitalnie grana przez Juno Temple. Keely wydaje się być typową pustą laleczką kręcącą się wokół piłkarzy, bo są sławni i bogaci. Szybko okazuje się bystrą i utalentowaną bizneswoman, której przestaje wystarczać kariera w dziale klubowego marketingu, więc rozkręca własną agencję PR. Keely jest też przewodniczką dla Rebeki, która musi odkryć, jak na nowo ułożyć sobie życie po rozwodzie. Każdy w tym świecie ma swoje słabości, słabości głęboko ludzkie, a niezwykły punkt odniesienia to jądro krystalizacji, którym w tej społeczności jest Ted Lasso, pomaga im te słabości przezwyciężać. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni; podnosząc innych, podnosimy i siebie. Jakże rzadka jest to lekcja w świecie współczesnej telewizji, w którym wszyscy ścigają się, by przekonać nas, że ludzie są jedynie chciwi, fałszywi, zaborczy i okrutni! Jakaż cudna to odtrutka na przesłanie „Sukcesji", „Białego lotosu" i tak dalej!

Po premierze pierwszego sezonu wielu recenzentów wskazywało, że optymistyczna, krzepiąca opowieść bardzo potrzebna była widzom w apogeum pandemii – stąd sukces. To tylko ćwierć prawdy. Pandemia bowiem mija, a fascynacja fenomenem „Teda Lasso" – ani trochę. Po prostu nie ma dziś innego równie mądrego serialu w telewizji i streamingu, choć to niby tylko komediowa rozrywka. Widzowie to czują, wiedzą, nawet jeśli czasem nie potrafią ubrać w słowa przyczyn swej fascynacji.

Oczywiście szybko odkrywamy, że i sam Ted Lasso ma swoje kłopoty, własne lęki i osobiste tragedie, którym musi stawić czoła. Nie jest to przecież opowieść o świętym, tylko przypomnienie, że nawet jeśli jesteśmy niedoskonali, możemy przydać się innym. A to, że Ted Lasso broni się nieporadnie (czasem ze złością) przed zgłębianiem przez innych jego duszy? Cóż, nie czyni niczego innego niż to, co czynili ci wszyscy, którym swoim optymizmem dopomógł. Właśnie dlatego, że w swych słabościach i kłopotach jesteśmy podobni, możemy sobie pomóc. Gdyby Ted Lasso był chodzącym ideałem, nie mógłby być lekiem na całe zło dla innych.

Szukając porównania dla ciepłego humanizmu, humoru i miłości emanującej z serialu „Ted Lasso", musiałem cofnąć się bardzo daleko, aż do czasów, kiedy królem Hollywood był Frank Capra. Postacie otaczające Teda równie dobrze mogłyby zaludniać świat komedii Capry. Świat, w którym ludzie pełni wad nigdy nie byli osamotnieni, wątpiący odnajdywali drogę do pocieszenia, ratunkiem był drugi człowiek – bo sobą stajemy się poprzez innych. Kto pojmie lekcje Teda Lasso, ten odnajdzie w sobie godność, pokorę wobec grzechów, odwagę w ich naprawie oraz pogodę ducha. Takim człowiekiem niełatwo manipulować – może więc dlatego dzisiejsze Hollywood takich lekcji nie chce nam udzielać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+ ONLINE

Dzień marzyciela

★★★★☆☆

REŻ. ROGER MICHELL „KSIĄŻĘ" („THE DUKE") WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. Jim Broadbent, Helen Mirren, Fionn Whitehead

W sierpniu 1961 r. portret księcia Wellingtona pędzla Goi zniknął w tajemniczych okolicznościach z londyńskiej National Gallery. Podejrzewano kradzież na zlecenie, doszukiwano się udziału międzynarodowej grupy przestępczej lub przynajmniej wysokiej klasy zawodowca włamywacza. Za sprawą stał tymczasem zdenerwowany na rząd emeryt Kempton Bunton, który chciał zwrócić uwagę opinii publicznej na swoją krucjatę – walczył o zwolnienie weteranów oraz najstarszych obywateli z opłat telewizyjnych.

Bunton jest najważniejszym i najciekawszym elementem filmu, a Jim Broadbent gra go znakomicie. Jedni powiedzą: urodzony społecznik, który dla drugiego człowieka zrobi wszystko; inni: sympatyczny wariat, który nie ma pojęcia, jak działa świat. Bunton ma wielkie serce, ale bywa mocno irytującym marzycielem. Co nie zmienia tego, że widz instynktownie mu kibicuje: oto zwykły człowiek kontra bezduszna machina biurokracji. Kino lubi takie konstrukcje, lubi też domorosłych Robin Hoodów (za takiego Bunton się uważa).

„The Duke" to film podnoszący na duchu i wywołujący uśmiech na twarzy, a także opowieść o traumie – to wydaje mi się w nim tropem najciekawszym i nie do końca wykorzystanym. Buntonowie cierpią z powodu rodzinnej tragedii, traumy, której nie potrafią przepracować i która mocno ich od siebie oddziela (żonę Buntona gra Helen Mirren). Ona chce zapomnieć, on przelewa swoje przemyślenia na papier w formie koszmarnie napisanych sztuk, których nikt nie chce wystawiać. W jednej z kluczowych scen filmu, gdy pan Bunton opowiada o tym, co robi dla dobra ludzkości, pani Bunton ripostuje: „A co zrobiłeś dla konkretnych ludzi?", mając na myśli rodzinę cierpiącą z powodu dziwactw Don Kichota z Newcastle.

Mania społecznikowska i sny o zmianie świata na lepsze jako skutek uboczny tego, że nie potrafi się naprawić własnego życia? Uszczęśliwianie innych jako ucieczka od własnego nieszczęścia? Ileż tragedii tego świata miało podobne korzenie? Jak złowrogo to brzmi w uszach potomków pokoleń przerzedzonych przez społecznych inżynierów? Fascynujący i mroczny temat, lecz tylko liźnięty, bo Roger Michell, reżyser „Notting Hill", chce widza głównie krzepić. W ciężkich czasach dobre i to. ©℗

NOWE SERIALE: „NOCNY AGENT"

Mniej znaczy więcej – serial inspirowany powieścią sensacyjną Matthew Quirka to rozrywka w dawnym stylu, bez ambicji dekonstruowania gatunku. Widzowie to doceniają, bo „Nocny agent" szybko stał się jednym z hitów Netflixa. Czegóż tu nie ma: nieustępliwy agent FBI, intryga szpiegowska, rosyjskie matactwa, kret w Białym Domu, tajemnicze zabójstwa. Motywy doskonale znane, ale ułożone w zaskakujący sposób. Czyli coś bardziej ze świata Ludluma niż Johna Le Carré. ***Piotr Gociek***

- *sezon 1* ***„Nocny agent"****, USA 2023, wyst. Gabriel Basso, Luciane Buchanan*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Silvia Brunelli* ***„Błogosławieni" („La santa piccola")****, Włochy 2021* HBO max
- *sezon 1* ***„The Crossover"****, USA 2023* Disney+
- *sezon 2* ***„Schmigadoon!"****, USA 2023* tv+
- *sezon 1* ***„Hackerville"****, Niemcy/Rumunia 2018* SHOWTIME

eprasa.pl d9a6dd6456

Ukryty sens

KINO

Porucznik Borewicz tak źle się prowadził, że musiał pozostawić po sobie tabuny potomstwa. Również w sensie metaforycznym, jako że twórcy serialu „07 zgłoś się" wykonali postawione przed nimi zadanie: wmówili telewidzom, że milicja z większą ochotą służy społeczeństwu niż władzy. Młody śledczy Andrzej Baran z Poznania jest tak samo czupurny jak jego warszawski odpowiednik, ale nie zdążył jeszcze się wykazać. Szaleje więc z radości, gdy dostanie rozkaz, by wyjaśnić zniknięcie srebrnej rzeźby św. Wojciecha z katedry gnieźnieńskiej. Mina mu zrzednie, gdy zrozumie, że nie jest to „zwykłe włamanie z kradzieżą", lecz sprawa polityczna (i to już od końca X w.). Rzecz dzieje się półtora roku po zamordowaniu ks. Popiełuszki, „czarni" słabo odróżniają SB od MO. Na domiar złego nasz bohater ma kłopoty żołądkowe, a żona – z wykształcenia historyk sztuki – wpędza go w kompleksy. W PRL jest szaro, buro i ponuro, wszyscy piją wódkę, palą papierosy i tkwią w moralnej szarej strefie, a psim obowiązkiem podejrzanego jest przyznanie się do winy. Twórcy „Świętego" zbyt wiele srok chcieli złapać za ogon. Owszem, można popełnić film, który byłby trochę dreszczowcem à la „Dom zły", momentami psychodramą i komedią, a przy okazji historycznym brykiem, ale oglądających trochę szkoda. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. SEBASTIAN BUTTNY
„ŚWIĘTY"
POLSKA 2023

wyst. Mateusz Kościukiewicz, Lena Góra, Michał Włodarczyk

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KREW I PIWO

YouTube

★★★★★☆

REŻ. WILLIAM A. WELLMAN
„WRÓG PUBLICZNY NR 1" („THE PUBLIC ENEMY")
USA 1931

wyst. James Cagney, Edward Woods, Donald Cook

Kiedy 100 lat temu czterech braci rodem z Krasnosielca zakładało wytwórnię Warner Bros., chyba nikt nie postawiłby złamanego dolara, że okaże się ona kurą znoszącą złote jaja. Tymczasem od „Śpiewaka z jazzbandu" i „Buntownika bez powodu" do „Matrixa" i „Władcy Pierścieni" firma zarabia krocie, formatując mimochodem wyobraźnię kolejnych pokoleń. W złotej epoce Hollywood zyskała reputację „gangsterskiego studia", testowała bowiem, jak daleko można się posunąć w epatowaniu publiki wyczynami typów spod ciemnej gwiazdy. „Wróg publiczny nr 1" – kamień milowy w dziejach kina – okazał się zarazem kamieniem obrazy. James Cagney aż nazbyt dobrze wcielił się w krewkiego socjopatę. Historia dwóch przyjaciół z Chicago, rozpoczęta od drobnych występków, a zakończona wyznaniem: „Nie jestem taki twardy", jako widowisko ma tylko jedną wadę: za szybko się kończy. Naśladowcy już tacy lakoniczni nie byli.

W STRONĘ SŁOŃCA

KINO

★★★★☆☆

REŻ. MICHEL FRANCO
„SUNDOWN"
MEKSYK/ FRANCJA/ SZWECJA 2021

wyst. Tim Roth, Charlotte Gainsbourg, Iazúa Larios

Mięso to morderstwo – śpiewał Morrissey, a młodszy o równe 20 lat Michel Franco zdaje się z nim zgadzać. Nowe dzieło meksykańskiego enfant terrible sprawi jednak satysfakcję nie tylko wegetarianom, lecz także amatorom filmowego slow food. Akcja toczy się bowiem (do czasu) leniwie. Rodzina Angoli spędza wypasione wakacje w Acapulco. Nerwowej Alice towarzyszy brat będący jej przeciwieństwem, czyli osobnikiem apatycznym, zainteresowanym jedynie grzaniem się w słońcu i żłopaniem piwa. Gdy z pogodnego nieba zaczną uderzać pioruny, Neil zdobędzie się wszakże na decyzję, której następstwa zaskoczą nawet pamiętających Tima Rotha, wcielającego się w dziarskich rzezimieszków. No cóż, nasz piękny świat podszyty jest przemocą, więc dobrze, że istnieje reżyser, który z uporem maniaka o tym przypomina. Nawet jeśli jego społeczno-polityczne diagnozy zalatują neomarksizmem. ***Wiesław Chełminiak***

GRA TYGODNIA: „BAYONETTA ORIGINS: CEREZA AND THE LOST DEMON"

★★★★☆☆

Bayonetta nie jest jeszcze Bayonettą, jest niepewną siebie dziewczynką o imieniu Cereza, której marzenie o staniu się potężną wiedźmą dopiero ma się ziścić. Aby mogło tak się stać, nasza bohaterka zgłębia tajniki czarnej magii. Wyrusza w podróż do lasu Avalon, gdzie czekają na nią wydarzenia, które zahartują przyszłą czarownicę. Na szczęście towarzyszy jej waleczny demon. Zapomnijcie o siekaniu wrogów – to opowieść w konwencji baśni. Rozkręcająca się powoli, czasem aż nadto, ale potrafiąca zatrzymać przy konsoli. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Przygodowa*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent; wydawca PL:*** *PlatinumGames, ConQuest Entertainment*

eprasa.pl d9a6dd6456

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ojczyzna polszczyzna

Rangę literatury wyznacza jej obecność w naszej pamięci, często w postaci cytatu z wiersza, zdania z powieści, początku dramatu, choćby takiego: „Jest u nas w kraju jedno święto takie, kiedy się rozumieją Polacy z Polakiem" („Rzecz listopadowa"). O autorze tych słów opowiada Dariusz Michalski w książce, którą napisał na podstawie wielu rozmów ze swoim bohaterem oraz pieczołowicie gromadzonych materiałów dokumentujących ogromny dorobek twórczy Ernesta Brylla (ur. 1935) – poety, dramaturga, prozaika, tłumacza. Postaci niebywale ważnej dla kultury polskiej, dla naszego teatru, kina, telewizji. Choć dla wielu odbiorców przede wszystkim autora tekstów piosenek, z „Na szkle malowane" czy „Kolędy Nocki". A i takich jak naprawdę pochodzący z „Kurdesza", a włączony do oratorium „Zagrajcie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony" jeden z najpiękniejszych utworów, do muzyki Katarzyny Gaertner, śpiewanych przez Marka Grechutę:

Ta ziemia taka czysta – jakby umieciona
skrzydłem aniołów, cicha i równinna.
Tyle już wycierpiała – a zawsze dziecinna
ufa, że dobroć jest tylko dobrocią,
a prawo tak jest prawem, jak pola się złocą,
kiedy żyto dojrzewa, jak zimą śnieg pada...
[...]
W dalekich ziemiach za to umierali
moi ojcowie za gniazdo bociana,
za chleb, za tę równinę, co niepokalana,
za to powietrze ze wszystkich mądrości najzdrowsze,
za ludzi zgodnych, mądrych i cierpliwych,
za najwierniejszych z wiernych, uczciwych z uczciwych,
za mą Ojczyznę Polszczyznę Mazowsze.
W dalekich ziemiach za to umierali.

Ten arcypolski poeta korzenie rodzinne ma nieco bardziej skomplikowane, niż by to z tekstu tego wynikało, ze strony matki wywodzi się bowiem z Olendrów – osadników z Flandrii, skąd też wzięło się jego imię. Ojciec pochodził z Kujaw, a on sam dzieciństwo spędził i na pograniczu Puszczy Białej, i na Pomorzu, ma też rodzinne związki z Wielkopolską, choć najważniejsze okazać się miało rzeczywiście miejsce urodzenia – Warszawa, a właściwie Mazowsze. To ono symbolizuje w wierszach Brylla całą Polskę – ten region piaszczysty, plebejski. Zamieszkały przez ludzi, których w aniołów w żaden sposób się nie przerobi. W jednym z bardziej znanych swoich wierszy pisał:

Pijmy albo nie pijmy – to już nic nie daje
Gorzałka nie przenosi nas w bujniejsze kraje
Tylko zanurza głębiej w kartoflane dzieje
– gdzie jest największym szczęściem że się nic nie dzieje

I tyle trzeba zmęczenia ludzkiego
by się nie stało czasem nic innego
niźli to może pojąć dusza ziemniakowa
piaszczysta
rozłożysta
bulwista
surowa
– Którą choćbyś w obcęgi wziął ognia żywego
odda jeno spirytus
– Ślozę kraju tego
[...].

Miał Bryll swoje wielkie lata, był też czas, gdy za takie wiersze jak ten powyżej mocno go krytykowano. Stanisław Barańczak, jak i inni autorzy Nowej Fali w końcu lat 70., zarzucał mu pochwałę chłopskiej przebiegłości, pewien rodzaj podwójnego myślenia, a w sumie serwilizm wobec władzy. Ale przyszła kolej na „Kolędę Nockę" i „Wieczernik", a poeta wystąpił z PZPR. I szerokiej publiczności przypomniał się w nieoczekiwany raczej sposób, słowami, które stały się cytatem roku 1989: „Jesteśmy wreszcie we własnym domu. Nie stój, nie czekaj. Pomóż". W bliższej czasowo poezji autora „Wieczernika" siła ciężkości przesunęła się wyraźnie w stronę Kościoła, choć trudno jego wiersze nazwać konfesyjnymi. Raczej była to zawsze fascynacja ontologią, elegijność, a niekiedy i zapędy mistyczne.

Dariusz Michalski, oddając w swojej książce głos Ernestowi Bryllowi i, niejako z konieczności, przyjmując jego optykę na niektóre sprawy, podkreśla – jak najsłuszniej – że na każdym etapie tej twórczości miał za sobą autor tych najważniejszych: czytelników, odbiorców, słuchaczy. We wdzięcznej pamięci mających nie tylko najgłośniejsze jego dokonania, lecz także „Po górach, po chmurach" i „Balladę łomżyńską", i „Rok polski 2000". I może to wcale nie przypadek, że taką książkę napisał nie krytyk literacki, a dziennikarz specjalizujący się w polskiej muzyce rozrywkowej, jej znawca i historyk.

Na koniec jednak przypomnę fragment nie piosenki, lecz wiersza Ernesta Brylla, jakże aktualnego:

Bądźmy dla siebie bliscy bo nas rozdzielają
I co chwila nam ziemia pęka pod stopami
I te okrawki kraju na którym stoimy
Z hukiem od siebie w ciemność odpływają
[...].

Bohater książki Dariusza Michalskiego napisał go w 1985 r. ©℗

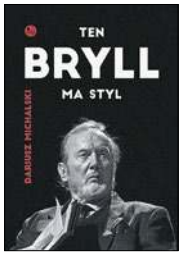

★★★★☆☆

DARIUSZ MICHALSKI
„TEN BRYLL MA STYL. OPOWIEŚĆ O ERNEŚCIE BRYLLU"
WYDAWNICTWO MG, WARSZAWA 2023

eprasa.pl d9a6dd6456

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Muzyka nocą

Josyp Rotski. Pretensjonalna hybryda Brodskiego i Rotha" – komentuje nazwisko głównego bohatera książki „Radio Noc" jej inny bohater. Opowieść o Rotskim toczy się bowiem dwutorowo. On sam częstuje nas radiowymi monologami o życiu. O nim zaś opowiada wynajęty biograf. Ale to tylko ramy, w nowej powieści Jurija Andruchowycza wydarzyć może się wszystko: biograf zmienia się w bohatera swych dociekań, sama forma książki jest nie do uchwycenia – jej środkową częścią jest np. jednoaktowa farsa.

Złożył ukraiński pisarz „Radio Noc" z tego wszystkiego, co jest nim samym. A skoro Andruchowycz jest i świetnym stylistą, i mistrzem groteski, i poetą, i komentatorem politycznym, i legendą kontrkultury, to połączenie tego wszystkiego musiało dać mieszankę wybuchową. Tyle że tym razem ta mieszanka nie wybucha.

Sklejona z opowieści o losie i niesprawiedliwości książka „Kochankowie Justycji" była dokonaniem wybitnym; przede wszystkim okazała się czymś więcej niż tylko sumą części powstających przez ćwierć wieku. Najnowsza powieść wyrwała się twórcy spod kontroli. Rozmaite pomysły wrzucone do „Radia Noc" powstawały niemal równie długo, a szczególną rolę odgrywają wśród nich te z czasów pomarańczowej rewolucji i z czasów Majdanu, czyli rewolucji godności.

Tyle że jest to rzeczywistość alternatywna: muzyk Rotski okazuje się ważną figurą rewolucji, ale przegranej, zostaje zamieszany w łowy na dyktatora oraz intrygi służb specjalnych. Czym jest sztuka w rękach oprawców? Czy artysta może uratować świat? Co może począć, gdy muza zamilknie? To powieść wydana jeszcze przed atakiem Rosji na Ukrainę, lecz jest w niej prorocza wściekłość na państwa sytej Europy ubijającej interesy ze zbrodniarzami (cóż z tego, że z odrazą). Jest tu i szydercza diagnoza współczesności: idee i systemy polityczne nie mają już znaczenia, światem rządzi międzynarodówka bandziorów.

Językowy majstersztyk – piszą recenzenci. „Radio Noc" to książka do podziwiania, bo napisana z maestrią. Do żmudnego dekodowania tysięcy aluzji i słownych gier. Ale te niezliczone grepsy stają się męczące i osłabiają zarówno wymowę metafor, jak i przyjemność podążania za szaloną narracją. Każdy pisarz od czasu do czasu ponosi porażki. Tę Andruchowycz poniósł w wielkim stylu. I na pewno jest to jego porażka najambitniejsza. ©®

★★★★☆☆
JURIJ ANDRUCHOWYCZ
„RADIO NOC"
CZYTELNIK 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Czytelnicy poprzednich książek tego duetu znają ich walory – kapitalną warstwę ilustracyjną i imponującą kwerendę reportersko-historyczną. „Najbardziej wpływowa kobieta w dziejach" godnie opisana i upamiętniona.

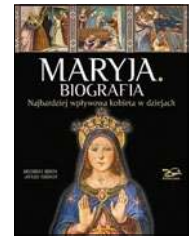

GRZEGORZ GÓRNY, JANUSZ ROSIKOŃ
„MARYJA. BIOGRAFIA"
ROSIKON PRESS

Ilustrowana zdjęciami Adama Bujaka biografia papieża Benedykta XVI. Bez wątpienia będą kolejne, podobnie jak analizy jego nauczania. Była to bowiem postać ważniejsza, niż wielu sądziło za jego życia.

JOLANTA SOSNOWSKA
„TAJEMNICA OPUSZCZENIA ŁODZI PIOTROWEJ"
BIAŁY KRUK

Wybitna francuska filozof przenikliwie o kryzysie nowoczesności: na Zachodzie humanizm zamienia się w humanitaryzm, wrogowie Zachodu tradycje zamieniają w ideologie, a uniwersalne wartości są kwestionowane.

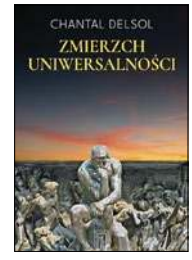

CHANTAL DELSOL
„ZMIERZCH UNIWERSALNOŚCI"
IW PAX

O kłopotach z wiarą w USA, o tym, komu potrzebna „pozytywna ewangelia", dokąd prowadzi kult „ja" i że rozrywka powinna podlegać cenie moralnej. Mocna książka amerykańskiego konserwatysty i dumnego katolika.

MATT WALSH
„KOŚCIÓŁ TCHÓRZY"
DOM WYDAWNICZY RAFAEL

KOMIKS TYGODNIA: „GNIEW"

Tylko śmierć prowadzi do nieśmiertelności – Achilles zginął i stał się nieśmiertelny. Genialny komiks hiszpańskich twórców to opowieść wywiedziona z „Iliady" Homera, ale dzieje oblężenia Troi są tylko pretekstem do rozważań o tym, jak rodzi się mit, jak powstaje nowoczesność, jak współczesny świat ukształtowany został przez herosów, o których niegdyś wiedziało każde dziecko, a którzy dziś strącani są z piedestałów.

JAVIER OLIVARES, SANTIAGO GARCIA
„GNIEW"
WYDAWNICTWO MANDIOCA 2023

eprasa.pl d9a6dd6456

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wolność – wielka rzecz

W 1870 r. w szwajcarskim Rapperswilu powołano do życia Muzeum Narodowe Polskie w celu zabezpieczenia polskich zabytków historycznych i propagowania spraw polskich. Przechowywano tam pamiątki polskiej historii oraz kultury. Wśród nich archiwum Rządu Narodowego, pamiątki po Tadeuszu Kościuszce, Marianie Langiewiczu, Adamie Mickiewiczu, dokumenty dotyczące konfederacji barskiej, Sejmu Czteroletniego, Konstytucji 3 maja, insurekcji kościuszkowskiej, powstania listopadowego, rewolucji 1846 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Jak to miejsce wpłynęło na sympatie i poglądy polityczne Stefana Żeromskiego, który pracował w bibliotece tegoż muzeum? Jak wpłynęli na nie ludzie, z którymi zetknął się w Rapperswilu? Bohaterowie walk z 1863 r. – Teodor Tomasz Jeż, uczestnik walk w czasie Wiosny Ludów i 1863 r., Henryk Bukowski – dwukrotnie ranny w 1863 r., wybitny antykwariusz, przełożony, a także przyjaciel Żeromskiego. Między innymi na te pytania stara się odpowiedzieć wystawa „Wolność to wielka rzecz". Muzeum Narodowe w Kielcach po raz pierwszy po drugiej wojnie światowej prezentuje zbiory ze szwajcarskiego muzeum. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Stefana Żeromskiego w Kielcach***
KIEDY? ***do 5 listopada***

FOT. NATALIA KABANOW

DZIADY. PRZEJŚCIE

„Impulsem do stworzenia wystawy jest kontekst polityczny arcydramatu, a właściwie rola jego konkretnej inscenizacji – »Dziadów« w reżyserii Kazimierza Dejmka zrealizowanych w Teatrze Narodowym, zdjętych z afisza na początku 1968, uznawanych powszechnie za katalizator Wydarzeń Marcowych" – piszą autorzy ekspozycji „Dziady". I zaznaczają, że chcieli zaprezentować potencjał arcydramatu Mickiewicza. Potencjał etnograficzny, literacki i sceniczny. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Pana Tadeusza we Wrocławiu***
KIEDY? ***do 30 lipca***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

I zostało ich dwóch

Po śmierci Andy'ego Fletchera w zespole pozostało dwóch antagonistów. Porozumienie między Martinem Gore'em i Davem Gahanem zaowocowało najlepszym albumem Depeche Mode od ćwierćwiecza.

Muzyczna Polska „Depeszami" jest podzielona. Wojnę, w latach 80., wywołały długie grzywki fanów DM nieakceptowalne przez żołnierzy muzycznej alternatywy. Rozejm dał w 1990 r. album „Violator", dzięki któremu zespół z gwiazdy popersów przeistoczył się w stadionową, rockową atrakcję. Niestety, płyty DM wydane w tym wieku wypadały dość blado, czego fani nigdy nie przyznają.

Śmierć i strata są wszechobecne na 15. albumie DM. Tytuł „Memento Mori" wymyślił Gore nie w związku ze średniowiecznym pozdrowieniem, ale w nawiązaniu do rzymskich parad, podczas których niewolnicy szeptali „pamiętaj o śmierci". Album otwiera złowieszczy industrial, po którym następują synth-popowa nostalgia, gotycki walc, niepokojące pulsacje, electro-soulowa ballada, cyfrowy chłód, mroczne, neonowe syntezatory... Jest różnorodnie, a teksty są o czymś. Album spajają trzy mocne kompozycje – „My Cosmos Is Mine", cave'owska „Carolines Monkey's" i finałowa „Speak to Me". Jeśli dodam, że „Ghosts Again" jest pierwszą od lat piosenką DM mogącą uchodzić za przebój, to „Memento Mori" można polecić nie tylko fanom. ©℗

★★★★★☆
DEPECHE MODE
„MEMENTO MORI"
COLUMBIA

★★☆☆☆☆
U2
„SONGS OF SURRENDER"
ISLAND

Irlandczycy z rockowych bogów przeistoczyli się za sprawą paplaniny Bono w irytujących politykierów. Teraz wydali album z 40 nowymi wersjami własnych piosenek! Kto wytrwa do całości za jednym odsłuchem, ten zuch!

★★★★☆☆
VAN MORRISON
„MOVING ON SKIFFLE"
EXILE

Siedemdziesięciosiedmioletni Morrison powraca do skiffle, muzyki swego dzieciństwa. Dołączył piosenki bluesowe, countrowe czy folkowe, których słuchał w Belfaście w latach 50. Słuchając tej zrelaksowanej, trwającej półtorej godziny płyty, uśmiech pojawia się na twarzy, a nogi same przytupują.

eprasa.pl d9a6dd6456

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI

Niemy dźwięk duszy

Grzegorz Kondrasiuk

Dziwny to teatr, by posłużyć się recenzenckimi sztampami, zostaje z tobą jakiś czas po wyjściu z sali, uwiera, gniecie

Hanoch Levin. Izraelski dramatopisarz, główny specjalista od małego tragizmu, takiego trochę z Czechowa, trochę z Becketta, trochę może z Ciorana, a najbardziej – z przedmieść i z małych miasteczek, gdzie wszystko już się skończyło, zanim jeszcze na dobre się zaczęło. Urodzony w roku 1943, a więc debiutujący pod koniec lat 60. XX w., zaczynał od ostrej antypaństwowej satyry, by do śmierci w 1999 r. popełnić ogrom sztuk zaliczających się raczej do literatury filozoficznej w ogólności, a nawiązujących do egzystencjalizmu – w szczególności. Ma on w Polsce swojego ambasadora, w osobie Artura Tyszkiewicza, reżysera i dyrektora warszawskiego teatru Ateneum. Tyszkiewicz twierdzi, że Levin – jako dziecko emigrantów z polskiej Łodzi – przynależy również do kultury polskiej. Można w to uwierzyć po obejrzeniu którejś z jego realizacji, choć niewiele w nich bezpośrednich odwołań do polskiej scenerii.

Najnowszy Levin według Tyszkiewicza to „Wzrusz moje serce" w Ateneum, w kameralnej, frapującej formalnie inscenizacji, z bardzo dobrą obsadą. Mikrodramat rozgrywa się pomiędzy czterema głównymi postaciami, rozpisanymi przez reżysera na aktorskie trio: Julię Kijowską (Lalalala, Jako-taka), Grzegorza Damięckiego (Pszoniak), Łukasza Simlata (Sędzia Lamka). Lamka jest obsesyjnie zakochany w prowincjonalnej piosenkarce Lalalali, a Lalalala bezustannie wyjeżdża w trasę i puszcza go kantem, zawsze z jakimiś trzema przygodnymi asystentami, bezwstydnie przy tym konfabulując. Wokół tej obsesji i tej zdrady, poprzez mijające pory roku, toczyć się będzie seria epizodów, wariacji na tematy złudzeń, niespełnienia, pustki i rozpaczy, ze sporą dawką wisielczego humoru.

Bohaterowie to idealni przeciętniacy i może ta bliskość, brak zadęcia w konstruowaniu postaci wyjaśnia sekret popularności tej dramaturgii. Lamce nieodłącznie towarzyszy Pszoniak, wieczny kolega bez właściwości, chętnie pomagający w zagadywaniu pustki i podmiejskiej nudy, z ciągle tą samą, tkwiącą w stuporze żoną Jako-taką. Wraz z upływem czasu i przemijaniem pór roku staje się jasne, że meritum tej sprawy to nie złudzenia, zdrady i oszustwa, ale zdobyta przy okazji klarowna, bezlitosna świadomość tego, że świat zdaje się odpowiadać milczeniem na ogrom naszych starań. To historia o zapędzeniu samego siebie w kozi róg, o tkwieniu w beznadziejnej sytuacji i o zdawaniu sobie z tego sprawy. „Szarpnij moim sercem" – woła jeden z bohaterów pod adresem swojej nieudanej miłości. „Wszystko byłoby inaczej" – żali się, choć dobrze wie, że nie wiadomo, co należy zrobić, żeby to „inaczej" spowodować.

Sporo u Levina metafor muzycznych i reżyser poszedł tym tropem. Najwidoczniej jest to taki reżyser, który wymyśla założenia świata, a potem wpuszcza weń aktorów, dając im swobodę rozwoju postaci. Stąd dość abstrakcyjny, unikający siermiężnego realizmu pomysł umieszczenia głównego miejsca akcji w tanim klubiku, gdzie dodatkowe piętro odrealnienia dodaje grający przez większą część akcji perkusista. Przestrzeń dla interpretacji powstaje więc na kanwie tła perkusyjnego, do którego czasem odnoszą się aktorzy w dyskretnym, rytmicznym dygotaniu, potupywaniu i przykroczkach. Ale to tylko tło, rozgrzewka w rozpędzających się stopniowo partyturach aktorskich. Nie dajmy się zmylić nijakości bohaterów i paplaninie, która wypada im z ust. Damięcki, Simlat i Kijowska stworzyli trzy teatralne potężne postaci – tym bardziej godne uwagi, bo kontrastujące z ich statusem przeciętniaków.

Dziwny to teatr, by posłużyć się recenzenckimi sztampami, zostaje z tobą jakiś czas po wyjściu z sali, uwiera, gniecie. Banały, ale prawdziwe, pasujące do tych banalnych, prawdziwych dramatów i tak dobrze znanych samotności wśród ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

TEATR ATENEUM W WARSZAWIE
HANOCH LEVIN,
„WZRUSZ MOJE SERCE"
REŻYSERIA: ARTUR TYSZKIEWICZ
PREMIERA: 18 LUTEGO 2023 R.

eprasa.pl d9a6dd6456

Alfabet Warzechy

Łukasz Warzecha

Aby zrozumieć nowy wspaniały świat, który chcą nam budować rząd i globaliści, trzeba wyposażyć się w dobry leksykon. Taki nieśmiało państwu podsuwam

JOE BIDEN – prezydent USA, który – zdaniem obozu rządzącego w Polsce i jego stronników – do 24 lutego ubiegłego roku był starym, stetryczałym dziaduniem noszącym pieluchę i nie do końca orientującym się, gdzie się właściwie znajduje. Po 24 lutego nastąpiła cudowna przemiana i zdaniem tych samych osób Joe Biden stał się wybitnym mężem stanu, przyjacielem Polski i Ukrainy, nadzieją wolnego świata, a już zwłaszcza po tym, jak nawiedził Warszawę w lutym.

COVID – morderczy wirus, który w lutym 2022 r. przestraszył się Władimira Putina tak bardzo, że zniknął prawie na całym świecie, z wyjątkiem Chin. No, ale Chiny się Rosji akurat nie boją, więc wszystko się zgadza.

ANDRZEJ DUDA – prezydent RP. Posiada liczne talenty: recytatorski („Ostry cień mgły"), językowy (znakomity angielski), a ponadto nie daje po sobie poznać, że rozpoznaje na pierwszy rzut ucha rosyjskich żartowni-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d9a6dd6456

siów w słuchawce i prowadzi grę do końca bez mrugnięcia okiem. W trakcie swojej prezydentury próbował m.in. zmienić konstytucję oraz – wielokrotnie, acz nieskutecznie – przekonać pana prezesa Kaczyńskiego, że to on, a nie pan prezes, jest głową państwa. Wystąpił jako support przed przemówieniem prezydenta USA (zobacz hasło: Joe Biden) w Warszawie w lutym tego roku.

EXTINCTION REBELLION – pionierzy fetyszyzowania kleju w imię walki o klimat. Nie chodzi jednak o wąchanie, ale o przyklejanie się do różnych obiektów – takich jak ciężarówki czy mosty. Niestety, ich gwiazda nieco ostatnio zbladła w zestawieniu z innymi klimatystycznymi sektami. Muszą wymyślić coś nowego.

FOLIARZ, ANTYSZCZEPIONKOWIEC – każdy, kto kwestionował słowa prof. Andrzeja Horbana, Roberta Flisiaka czy Pawła Grzesiowskiego oraz innych członków Rady Medycznej przy premierze. Trzeba tu podkreślić, że nawet jeśli po jakimś czasie wspomniane osoby zaczynały mówić to samo, co wcześniej mówili foliarze – np. że szczepienia nie zapobiegną zakażeniom – to foliarze nie byli przez to ani trochę mniej foliarzami. Po 24 lutego foliarze płynnie przedzierzgnęli się w ruskie onuce (zobacz: ruskie onuce), a członków Rady Medycznej zastąpili tropiciele onuc.

SZYMON HOŁOWNIA – człowiek wzruszająco zaskoczony rzeczywistością. Potrafi z przejęciem opowiadać o drobnych wydarzeniach, które inni mijają obojętnie. Na przykład o tym, że zobaczył śmieciarkę na ulicy. Rzeczywistość go wzrusza, czasami aż do płaczu. A już szczególnie, gdy ogląda sondaże własnej partii.

INFLACJA – nie ma czegoś takiego. Patrz: putinflacja.

IZERA – patrz: Mizera.

JUST STOP OIL – jedna z przodujących obecnie sekt klimatystycznych, której członkowie uwielbiają się przyklejać. Przyklejali się już do różnych dzieł sztuki w muzeach w Europie różnymi częściami ciała. Obrzucali również rozmaitymi substancjami obrazy wielkich mistrzów. Są przekonani, że cały świat jest głuchy i ślepy na ich rozpaczliwe apele, a planeta spłonie jeszcze za ich życia. Nie mają więc wiele do stracenia. Domagają się, aby w ciągu najbliższych kilku lat Wielka Brytania odeszła od paliw kopalnych całkowicie.

JAROSŁAW KACZYŃSKI – jednoosobowa nieformalna zwierzchność państwa. Z pozoru jowialny starszy pan, w istocie najbardziej wyrachowany gracz. Wielbiciel egalitarystycznych guru, takich jak Thomas Piketty, podsuwanych mu przez premiera (zobacz: Mateusz Morawiecki).

KRAJOWY PLAN ODBUDOWY (KPO) – prawdopodobnie najbardziej tajemniczy dokument w historii III RP. Nie wiadomo, kto właściwie go negocjował ani kto poumieszczał w nim różne radykalnie brzmiące „kamienie milowe" i warunki, których jest blisko 300. O zatwierdzeniu ich wypełnienia ma decydować tajemny „koledż" – nie wiadomo, z kogo złożony i na podstawie jakich kryteriów. Nie wiadomo także do końca, co niektóre z zapisów oznaczają ani jak będą interpretowane przez Komisję Europejską, gdybyśmy postanowili je spełnić. Wśród „kamieni milowych" – wedle ministra ds. europejskich Szymona Szynkowskiego vel Sęka – są „normalne" oraz „superkamienie", ale nie wiadomo, które są które. Jednym słowem – nic nie wiadomo. Jedyną pewną rzeczą wydaje się, że żadnych pieniędzy z którejkolwiek transzy KPO (jest ich 18) nie zobaczymy przez najbliższych sześć miesięcy.

MICHAŁ KURTYKA – były minister klimatu. Człowiek tak niesamowicie zdolny, jeśli idzie o realizację klimatystycznej agendy, że w końcu odkrył swoje powołanie i znalazł się w Global Energy Center, w amerykańskim The Atlantic Council. I nie można się w tym dopatrywać jakiegokolwiek konfliktu interesów. Na swo-

eprasa.pl d9a6dd6456

jej stronie GEC zachwala, że pan Kurtyka uruchamiał w przeszłości programy takie jak „Zielony transport publiczny", „Zielone pojazdy" czy „Miasto przyszłości". Nie wspomniano jednak o jego największym osiągnięciu. Zanim Michał Kurtyka został ministrem klimatu, był pełnomocnikiem rządu do spraw organizacji szczytu klimatycznego COP24 w Katowicach w roku 2018. Ściągnął tam wówczas Grecię Thunberg (sprawdź hasło: Grecia Thunberg), czym bardzo się potem chwalił. Jak widać, zasługa została należycie nagrodzona.

DOMINIKA LASOTA – kolejna (bo były już wcześniejsze próby) polska wersja Greci Thunberg. Niestety, starsza niż Grecia u początków kariery i bez warkoczyków. Natomiast panna Dominika dokonała większego poświęcenia niż Grecia. Ta ostatnia, aby zaangażować się bez reszty w walkę o klimat, rzuciła bowiem tylko szkołę średnią, a panna Lasocianka – studia, i to za granicą. Na razie znana głównie z tego, że podczas szczytu klimatycznego w Szarm el-Szejk w Egipcie rozmawiała na korytarzu przez trzy minuty z panem prezydentem Andrzejem Dudą. Czekam na kolejne dokonania. W razie czego mogę dostarczyć klej.

LETZTE GENERATION – jedna z wiodących organizacji walczących o ocalenie Ziemi przed pożarem. Stała się głośna za sprawą Człowieka z Asfaltową Dłonią. Nie wiemy, jak się nazywa ten bohater, ale wiemy, na jakie poświęcenie się zdobył. Jesienią ubiegłego roku wraz z towarzyszami przykleił się do jezdni w Moguncji w Niemczech. Niestety, tak skutecznie, że nie dało się go odkleić normalnymi sposobami. Trzeba było wezwać ekipę z narzędziami do remontów drogowych, która wykroiła solidny kawałek asfaltu otaczającego dłoń bojownika o klimat, który następnie chodził i pozował do zdjęć z kawałkiem asfaltu ściśle połączonym z jego dłonią. Lekarze orzekli, że być może dłoń trzeba będzie amputować. Niestety, brak informacji, czy asfaltowa dłoń funkcjonuje już w charakterze klimatycznej relikwii.

MIZERA – prawidłowa nazwa projektu błędnie zwanego Izerą, czyli pierwszego polskiego samochodu elektrycznego (patrz: samochód elektryczny). Polski samochód, którego nikt nie chce i którym nikt nie jest zainteresowany, będą robili Chińczycy, a na budowę fabryki, gdzie nie wbito jeszcze nawet łopaty, trzeba będzie wydać w sumie 6 mld zł. Jedno z największych osiągnięć Mateusza Morawieckiego.

MATEUSZ MORAWIECKI – premier Rzeczypospolitej, który stoi za największymi sukcesami ostatniego 30-lecia, a może nawet stulecia albo i tysiąclecia. Wśród tych sukcesów są: praktycznie nieistniejąca inflacja (jest tylko putinflacja); znakomite środowisko dla biznesu, stworzone przez Polski Ład; zalewające nas aktualnie pieniądze z funduszy unijnych; świetne relacje z Brukselą czy nieobecność jakichkolwiek nowych podatków. Są jedynie nowe opłaty, daniny i składki. Ważne miejsce na tej liście zajmują liczne podpisy na różnych unijnych dokumentach, wliczając „Fit for 55". Pan premier gra również na gitarze, w ping-ponga oraz Zbigniewowi Ziobrze na nerwach.

ELON MUSK – sytuacja z nim jest trochę taka jak z Joe Bidenem: również przeszedł nagłą przemianę, tyle że w drugą stronę. Do chwili, gdy kupił Twitter, był patrzącym w przyszłość odważnym wizjonerem i człowiekiem sukcesu, wskazującym ludzkości słuszny kierunek poprzez bycie właścicielem najsłynniejszej na świecie marki samochodów elektrycznych. Stawiał magazyny energii i zamierzał zbudować hyperloop. Kiedy kupił Twitter, okazał się prawackim totalniakiem, tłamszącym wolność słowa i niszczącym wspaniały serwis społecznościowy. Ech, nigdy nie wiadomo, co w człowieku siedzi…

ADAM NIEDZIELSKI – ekonomista, który został ministrem zdrowia i w tej roli prowadził nas przez Morze Czerwone pandemii (zobacz: COVID). Decyzje w sprawie restrykcji podejmował, używając Generatora Losowych Ograniczeń i Nakazów, opracowanego przez najwybitniejszych naukowców Polskiej Akademii Nauk. Dzięki użyciu generatora nikt nie mógł zarzucić rządowi, że nic nie robi, a pomysłów na nowe restrykcje nigdy nie brakowało. Obecnie cieszy się tak ogromną wdzięcznością narodu za swoje dokonania, że na Twitterze trwale ograniczył możliwość odpowiadania na swoje wpisy. Istnieje bowiem obawa, że liczba spływających podziękowań zablokowałaby serwis.

VIKTOR ORBÁN – przypadek podobny do Joe Bidena i Elona Muska. Dla obozu rządzącego i jego zwolenników do 24 lutego ubiegłego roku wielki przyjaciel Polski, dozgonny sojusznik, autorytet, wybitny wyraziciel konserwatywnego DNA w Unii Europejskiej. Do tego stopnia, że Polska zamierzała podarować Węgrom Kodeks Korwina (ale nie Janusza), uchwalając w tym celu specjalną ustawę, coby odebrać go samorządowej Książnicy Kopernikańskiej w Toruniu. Jednak zanim ustawę uchwalono, wybuchła wojna i Viktor Orbán z dnia na dzień okazał się ruską onucą, zakałą UE i człowiekiem, obok którego lepiej się nie pokazywać. I tak Kodeks Korwina pozostał w Polsce.

POLICJA – formacja państwowa, której głównym zadaniem jest rozweselanie obywateli w trudnych czasach poprzez dostarczanie tematów do memów i żartów. Należy docenić, że rządzący dbają o dobre samopoczucie Polaków, choć być może koszt utrzymania tego kabaretu jest nieco wysoki. Wśród najbardziej znanych skeczy autorstwa policji są m.in.: zamykanie smażalni ryb podczas epidemii (patrz: COVID), występy artystyczne na podnośniku, a przede wszystkim bardzo efektowny skecz w wykonaniu komedianta głównego Jarosława Szymczyka (zobacz: Jarosław Szymczyk) zatytułowany „Co to za rura?".

PUTINFLACJA – klęska finansowa i gospodarcza, w całości spowodowana przez działania Rosji i Putina. Gdyby nie Putin, mielibyśmy w Polsce w 2022 r. deflację, wzrost gospodarczy byłby na poziomie 50 proc. i przegonilibyśmy w zamożności Niemcy. Kto się z tym nie zgadza, ten ruska onuca (patrz: ruska onuca).

REPARACJE – ogromne pieniądze, które wypłacą nam Niemcy za szkody poniesione przez nas podczas drugiej wojny światowej, gdy tylko zrozumieją, że muszą je wypłacić, bo racja moralna jest po naszej stronie i nam się należy. Na razie jeszcze nie zrozumieli, ale Arkadiusz Mularczyk, główny właściciel tematu reparacji, jest wiceministrem spraw zagranicznych dopiero od kilku miesięcy. Poczekaj-

eprasa.pl d9a6dd6456

my jeszcze kilka, a Berlin zapłaci – dla świętego spokoju, żeby tylko pan minister Mularczyk przestał już pisać na Twitterze.

ROWEREK – najwyższa ewolucyjnie forma transportu. Powinna zastąpić ostatecznie wszystkie inne, z transportem publicznym włącznie, co sprawiłoby, że ludzie wreszcie przestaliby się gdzieś szlajać na większe odległości, a tym samym mniej szkodziliby planecie.

RUSKA ONUCA, ONUCYZM – każdy, kto niewystarczająco entuzjazmuje się polską polityką wobec walczącej Ukrainy lub ma jakiekolwiek wątpliwości. Onucyzm może się przejawiać na różne sposoby – np. poprzez wskazywanie na to, że w Polsce z powodu cen energii zamyka się wiele firm (patrz: Stanisław Żaryn), poprzez cytowanie Johna Mearsheimera, brak należytej krytyki Viktora Orbána lub wyrażanie zaniepokojenia możliwościami sprzętowymi polskiej armii w związku z przekazywaniem uzbrojenia na Ukrainę. Na szczęście w polskim życiu publicznym funkcjonuje wiele osób przeszkolonych z tropienia onucyzmu i dbających o czystość moralno-ideową.

SAMOCHÓD – najgorszy wynalazek w historii, gorszy nawet od bomby atomowej. Zakała ludzkości, potwór pożerający dobre rowerki i pieszych. Osobisty wróg prezydenta Warszawy (zobacz: Rafał Trzaskowski) i Jana Mencwela. Obaj co prawda samochodami jeżdżą, ale z najwyższym wstrętem i niechęcią.

SAMOCHÓD ELEKTRYCZNY – trochę lepsza wersja potwora, którą przez jakiś czas można tolerować. W trasie da się nim jechać z relaksującą prędkością do 90 km/h, człowiek uczy się cierpliwości, czekając najpierw półtorej godziny na dostęp do ładowarki, a potem godzinę na doładowanie akumulatorów. W dodatku jest tak drogi, że i tak prawie nikogo na niego nie stać. Jednak nawet w tym przypadku tolerancja jest tylko czasowa. Ostatecznym rozwiązaniem kwestii samochodowej będzie przesadzenie wszystkich na rowerki (zobacz: rowerek).

JAROSŁAW SZYMCZYK – inspektor generalny policji (zobacz: policja) i jej komendant główny, ksywa Generał Bomba. Nie tylko myśli o własnej formacji, lecz także martwi go sytuacja gospodarcza kraju. Ponieważ najgorzej ma się sektor budowlany, pan inspektor postanowił dostarczyć pracy choć kilku firmom z tej branży, osobiście wyburzając w tym celu część budynku Komendy Głównej przy ul. Puławskiej w Warszawie. W uznaniu tych zasług nagrodzono go podwyżką.

GRECIA THUNBERG – dziewczynka, od której wszystko się zaczęło. W sierpniu 2018 r. mała Grecia, przerażona wizją klimatycznego armagedonu, usiadła przed parlamentem w Sztokholmie, wyposażona jedynie w karton ze stosownym napisem. Całkowitym i kompletnym przypadkiem w pobliżu przechodziła akurat profesjonalna ekipa filmowa, która ten protest utrwaliła, a następnie film znalazł się w Internecie. Tak zaczęła się kariera małej Greci, która dzisiaj nie jest już taka mała i jakby nieco straciła na świeżości, a nawet nie ma już uroczych warkoczyków. Aby o sobie przypomnieć, Grecia pojawiła się jakiś czas temu na proteście klimatystów w Niemczech w Lützerath, gdzie ma zostać powiększony obszar odkrywkowej kopalni węgla. Tam pozwoliła się zatrzymać miłym niemieckim policjantom, którzy najpierw pozowali z nią do zdjęć fotoreporterom, a potem troskliwie wynieśli do radiowozu.

RAFAŁ TRZASKOWSKI – musi zarządzać Warszawą, a chciałby zarządzać Platformą, a jeszcze bardziej – Polską, ale nie pozwala mu szef partii (patrz: Donald Tusk). W Warszawie zaprowadza postępowy postęp w dziedzinie postępu, czyli rowerki i zwężenia. Jego najdonioślejszy projekt miejski to plac Równego Betonu (dawniej potocznie zwany placem Pięciu Rogów).

DONALD TUSK – mąż opatrznościowy i przywódca zjednoczonej opozycji in spe. Albo i nie. Geniusz ekonomiczny, który po dojściu do władzy rozwiąże nasze problemy gospodarcze, wyprowadzając za kołnierz z Narodowego Banku Polskiego jego prezesa Adama Glapińskiego. Od tego automatycznie spadnie inflacja, choć nie wiadomo jeszcze o ile. Ale co najmniej o drugie tyle spadnie, gdy nowy rząd wprowadzi drugi punkt programu Donalda Tuska i zezwoli na aborcję do 12. tygodnia życia dziecka. Wprowadzi też nieoprocentowane kredyty mieszkaniowe, przychyli nieba przedsiębiorcom, a złych pisowców powsadza do więzienia.

WĘGIEL – najbardziej poszukiwany i deficytowy towar w sezonie jesiennym i zimowym 2022/2023. W kwietniu ubiegłego roku Polska wprowadziła własne, dumne i niezależne embargo na import rosyjskiego węgla, w związku z czym zaczęliśmy go następnie sprowadzać nawet z Indonezji czy Australii. Naszym separatystycznym embargiem pokazaliśmy Putinowi, gdzie raki zimują, i prezydent Rosji do dzisiaj nie może wyjść z szoku, dlatego wciąż zastępuje go sobowtór. Ukraiński wywiad donosi, że czasami krąży nocami po opustoszałych korytarzach Kremla i łka cichutko: „No etot ugol'… Kak oni mogli?".

WIELKA POLSKA – wizja godna Wyspiańskiego, Matejki i Mickiewicza razem wziętych, w której potężna Polska, wspierana bezwarunkowo przez amerykańskiego sojusznika, staje się hegemonem regionu, a następnie Europy. Posłowie z Berlina będą pokornie dopraszać się o audiencję w Warszawie, a wysłannicy francuskiego rządu będą błagali o pożyczkę. Ursula von der Leyen za swoje obecne winy odstoi trzy dni zimą w worze pokutnym przed Pałacem Prezydenckim, a przechodzące dzieci będą w nią rzucać śnieżkami, zanim zostanie przyjęta i łaskawie winy zostaną jej wybaczone. Wizja ta zrealizuje się, gdy tylko Rosja przegra wojnę. No, ale to przecież drobiazg.

STANISŁAW ŻARYN – syn znanego historyka. Formalnie pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa w przestrzeni informacyjnej. Czy jakoś tak. Realizuje się jako internetowy troll, od 24 lutego publikując na Twitterze alerty, w których ogłasza, co ma być przejawem rosyjskiej dezinformacji. Załapali się już Paweł Lisicki i Wojciech Cejrowski, ale niżej podpisany wciąż nie. Ponieważ obniża to zdecydowanie moją wiarygodność, uprzejmie proszę pana Żaryna w ostatnich słowach tego tekstu, aby rozważył zamieszczenie mojego zdjęcia w jednym ze swoich alertów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

Wszystkie bitwy Jeffreya Sachsa

Wojciech Golonka

Jeffrey Sachs uważa, że wojna trwa, bo to świetna okazja osłabienia Rosji bez rozlewu amerykańskiej krwi przy stosunkowo niewielkim nakładzie finansowym. Jego zdaniem głównym celem USA są jednak Chiny

Wypowiedzi Jeffreya Sachsa, pierwszorzędnego amerykańskiego ekonomisty, który w ostatnich miesiącach stanął w otwartej opozycji do polityki swego kraju w kwestii wojny rosyjsko-ukraińskiej, a także względem Chin, budzą we mnie mieszane uczucia. Z jednej strony jego nonkonformizm i ostra krytyka amerykańskiego neokonserwatyzmu są jak powiew świeżego powietrza w zachodnim świecie, który medialnie ogranicza się do sloganów, w zasadzie nie dopuszczając szerszej dyskusji o przyczynach, konsekwencjach i zakończeniu bieżącej wojny. Czy się z nim zgodzić czy nie, Sachs serwuje przejrzystą argumentację, która nie pozostawia obojętnym i stymuluje indywidualną refleksję – robi zatem coś, czym normalnie w demokratycznych państwach zajmują się nieskrępowane media. Również jego determinacja i niezaprzeczalna odwaga budzą uznanie, a nawet sympatię – wszak naukowiec głosi swe racje wbrew „mainstreamowi", który, jak w przypadku jego wywiadu dla Bloomberga, zdjął go nawet z anteny za niewygodne wypowiedzi na temat wysadzenia Nord Stream 2 przez Amerykę.

Z drugiej strony – jego wypowiedzi budzą zdziwienie, wręcz niedowierzanie wobec jego wyraźnej fascynacji skrajnie etatystycznymi modelami społecznymi, jak w przypadku Chin, których Sachs jest w USA jednym z najbardziej rozpoznawalnych i zaangażowanych popleczników, i z czego nawet zdaje się wynikać jego stanowisko w kwestii zaangażowania USA w wojnie na Ukrainie. Albowiem dla amerykańskiego profesora jest to

FOT. CARLOS LUJAN/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES

eprasa.pl d9a6dd6456

przede wszystkim wojna wymierzona przez USA w same Chiny.

NEC PLUS ULTRA

Jeffrey Sachs jest z pewnością światową ikoną ekonomii, choć niepozbawioną rys. Uznany onegdaj przez „The Economist" za „jednego z trzech najbardziej wpływowych żyjących ekonomistów", a przez „New York Timesa" za „prawdopodobnie najważniejszego ekonomistę na świecie", znalazł się dwukrotnie na liście „Time'a" stu najbardziej wpływowych liderów na świecie i został także obdarzony aż 32 doktoratami honoris causa, w tym przez uczelnie w Polsce. Ma się rozumieć, „terapia szokowa", którą przeprowadził nad Wisłą jako oficjalny doradca Solidarności i mentor Leszka Balcerowicza, nie pozostawiła po sobie tylko dobrych wspomnień. Jeśli wolnorynkową gospodarkę zawdzięczamy ustawie Wilczka z 1988 r., to Sachs zajmował się odejściem od gospodarki centralnie planowanej, co w praktyce oznaczało mniej lub bardziej (nie)udaną prywatyzację majątku narodowego, z brakami gospodarności, falami bezrobocia i likwidacją rodzimego przemysłu włącznie. Transformacją wręcz śmiertelną w skutkach – w 2009 r. na łamach czasopisma „The Lancet" ukazało się nieciekawe studium, wykazujące związek między masową prywatyzacją lat 1989–2002 w krajach byłego bloku komunistycznego a zwiększoną śmiertelnością wśród mężczyzn w tamtym okresie. Co ważne, jak wskazywało badanie, „istotny kapitał społeczny" był czynnikiem neutralizującym potencjalne negatywne skutki masowej prywatyzacji i nie bez powodu Sachs, czy to w ramach korekty kardynalnego błędu, czy wręcz wyrzutów sumienia, stał się w tym czasie piewcą socjalizmu w formie etatystycznego państwa opiekuńczego. Dał temu wyraz m.in. w książce „Nowa polityka zagraniczna: porzucić amerykańską wyjątkowość" („A New Foreign Policy: Beyond American Exceptionalism") z 2018 r., a pozycja ta rzuca także światło na jego bieżącą krytykę polityki zagranicznej USA. Innymi słowy: obecna budząca kontrowersje postawa Sachsa nie wzięła się znikąd i jest zbieżna z jego wcześniejszymi tezami.

Ekonomista od dłuższego czasu uważa bowiem, że w 1992 r. Ameryka zachłysnęła się przekonaniem o własnej hegemonii wobec upadku dwubiegunowego porządku świata, a jej neokońska polityka spowodowała dekady wydatków zbrojeniowych i fatalnych w skutkach wojen – począwszy od Jugosławii, przez Irak, Afganistan, a skończywszy na Syrii i Libii (a obecnie Ukrainie, o czym za chwilę). Tymczasem, podczas gdy Ameryka utrzymuje dziesiątki baz wojskowych na całym świecie, jej infrastruktura podupada, system edukacyjny kuleje, kosztowna służba zdrowia i tak jest niewydajna, a rozwarstwienie między najzamożniejszymi i najuboższymi jest rekordowo wysokie. Cóż to za hegemon zresztą – kpi nieraz Sachs – który nie jest nawet w stanie zbudować u siebie szybkiej kolei. Innymi słowy: bezpodstawna pogoń Ameryki za jej hegemonią – USA stanowią w końcu tylko 4 proc. światowej populacji – skutkuje upadkiem amerykańskiego społeczeństwa.

Przy okazji premiery swej książki jako przykład skutecznego modelu spójności społecznej podawał wówczas kraje skandynawskie, Indie, a zwłaszcza Chiny, którym w ciągu ostatnich trzech dekad udało się wyciągnąć ze skrajnego ubóstwa ponad 300 mln obywateli.

Dodajmy, że w prawyborach demokratów w 2020 r. ojciec polskiej transformacji oficjalnie poparł Berniego Sandersa, jawnego socjalistę i przeciwnika bezwzględnego wolnego rynku, z racji potrzeby ochrony miejsc pracy amerykańskich robotników…

Trzeba też zaznaczyć, że Sachs, choć jest dość pryncypialnym przeciwnikiem amerykańskiego interwencjonizmu, jest globalistą ufającym w skuteczność międzynarodowych organizacji. W latach 2001–2018 służył on nieprzerwanie jako specjalny doradca trzem kolejnym sekretarzom generalnym ONZ. Niezależnie od tego, jak oceniać jego poglądy, ta silna pozycja z pewnością dawała mu wgląd w arkana światowej dyplomacji, a także pozwoliła poszerzyć jego już dość szerokie międzynarodowe koneksje – przypomnijmy, że doradzał samemu Gorbaczowowi – z których korzysta do dziś.

WOJNA JAKO KONSEKWENCJA

Cóż zatem obrazoburczego Jeffrey Sachs mówi w kwestii wojny na Ukrainie, że jego wypowiedzi, choć udzielane w zasadzie głównie niszowym mediom internetowym, odbijają się echem także nad Wisłą, budząc falę krytyki? Otóż dla Sachsa wojna rosyjsko-ukraińska jest konsekwencją krytykowanej przezeń neokońskiej polityki Ameryki, a obecne trio – Joe Biden, Victoria Nuland oraz Jackie Sullivan (czyli prezydent USA ze swą podsekretarz stanu i doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego) – działało już w 2013 r., w administracji prezydenta Baracka Obamy, na rzecz odsunięcie od władzy prezydenta Janukowycza i dokonania politycznego przewrotu na Ukrainie – tak bowiem Sachs kwalifikuje Majdan.

Równolegle Sachs przywołuje doświadczonych amerykańskich dyplomatów i sowietologów, którzy ostrzegali USA przed kolejnymi rozszerzeniami NATO na Wschód – w jego oczach sojusz północnoatlantycki stał się po upadku Związku Sowieckiego po prostu narzędziem amerykańskiej hegemonii. Mówiąc o prowokacjach Ameryki wobec Rosji, Sachs nie twierdzi jednak, że druga strona nie jest bez winy i własnych prowokacji, chodzi mu natomiast o optykę, w której wojny można było uniknąć, oraz, przede wszystkim, o tę, w której obecną wojnę można by rychło zakończyć.

Sachs uważa, że Ukraina, będąc sąsiadem Rosji, nie ma prawa do samostanowienia militarnego, w przeciwieństwie do samostanowienia politycznego i międzynarodowych sojuszy natury czysto politycznej. Przytacza tu przykład Meksyku, który bezzwłocznie spotkałby się z inwazją Stanów Zjednoczonych, gdyby ogłosił powstanie na swoim terytorium chińskiej bazy wojskowej. W perspektywie przyłączenia Ukrainy do zachodniego obozu militarnego ekonomista dopatruje się właśnie jednego z głównych powodów bieżącej wojny i przytacza swoją rozmowę z przedstawicielami obecnej administracji Białego Domu przed jej wybuchem. Poruszając temat przyszłej przynależności Ukrainy do NATO, Sachs otrzymał informację, że nikt nie traktuje tej kwestii poważnie – zapytał zatem, czemu nie padnie ze strony Białego Domu oficjalna deklaracja w tej kwestii, która pomogłaby uniknąć wojny, na co już nie uzyskał odpowiedzi. Profesor uważa też, że obecna wojna mogłaby zostać bardzo szybko zakończona, gdyby dwie strony sporne – Rosja i Stany Zjednoczone (jest to bowiem dla Sachsa wojna zastępcza Ameryki z Rosją za pośrednictwem Ukrainy) – siadły do stołu

eprasa.pl d9a6dd6456

rozmów dyplomatycznych i wysłuchały wzajemnego stanowiska.

Sachs uważa jednak, że USA nie są zainteresowane na razie pokojem, ponieważ – cytuje on tu samozadowolonego republikańskiego senatora Mitta Romneya – jest to świetna okazja osłabienia Rosji bez rozlewu amerykańskiej krwi przy stosunkowo niewielkim nakładzie finansowym. Z tego też powodu – tym razem cytuje byłego premiera Izraela Naftalego Bennetta, który pośredniczył w rozmowach między Ukrainą a Rosją – w marcu 2022 r. pod wpływem USA i Wielkiej Brytanii Ukraina wycofała się z porozumienia zawieszenia broni, które było praktycznie gotowe.

Ekonomista uważa, że próba rozwiązania konfliktu przez pokonanie Rosji jest drogą donikąd, powodującą jedynie jeszcze większą destrukcję Ukrainy i śmierć jej żołnierzy. Albowiem, jak zaznacza, nie da się pokonać mocarstwa, które ma w swym arsenale ponad 1,6 tys. głowic jądrowych, 11 stref czasowych i nieograniczone pokłady kluczowych surowców. Sachs deklaruje, że nie wie, na ile kontrofensywy ukraińskie są w stanie realnie pobić Rosję na polu bitwy – uważa, że to jest temat dla wojskowych – ale zaznacza, że z jednej strony przynoszą one Ukrainie dodatkowe straty, a z drugiej, jeśli rzeczywiście Ukraina odniosłaby sukces, atakując tereny, które Rosja uznaje za swoje, zmaksymalizowałoby to ryzyko sięgnięcia przez nią do swego arsenału broni jądrowej: „Nie chcę, aby Zełenski doprowadził do śmierci nas wszystkich. Militarna eskalacja nie może doprowadzić do sukcesu. Kropka. Bo nawet jeśli doprowadzi do sukcesu na polu bitwy, doprowadzi do globalnej destrukcji […]. Dostać wojnę atomowego wyniszczenia po to, aby NATO mogło się rozszerzyć, jest ponad wszelką lekkomyślność" – mówił w rozmowie z kanałem Actvism Munchen.

Sachs wypowiadał się także od samego początku w kwestii zniszczenia gazociągu Nord Stream 2, argumentując, iż obecne przesłanki wskazują, że sprawcą były USA, ponieważ Joe Biden zapowiadał, że Ameryka ma środki, aby ten projekt zablokować, jego administracja celebrowała samo zniszczenie gazociągu, a USA były jednym z tych kilku państw, które były technicznie w stanie podobnego sabotażu dokonać. Sachs zaznaczył, że nawet jeśli się myli, USA powinny domagać się przejrzystego śledztwa w kwestii tego aktu terroryzmu

Sachs uważa, że nie da się pokonać mocarstwa, które ma w swym arsenale ponad 1,6 tys. głowic jądrowych, 11 stref czasowych i nieograniczone pokłady kluczowych surowców

na międzynarodowej infrastrukturze energetycznej, czego przecież nie robią. Wystąpił także w tej kwestii, z zaproszenia Rosji, przed Radą Bezpieczeństwa ONZ. Ubolewa przy tym, że główne zachodnie media w ogóle nie spełniają swej roli informowania obywateli o tym, co się dzieje, np. późniejsze ustalenia dziennikarza śledczego Seymoura Hersha zostały pominięte ciszą. Notabene, choć jego wywiady osiągają duże zasięgi, sam Sachs, jak wspomniałem, gości głównie na niszowych kanałach internetowych – wyjątkiem są jego wywiady dla państwowej chińskiej telewizji CGTN. Wydaje się, że otwartość poświęcania czasu tym niszowym mediom ze strony tak wpływowego człowieka – a robi to z niewątpliwą dozą empatii do swych rozmówców – świadczy, że wierzy w to, co mówi, a przede wszystkim, że traktuje to jak misję.

Czy misja ta jest rzeczywiście obrazoburcza? W swym wybrzmieniu, z racji jaskrawego kontrastu z deklaracjami amerykańskiej administracji czy tamtejszych głównych (lewicowych) mediów – tak, ale już nie na gruncie samych mniej lub bardziej słyszalnych w USA opinii. Dla przykładu: wedle sondażu z połowy marca prawie połowa wyborców w USA uważa, że wsparcie Ameryki dla Ukrainy jest w istotnym interesie USA, ale przeszło jedna trzecia jest zdania przeciwnego. Wśród wyborców republikanów większym priorytetem w ogóle jest kwestia chińska, a nie ukraińska. Również krytyka neokonserwatyzmu nie jest w Ameryce niczym nadzwyczajnym, zarówno ze strony tradycyjnej prawicy, o charakterze izolacjonistycznym, jak i globalistycznej lewicy, w której poczet można by zaliczyć samego Sachsa. To, co w sumie jest u ekonomisty nietypowe, to jego wyraźne prochińskie stanowisko.

Sachs mocno krytykował podjętą przez Trumpa wojnę celną z Chinami, stanął również w obronie Meng Wanzhou, dyrektor wykonawczej koncernu Huawei zatrzymanej w 2018 r. w Kanadzie na wniosek amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości, a obecnie twierdzi, że głównym celem przedłużania wojny przez USA na Ukrainie jest właśnie zastraszenie Chin. Relacje amerykańsko-chińskie są dla mnie odległym tematem, ale wyraźna fascynacja profesora Chinami, ich modelem spójności społecznej budzi u mnie zdziwienie z domieszką niepokoju. System kredytu społecznego, kilkuletni zamordyzm covidowy, który udało się za przykładem Chin wdrożyć, choć w różnym stopniu, także na Zachodzie, systemowe kneblowanie chrystianizmu i reżimowe promowanie ateizmu – nic z tych rzeczy nie zasługuje na szacunek ze strony zagorzałego demokraty, za którego podaje się Sachs. W przypadku poparcia dla Meng ekonomista bronił się, że nie dostał pieniędzy za apel w jej obronie, aczkolwiek słysząc doniesienia o finansowaniu części amerykańskich elit politycznych przez chińskie koncerny, warto byłoby zupełnie wykluczyć tego typu zarzuty w przypadku profesora Uniwersytetu w Columbii i prowadzonego przezeń Centrum na rzecz Zrównoważonego Rozwoju.

Abstrahując jednak od wątku chińskiego, przykład Sachsa pokazuje, że nie tylko amerykańscy konserwatyści na obrzeżach Partii Republikańskiej wykazują sceptycyzm wobec zaangażowania Ameryki w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, to po pierwsze. Po drugie, i przede wszystkim, zamiast rozrywać szaty tylko dlatego, że ktoś jego rangi mówi rzeczy, które wydają się w Polsce zupełnie sprzeczne z polską racją stanu, należy przyjąć do wiadomości jego krytykę cynizmu neokońskiej ideologii. Jeśli bycie w NATO i pod parasolem amerykańskiej protekcji leży w polskim interesie, to trzeba koniecznie zadbać o to, aby nigdy nie zostać poświęconym, choćby w formie „wypadku przy pracy", na ołtarzu amerykańskiej hegemonii. Jeśli miałbym w kwestii polityki zagranicznej wybrać doradcę między prof. Sachsem a ambasadorem Rościszewskim, to przy wszystkich zastrzeżeniach do ojca polskiej transformacji zdecydowanie o wiele bardziej przykuwałbym uwagę do przestróg amerykańskiego ekonomisty niż do neokońskich aberracji polskiego dyplomaty.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

Zmierzch czerwonych biretów

Paweł Chmielewski

Papież Franciszek skutecznie ograniczył znaczenie kardynałów i zakres ich władzy. W marcu 2023 r. podjął kluczową decyzję, która głęboko zmienia sposób zarządzania Kościołem. Wbrew retoryce o decentralizacji chodzi tak naprawdę o silne zawężenie decyzyjności do najściślejszego kręgu w Watykanie. To pozwoli skuteczniej narzucać wszystkim liberalny kurs

We wrześniu 2022 r. papież Franciszek w wywiadzie dla hiszpańskojęzycznego radia wyznał, że nie wprowadza w Kościele żadnych własnych idei, realizując jedynie krok po kroku to, czego oczekiwali kardynałowie na spotkaniach prekonklawe, poprzedzających jego wybór w 2013 r. Chodzi w istocie o program reform konkretnej grupy liberalnych purpuratów, którzy przez wiele lat zabiegali o poparcie dla Jorge Maria Bergoglia. Na jej czele stał kard. Carlo Maria Martini, zmarły w 2012 r. arcybiskup Mediolanu. Franciszek wielokrotnie wyrażał wobec niego najwyższe uznanie. W decyzjach, które podejmuje w swoim pontyfikacie, wyraźnie widać ścisłe trzymanie się idei Martiniego. Dlaczego o tym przypominam? Bo jedną z tych idei stanowiło powołanie wąskiego gremium, które miałoby doradzać papieżowi w bieżącym zarządzaniu Kościołem. Martini mówił na ten temat w ostatnim wywiadzie, którego udzielił w życiu, opublikowanym na łamach „Corriere della Sera" dzień po jego śmierci i stąd mającym medialny status „testamentu" kardynała.

Jorge Mario Bergoglio podjął w tej sprawie błyskawiczne decyzje. Już 14 kwietnia 2013 r., zaledwie miesiąc po wyborze na papieża, powołał elitarną Radę Kardynałów. W jej skład weszło pierwotnie ośmiu zaufanych purpuratów, a sekretarzem został włoski biskup, dobry przyjaciel Franciszka. List uzasadniający stworzenie Rady papież opublikował dopiero po kilku miesiącach. Wyznaczył w nim Radzie dwa zadania: indywidualne lub wspólne doradztwo w różnych sprawach oraz opracowanie rewizji konstytucji apostolskiej „Pastor bonus", która określa sposób funkcjonowania Kurii Rzymskiej. W mediach uznano, że istotne jest tylko drugie z tych zadań – reforma Kurii. Ogólne doradztwo zdawało się nieco „mętne", poza tym to zasadniczo kompetencja całego Kolegium Kardynalskiego. Wreszcie sami członkowie Rady przedstawiali reformę jako najważniejszy cel swojej pracy.

Prace rewizyjne trwały długo; nowy dokument zatytułowany „Praedicate evangelium" ogłoszono wreszcie w czerwcu 2022 r. Wydawało się, że wobec przeprowadzenia reformy Kurii zadanie Rady zostało wypełnione i czas jej istnienia dobiega końca – tym bardziej że w czasie swojego w sumie krótkiego istnienia przeszła poważne perturbacje. Powołany w pierwszym składzie koordynator Rady kard. Óscar Rodríguez Maradiaga musiał zmierzyć się z oskarżeniami o nadużycia finansowe w swojej archidiecezji Tegucigalpa w Hondurasie. Inny członek rady, ekspert ds. ekonomicznych kard. Reinhard Marx, „zasłynął" nie tylko jako promotor heretyckiej „drogi synodalnej"; okazał się też winny zaniedbań w sprawie wykorzystywania seksualnego, w związku z czym złożył nawet rezygnację z urzędu arcybiskupa Monachium i Fryzyngi (której papież nie przyjął). Kolejny z kardynałów, George Pell, trafił do więzienia w Australii za rzekomy gwałt pedofilski, niesłusznie skazany najprawdopodobniej wskutek machinacji wrogów w Watykanie.

DEGRADACJA KARDYNAŁÓW

Watykaniści sądzili, że Franciszek Radę zlikwiduje albo „wygasi" jej funkcjonowanie. Stało się jednak inaczej. Papież ogłosił, że mandat dotychczasowego składu Rady wygasł, i powołał ją od nowa, wymieniając niektórych członków. Tym samym uczynił z Rady Kardynałów faktycznie stały organ doradczy, który w związku z przeprowadzeniem reformy kurialnej nie ma już żadnych konkretnych zadań: służy wyłącznie

eprasa.pl d9a6dd6456

ogólnej konsultacji na życzenie papieża. Wydaje się, że może to dotyczyć nawet najpoważniejszych kwestii. Kilka tygodni temu Franciszek mówił, że zastanawia się nad abdykacją i pyta „niektórych inteligentnych kardynałów" ze swojego otoczenia, co sądzą o jego pontyfikacie. Na razie mówią, że jest dobrze, dlatego sprawuje władzę dalej. Być może owi „inteligentni kardynałowie" to właśnie członkowie Rady.

Jak wskazano wyżej, to jednak całe Kolegium Kardynalskie powinno doradzać Ojcu Świętemu. Taka jest jego historyczna funkcja, realizowana zwłaszcza na konsystorzach – zwoływanych przez papieża „zjazdach" kardynałów. Franciszek z tego zrezygnował. W 2014 r. zebrał w Rzymie kardynałów tylko po to, by kazać im słuchać wystąpienia kard. Waltera Kaspera na temat udzielania Komunii Świętej rozwodnikom w nowych związkach. Choć wobec tego pomysłu pojawił się później silny opór, nic nie powstrzymało papieża przed przyjęciem Kasperiańskich rozwiązań. Po co było zatem trudzić kardynałów?

Z kolei w roku 2022 Franciszek zwołał nadzwyczajny konsystorz, aby obwieścić kardynałom zasady konstytucji apostolskiej „Praedicate Evangelium". Nie pytał ich wcześniej o zdanie, jak ją napisać – potraktował ich jak szef, który ogłasza pracownikom wprowadzenie zmian w funkcjonowaniu firmy. Podczas samego konsystorza radykalnie ograniczył kardynałom możliwość wypowiedzi, na co wielu się uskarżało. Degradację kardynałów zapisano zresztą w samej konstytucji. Papież stwierdził, że władza w resortach kurialnych (dykasteriach) nie jest związana ze święceniami kapłańskimi ani z godnością kardynalską – opiera się odtąd wyłącznie na papieskiej delegacji, mandacie, który może zostać udzielony każdemu – również osobom świeckim. Wcześniej co do zasady każdy prefekt rzymskiej dykasterii zostawał kardynałem. Teraz prefektem może być świecki teolog z Lublina albo ekonomistka z Madrytu. Tym samym rola kardynałów została ograniczona do wyboru nowego papieża. Musimy w konsekwencji zmienić dotychczasową perspektywę patrzenia na Kolegium Kardynalskie. Książęta Kościoła? Już nie. Teraz to wyłącznie elektorzy oraz potencjalni kandydaci do „prawdziwego" Kolegium, czyli Rady.

KRÓTKA ŁAWKA

Dlaczego to tak ważne? Kolegium Kardynalskie, składające się z ok. 200 kardynałów, stanowi co do zasady autentyczną

eprasa.pl d9a6dd6456

Kolegium Kardynalskie, składające się z ok. 200 kardynałów, stanowi co do zasady autentyczną reprezentację Kościoła

FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

reprezentację Kościoła. Wchodzą w jego skład ludzie, którzy są swoistą emanacją Kościołów lokalnych. Kolegium, doradzając papieżowi, zapewniało globalną perspektywę. Wraz z utworzeniem Rady Kardynałów uległo to głębokiej zmianie. Utrzymano wprawdzie sztafaż „światowości". Odnowiona Rada jawi się jako organ bardzo międzynarodowy. Są w niej purpuraci z Włoch, Hiszpanii (dwóch), Konga, Indii, ze Stanów Zjednoczonych, z Kanady, Luksemburga i Brazylii. Reprezentowane są zatem wszystkie kontynenty, z wyjątkiem Australii. Jest tu w teorii pewna przewaga Europy, ale Włoch Pietro Parolin i jeden z Hiszpanów Fernando Vérgez Alzaga to reprezentanci samej Kurii Rzymskiej, w której pracują od kilkudziesięciu lat. Europę reprezentują zatem arcybiskup Luksemburga Jean-Claude Hollerich i drugi Hiszpan, arcybiskup Barcelony Juan José Omella y Omella.

To poważny problem: dwaj purpuraci nie są bowiem reprezentatywni dla całej Europy. Hollerich to skrajny radykał: popiera kapłaństwo kobiet, zniesienie obowiązku celibatu, błogosławienie związków homoseksualnych. Omella jest mniej wyrazisty, ale i on zasłynął zdecydowaną krytyką czterech konserwatywnych kardynałów, którzy prosili Franciszka o jasne wyrażenie jego woli w sprawie Komunii Świętej dla rozwodników.

W Radzie Kardynałów nie ma nikogo, kto reprezentowałby „konserwatywną" Europę – tak jakby nie miała już żadnego znaczenia i nie warto było wsłuchiwać się w jej głos. Podobne ograniczenia dotyczą innych kontynentów. Kilkuosobowa Rada to z zasady krótka ławka – w dodatku specyficznie dobierana. Rada nie jest organem, który zostaje papieżowi w pewien sposób „dany" przez Kościół, tak jak ma to miejsce z całym Kolegium Kardynalskim. Jest tworem samego papieża – wyborem ludzi, z którymi Ojciec Święty chce i potrafi współpracować. To oznacza siłą rzeczy dramatyczne zawężenie perspektywy. Pod kątem pragmatyki sprawowania władzy to rzecz wygodna – otoczyć się doradcami, których chce się słuchać. Pytanie o długoterminowe skutki takich działań jest retoryczne.

TEORIA A PRAKTYKA

Ktoś mógłby powiedzieć, że tak naprawdę chodzi tu o wewnętrzne, administracyjne sprawy Watykanu, i nie musi to szczególnie interesować polskiego katolika. Jest inaczej. Redukcja znaczenia Kolegium Kardynalskiego na rzecz wąskiej Rady Kardynałów wpisuje się w szerszy trend, widoczny też w wielkiej polityce. Decydenci świata zachodniego mówią wiele o różnorodności, demokracji, prawie narodów czy społeczeństw do samostanowienia – ale jednocześnie powołują coraz to kolejne organizacje o międzynarodowym czy zgoła globalnym charakterze, które są całkowicie wyjęte spod kontroli państw narodowych, a które przejmują faktyczne kompetencje zarządcze. W praktyce okazuje się, że różnorodność i demokracja są dobre o tyle, o ile wpisują się w program globalnych organizacji. W przeciwnym wypadku trzeba je zwalczać. Podobnie dzieje się w Kościele za pontyfikatu Franciszka. Słyszymy wiele o docenianiu wiernych świeckich czy wadze decyzji Kościołów lokalnych. W praktyce jednak papież tak nie działa: „oddolnie" podejmować można tylko te decyzje, które są zgodne z zadekretowaną odgórnie liberalną linią. Teraz kreuje instytucję, która dalej centralizuje władzę. Autentycznie „powszechnego" głosu w Watykanie nawet nie chce się już słuchać.

Jestem ciekaw, czy następca Franciszka utrzyma Radę Kardynałów wyrosłą na destrukcji jednego z ważnych elementów powszechności Kościoła. Byłoby dobrze, gdyby wrócił do poprzedniego modelu; praktyka pokazuje jednak, że proces niezdrowej centralizacji w istocie trudno zatrzymać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl d9a6dd6456

Wszechwładza Sapiehów

Jacek Komuda

Pod koniec XVII w. Wielkie Księstwo Litewskie zostało opanowane przez ród możnowładczy, który – mówiąc dzisiejszym językiem – stworzył oligarchiczne państewko bezprawia przypominające Białoruś Łukaszenki albo bananową republikę

Sapiehowie do największego znaczenia doszli za czasów Jana III Sobieskiego. Król walczący z opozycją Paców, którzy brutalnie pokrzyżowali jego politykę bałtycką, popierał możnowładczą konkurencję dla stworzenia politycznej przeciwwagi. Popełnił jednak błąd, wynosząc w 1676 r. Benedykta Sapiehę do godności podskarbiego, a w 1683 r. jego brata – Kazimierza Jana – na hetmana wielkiego. Chociaż bracia podpisali elekcję króla w 1674 r., to tak wielka władza w ręku jednego rodu sprawiła, że przeszli na pozycje wrogów, walcząc z planami wzmocnienia władzy, z zaciekłością i bezwzględnością charakterystyczną dla dzisiejszej totalnej opozycji.

HETMAN, KTÓRY NIE BYŁ POD WIEDNIEM

Sobieski przekonał się o pomyłce już w trakcie wyprawy wiedeńskiej. Kiedy w sierpniu 1683 r. armia koronna ruszyła do walki z Turkami, hetman wielki litewski Kazimierz Jan Sapieha nie wspomógł króla. Dopiero 27 września, już po sławnym zwycięstwie nad Kara Mustafą, hetmani litewscy wyruszyli spod Krakowa i skierowali się na Słowację, pustosząc przy okazji dobra Andrzeja Potockiego pod Myślenicami. 4 października podeszli pod Zamek Orawski, gdzie wojska litewskie rozbiły siły powstańców węgierskich Thokolyego. Jak czas pokazał, miało to być ostatnie ich zwycięstwo aż do końca kolejnego stulecia. Następnie Sapieha przeszedł przez Słowację, grabiąc i mordując miejscową ludność. Pomaszerował na Trenczin i Leopoldov, skąd skręcił ku Nitrze. Miesiąc po bitwie pod Parkanami, 7 listopada,

Benedykt Sapieha

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

eprasa.pl d9a6dd6456

hetman litewski stawił się w Levicach, spotykając się z księciem Karolem Lotaryńskim. Dopiero 19 listopada pod Filakovem dołączył do Sobieskiego, a już trzy dni później Kazimierz Jan Sapieha i hetman polny Jan Ogiński dopuścili się zniewagi wobec króla, niedawnego zwycięzcy spod Wiednia, gdyż nie przedstawili oddziałów litewskich do przeglądu. Jan III Sobieski czekał na hetmanów na próżno sześć godzin wśród śnieżnej zawieruchy. A ci obłudnie wymawiali się, że… wysłali czeladź po siano! To właśnie przez Kazimierza Jana Sapiehę wiktoria wiedeńska jest wyłącznie polskim, a nie litewskim zwycięstwem. Jednocześnie niechęć hetmana do wsparcia Habsburgów pod Wiedniem nie przeszkodziła w przyszłości Sapiehom popierać z całych sił polityki cesarza i brać od jego posłów pieniędzy w zamian za utrzymywanie Rzeczypospolitej w sojuszu z Austrią w ramach Świętej Ligi.

SAPIEŻYŃSKA OPOZYCJA TOTALNA

Sapiehowie wzmocnili się ogromnie po śmierci kanclerza Krzysztofa Paca, kiedy król popełnił kolejny błąd, oddając wielką pieczęć litewską Marcjanowi Ogińskiemu, wiernemu stronnikowi tego rodu. Dodatkowo bracia pozyskali wspólników z Korony, zawiązując stronnictwo antydworskie paraliżujące prace sejmów i wszelakie inicjatywy Sobieskiego. Cennym sojusznikiem okazała się Wielkopolska w osobach wojewody poznańskiego Krzysztofa Grzymułtowskiego, kaliskiego – Rafała Leszczyńskiego oraz biskupa chełmińskiego Kazimierza i wojewody łęczyckiego Piotra Opalińskich. Na rzecz Sapiehów działał fanatyczny zwolennik złotej wolności Jan Pieniążek, wojewoda sieradzki, a w Małopolsce – marszałek wielki koronny Herakliusz Lubomirski. Jego żona, Elżbieta z Sieniawskich, została zresztą kochanką Benedykta, który był nieformalnym mózgiem mafijnej grupy magnackiej, podczas gdy jego brat, hetman, odpowiadał za „resorty siłowe".

Jak pisał Władysław Konopczyński: „Nominalnym szefem rodu i partii był Kazimierz, znany nam dobrze hetman i wojewoda wileński, pan krociowej fortuny, pyszny i gwałtowny, jak drugi Radziwiłł, ale bez jego europejskiej kultury i szerokości poglądów. Naprawdę i hetman, i jego synowie, jak Aleksander, późniejszy marszałek, Michał, koniuszy litewski i wszyscy klienci aż do najzamożniejszych, działali tak, jak im poradził podskarbi Benedykt, pomysłowy i podstępny, zawzięty i złośliwy Machiawel litewski, tylko bez owej iskry patriotyzmu narodowego, która płonęła w duszy florenckiego statysty. Cała polityka Sapiehów płynęła z chciwości, pychy i strachu".

Z biegiem lat Sapiehowie zmonopolizowali politykę wewnętrzną Litwy. „Wszystkie niemal sejmiki znajdowały się w ich rękach, rzesze posłusznych klientów tańczyły tak, jak oni im zagrali, niechętna, ale zastraszona część szlachty wolała siedzieć cicho. Dzięki opanowaniu sejmików przez Sapiehów na sejmy do Warszawy czy Grodna zjeżdżali niemal wyłącznie ich poplecznicy. Jeśli nawet sejmiki wybierały niewygodnych dla nich posłów, zostawały zerwane, jak w Brześciu Litewskim, kiedy wybrano Jerzego Radziwiłła" – pisał Zbigniew Wójcik.

Najgroźniejszym elementem potęgi stała się armia litewska, z której hetman wielki uczynił element polityki wojewódzko-powiatowej; straszak dla opornych; niszczył ich, rozmieszczając chorągwie w ich majątkach albo zastraszając groźbą wkroczenia wojska. Pierwszy raz użył wojska litewskiego w sprawie o majątek Ludwiki Radziwiłłówny, owdowiałej w 1687 r. (kiedy umarł jej mąż Ludwik Hohenzollern). Dwór chciał ją wydać za Jakuba Sobieskiego, ale ubiegł go brat cesarzowej austriackiej Karol Filip Wittelsbach. Sapieha obsadził wówczas włości zwane „dobrami neuburskimi" wojskiem litewskim i zagarnął dla własnej rodziny.

Potężne i wpływowe stronnictwo paraliżowało wszystkie próby prowadzenia polityki niezależnej od Austrii przez Jana III Sobieskiego. Godzili przede wszystkim w plany elekcji syna Jakuba, za życia ojca. W walce z królem reprezentowali interesy cesarza i elektora Brandenburgii, a także Francji. Już w 1684 r., kiedy do Rzeczypospolitej przyjechał poseł Ludwika Słońce, Franciszek de Bethune, zawiązali z nim… nie KOD wprawdzie, ale SdR, sprzysiężenie dla obrony Rzeczypospolitej w obronie wolności szlacheckich, obawiając się, że Sobieski z poparciem Francji przeprowadzi elekcję syna.

Chociaż Sejm w 1685 r. zakończył się sukcesem króla, który dopuścił Jakuba do udziału w posiedzeniu rady Senatu i w audiencji posłów moskiewskich, to Sobieski przegrał jego sprawę na kolejnym, w 1688 r., zerwanym przez Sapiehów. Wzburzenie było tak wielkie, że Mazowsze deklarowało zbrojne wystąpienie w obronie króla. O to samo prosiła wielokrotnie opozycja litewska. Jednak Sobieski, wielki wódz i ludzki władca, nie zdecydował się na rozprawienie się z opozycją siłą, zaprzepaszczając ostatnią szansę na złamanie potęgi magnaterii.

To wszystko jeszcze bardziej rozzuchwaliło Sapiehów. Po 1691 r., kiedy załamała się ostatnia królewska wyprawa do Mołdawii, stworzyli brutalne rządy magnackiej oligarchii na Litwie. Byli tak silni, że posłowie cudzoziemscy wprost uważali Benedykta za władcę księstwa. Hetman Kazimierz Jan przemyśliwał zresztą o koronie – słudzy zwali go Kazimierzem V i „najjaśniejszym". A kiedy wszyscy liczyli ostatnie dni schorowanego Sobieskiego, zaczął myśleć o poślubieniu królowej – przyszłej wdowy Marysieńki Sobieskiej – i próbował uderzać do niej w konkury!

Pod koniec 1692 r. stronnictwo stworzyło nowe sprzysiężenie, pozyskując prymasa Michała Radziejowskiego, kanclerza wielkiego koronnego Denhoffa i innych opozycjonistów; spodziewając się wobec rychłej śmierci króla uzyskać decydujący wpływ na elekcję nowego władcy.

OŚMIORNICA SAPIEHÓW

System sprawowania władzy nad Wielkim Księstwem stworzony przez Sapiehów był brutalny i skuteczny. Wspomnieliśmy już o szantażu wojskiem, którym grożono nieposłusznym. Kto nie głosował na sejmikach albo nie działał w polityce po myśli Sapiehów, temu nasyłano na majątki oddziały litewskiej armii, grożąc spaleniem i zniszczeniem włości do gołej ziemi.

Wojsko wykorzystywane do gwałtów i rabunków rychło zmieniło się w bandę rabusiów i swawolników, której wartość bojowa była żadna. Nadawało się do terroryzowania szlachty, duchowieństwa i sejmików, ale nie do obrony Litwy. Kiedy nowy król August II Sas w obecności cara Piotra przeprowadzał popis tej zbieraniny, okazało się, że husarze nie umieją trzymać kopii, a jazda siedzi na koniach od wozów. Polityka Sapiehy doprowadziła zatem do likwidacji litewskiej siły zbrojnej. W dodatku wojsko zawiązało związek, na którego czele stanął wojewoda połocki Dominik

eprasa.pl d9a6dd6456

Słuszka, posłuszny klient hetmana. Dzięki temu wpływało na politykę, wysyłając posłów, formułując żądania i wspierając politycznie magnacką klikę.

Teoretycznie sprawiedliwości na Sapiehów można było szukać w sądach, jednak większość z nich, a przede wszystkim Trybunał Litewski, obsadzona była przez ich klientów. A pamiętajmy, że deputatów wybierano na sejmikach kontrolowanych przez ten właśnie ród. Sam Kazimierz Jan, wojewoda wileński, terroryzował trzy sejmiki odbywające się w stolicy – wileński, smoleński i starodubowski. Kiedy rozpoczynały się obrady, Benedykt przydzielał pod opiekę członkom rodu poszczególne zgromadzenia, przydając wojsko i czeladź, aby dopilnowali wyboru odpowiednich kandydatów. Dlatego większość litewskich posłów na Sejm była zwykle klientami Sapiehów lub ich przyjaciół.

Drugim filarem potężnego rodu były finanse. Sapiehowie posiadali własne ogromne majątki na Litwie. Dodatkowo ich dochody pomnażane były przez wspomniane „dobra neuburskie", które okupowali. Benedykt, podskarbi, zawiadywał skarbem litewskim, przywłaszczając sobie część wpływów. Zabierał także hibernę na wojsko i podatki ekstraordynaryjne. Przy okazjach malwersował inne ogromne sumy wpływające do skarbca – np. odszkodowania wypłacane przez Moskwę po traktacie Grzymułtowskiego za utracone urzędy i majątki na wschodzie. Na Sejmie w 1688 r. szlachta oskarżała go o zagarnięcie ok. 4 mln złotych polskich!

Sapiehowie posuwali się także do zwykłego terroru. Upartych przeciwników więzili, wsadzali do lochów, a nawet mordowali i okaleczali, nie zwracając uwagi na szlacheckie przywileje. W takiej sytuacji musiał wreszcie znaleźć się ktoś, kto przeciwstawił się samowoli.

Znalazł się człowiek bez trwogi. Duchowny. Biskup wileński Konstanty Brzostowski.

BISKUP PRZECIWKO OLIGARCHII

W 1694 r., kiedy Kazimierz Jan umieścił w jego dobrach wojska na leże zimowe, Brzostowski zaprotestował, a ostatecznie rzucił na Sapiehę uroczystą klątwę kościelną w katedrze wileńskiej.

Hetman na początku nie przyjął jej na poważnie. Tego samego dnia miał urodziny i wyprawił ucztę, wyśmiał Brzostowskiego i urządził przedstawienie, gdzie zamiast świec rzucano kieliszki, a Żydów ubierano w szaty biskupie. Okazało się też, że Sapiehowie mieli wśród klienteli wiele klasztorów, które nie chciały uznać klątwy. W obronie hetmana wystąpił kard. Denhoff, a samą klątwę zawiesił prymas Michał Radziejowski, wierny stronnik Sapiehów. Nie wywołało to jednak uspokojenia. Jedni księża stawali po stronie hetmana, a inni – biskupa. Sapiehowie zaczęli zatem brutalną kampanię mającą zmusić zakonników i księży do posłuszeństwa, rabując i niszcząc dobra opornych. Doprowadzili prawie do podziału Kościoła na Litwie na dwie części.

Sejm w 1695 r. okazał się ostatnim dla Sobieskiego.
Jednak od niego zaczął się też upadek rodu Sapiehów

Tymczasem Brzostowski z poparciem króla rozsyłał pisma i uniwersały, występował w obronie wolności, a także nienaruszalności dóbr szlacheckich i duchownych. Sapieha odpowiedział manifestem, w którym oskarżył duchownego o to, że uzurpuje sobie prawo obrońcy wolności, które mu nie przynależy. Ostatecznie sprawa miała rozstrzygnąć się na Sejmie zwołanym 12 stycznia 1695 r., w obecności schorowanego króla.

Kazimierz Jan Sapieha przybył jak udzielny książę – z wojskiem i tłumami klientów. Litewscy posłowie sterroryzowali Warszawę, urządzali napady na przeciwników, wszczynali krwawe bójki. W sejmowych salach Jan Pieniążek atakował króla; godnie odpowiadał mu krewki Mazur, starosta nurski Stanisław Godlewski, grożąc Sapiehom wojną domową. Później oskarżał sam bp Brzostowski, wypominając gwałty, a także przejmowanie przez Sapiehów prywatnej korespondencji.

Król zamierzał zmusić Sejm do podjęcia decyzji w sprawie dalszej wojny tureckiej i gotów był poświęcić prywatne animozje, aby tylko doszedł do skutku. Jednak obrady zostały zerwane przez Sapiehów. I to pomimo dramatycznego apelu Sobieskiego, który ugiął się pod presją i wysłał do przeciwników prymasa Radziejowskiego wiadomość, obiecując, że jeśli dopuszczą do obrad, to unieważni pozew Brzostowskiego. Płakał wręcz, apelował, aby nie zabijali Rzeczypospolitej! Nic z tego. Kazimierz Jan Sapieha wściekle zaatakował biskupa wileńskiego i zerwał obrady. Syn hetmana, Michał, groził bronią wojewodzie kaliskiemu Stanisławowi Małachowskiemu.

Sejm w 1695 r. okazał się ostatnim dla Sobieskiego. Jednak od niego zaczął się upadek możnego rodu. Na wiosnę pojawiła się „Kopia jednego listu posła do sąsiada pisanego…", będąca oskarżeniem Sapiehów. „Kto ośmieli się na Litwie nie posłuchać jej »władców« lub co gorsza wystąpić przeciwko nim na sejmikach, ten rychło ujrzy w dobrach swych chorągwie sapieżyńskie" – pisano, obnażając mechanizmy mafii, wyjaśniając, że hetman przydziela dowództwo nad chorągwiami i regimentami tylko sługom, a jego brat płaci z publicznej kiesy tylko tym, którzy reprezentują interesy domu sapieżyńskiego.

Pismo opisywało gwałty, takie jak ten, kiedy na sejmiku wileńskim „pana Wiłejkę porucznik piechoty sapieżyńskiej uderzył w głowę buzdyganem, że aż kości wybierano. Szlachcica Kosińskiego, kiedy zaprotestował, zakuto w kajdany i wtrącono do więzienia". Gwałty wojska w dobrach kościelnych biskupa zmusiły do ucieczki 5 tys. chłopów, fundacje kościelne poupadały, wiele świątyń pozamykano, bo kler nie miał z czego żyć.

GNIEW SZLACHTY

Po Sejmie Sapiehowie już nie ukrywali, że gotowi są reprezentować tego, kto więcej zapłaci. Poseł francuski otrzymał od nich ofertę przejścia do jego obozu za 400 tys. talarów, chociaż świeżo odebrali 20 tys. od cesarza. Jednocześnie rosła w siłę opozycja na Litwie. Brzostowski wszedł w kontakty z Michałem Kazimierzem Kociełłem, strażnikiem litewskim Ludwikiem Pociejem i kanonikiem wileńskim Hrehorym Ogińskim. Wkrótce dołączyli do nich Radziwiłłowie chcący odebrania należących się im „dóbr neuburskich".

Lont podpalono cztery lata później. W kwietniu 1700 r. na ulicy świętego Jana w Wilnie czeladź Sapiehów napadła przez pomyłkę na orszak Michała Serwacego

eprasa.pl d9a6dd6456

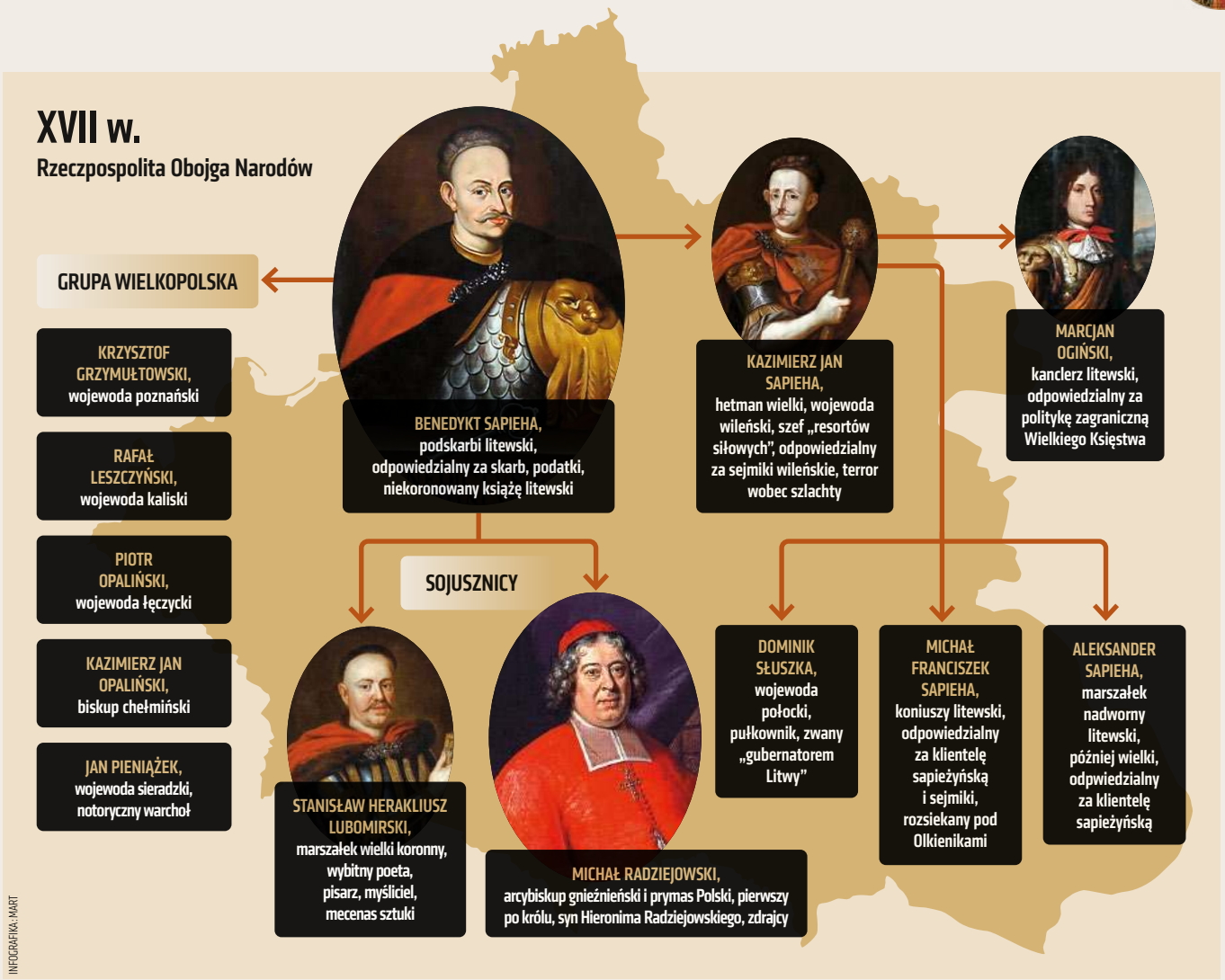

Wiśniowieckiego, biorąc go za klientów Kociełła. Rozjuszeni pachołkowie i dworzanie porąbali księcia, a także jego brata Michała. Wiśniowieccy postanowili wówczas przyłączyć się do pozostałych magnatów.

Do tego doszły przygotowania do wojny ze Szwecją i rozpoczęcie działań wojennych przez króla Augusta II Sasa, który rozkazał hetmanowi przeprowadzić nowe zaciągi wojska, a szlachcie litewskiej – przygotować się do wojny. Wykorzystując królewskie uniwersały, przywódcy opozycji – Michał Kociełł, Ludwik Pociej, Grzegorz Ogiński – zebrali w Olkienikach ponad 10 tys. szlachty i zawiązali konfederację. Hetman Kazimierz Jan zaatakował ich, ale 18 listopada został pokonany w bitwie. Odwrót osłaniał koniuszy Michał Franciszek Sapieha, syn hetmana, który dostał się wraz z wieloma stronnikami ojca do niewoli. Ich los dopełnił się w nocy 19 listopada.

Kiedy szlachta piła po zwycięstwie, ks. Krzysztof Białłozor, kanonik wileński, nienawidzący Sapiehów za śmierć brata Karola, którego dwa lata wcześniej hetman wielki kazał ściąć w Wilnie, i inni przywódcy zaczęli podjudzać panów braci do zabicia jeńców. Rano tłumy rzuciły się na klasztor. Michał Sapieha przeczuwał, co się stanie, więc kiedy ks. Białłozor wpadł do jego celi, ukląkł i poprosił o spowiedź. „Ot, masz absolucją!" – wykrzyknął kanonik i uderzył go w twarz.

Koniuszego rozsiekano, konfederaci podprowadzali do zwłok ludzi podejrzanych o to, że sprzyjali Sapiehom. Jeśli udowodniono im, że tak było, to pijana szlachta roznosiła ich na szablach. Jeśli nieszczęśnicy wypierali się sapieżyńskich sympatii, to musieli na próbę ciąć i rąbać trupa. 24 listopada w miasteczku uchwalono artykuły odbierające Sapiehom urzędy i godności.

Kazimierz Jan Sapieha umknął, jednak potęga rodu została złamana raz na zawsze. Wkrótce znalazł sobie protektora – króla Szwecji Karola XII, który najechał Rzeczpospolitą w 1702 r., jednak pomimo iż należał do stronnictwa szwedzkiego, dawnej władzy już nie odzyskał. Działalność jego i brata zapisała się czarną kartą w naszych dziejach. Sapiehowie zaprzepaścili ostatnie szanse na reformy: elekcję Jakuba Sobieskiego, wyjście z wyniszczającej wojny z Turcją, utrzymanie dużej armii. Na szczęście potomkowie hetmana i podskarbiego nie poszli dalej złą drogą, dając Rzeczypospolitej wielu zacnych ludzi, jak Adama Stanisława i jego syna – kard. Adama Stefana Sapiehę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

Z Piotrem Otrębskim
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Tajemnice warszawskich kościołów

Rozbiórka kościoła św. Klary
FOT. MUZEUM WARSZAWY

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego za najbardziej mityczny kościół Warszawy uchodzi ten usytuowany na wzgórzu pomiędzy Stegnami a Ursynowem?

PIOTR OTRĘBSKI: W przypadku warszawskich kościołów ten przedrostek „naj" zawsze trzeba obwarować pewnymi warunkami. Trudno wskazać jednoznacznie najstarszą świątynię Syreniego Grodu. A z kolei ten najbardziej zmitologizowany? Tu, w miejscu, o którym pan mówi, być może to dwa razy „naj" się spotyka. Najbardziej legendarny, ponieważ uważa się, że stanął w miejscu dawnej pogańskiej gontyny, że – mimo przekształceń architektonicznych – tradycja miejsca trwa od czasów sprzed istnienia miasta. Dodatkowym akcentem, który również fascynuje odkrywców tajemnic, są kwestie związane z wolnomularstwem doby Stanisława Kostki-Potockiego, wielkiego mistrza loży masońskiej, który był właścicielem tych terenów, a na tyłach kościoła parafii św. Katarzyny utworzył park Gucin Gaj.

Najstarsza stołeczna świątynia znajduje się z dala od jej centrum? Może kryć legendarny skarb templariuszy?

I tutaj znowu mierzymy się z kategorią „naj". Zawsze powtarzam, że najstarsza jest archikatedra św. Jana, choć wcale najstarsza nie jest. Ale tradycyjnie – owszem. Pierwszy kościół w granicach tej dawnej, malutkiej Starej Warszawy. Z kolei tarchomiński kościół św. Jakuba Apostoła ulegał na przestrzeni dekad przemianom, chociaż nie na tyle radykalnym, by stracić na rozpoznawalności. Dziś – w sąsiedztwie bloków osiedla Tarchomina – może nieco ów zacny gotyk dziwić. Templariusze byli tam obecni. A jeśli chodzi o ewentualne skarby, to raczej należały do rodu Ossolińskich herbu Topór, właścicieli okolicznych dóbr.

Kościół pw. św. Teresy, od Śródmieścia nieodległy, większego zainteresowania nie wzbudza, mimo ciekawych losów...

Jego przeszłość odkryłem, wertując kroniki parafialne. Byłem zdumiony, że został wybudowany za sukces loteryjny. Niesłychane! Pewien żołnierz zagrał w loterii na tzw. jednodolarówkę i wygrał mnóstwo pieniędzy, z czego część przeznaczył na budowę kościoła. Dzięki tej darowiźnie roboty mogły się rozpocząć. Wkrótce jednak druga wojna przerwała prace budowlane, a w czasie powstania Niemcy w okolicy urządzili po prostu rzeź – kolejną na terenie niszczonego miasta.

Jesienią roku 1939 widok pewnego gmachu sakralnego polskiej stolicy wycisnął łzy z oczu amerykańskiego prezydenta...

Wycisnął albo i nie. To było filmowe wezwanie Juliena Bryana do Franklina Delano Roosevelta: „Panie prezydencie, Warszawa potrzebuje pomocy!". Ale bombardowany przez Niemców drewniany kościółek na Bródnie, jak napisałem, nie wzruszył Roosevelta. Inne, jeszcze bardziej dramatyczne obrazy z oblężonego miasta także nie.

Kościół Świętej Trójcy też zapisał się w dziejach miasta podczas drugiej wojny światowej?

Zaryzykuję hipotezę, że wypracował sobie markę już wcześniej. To tam

eprasa.pl d9a6dd6456

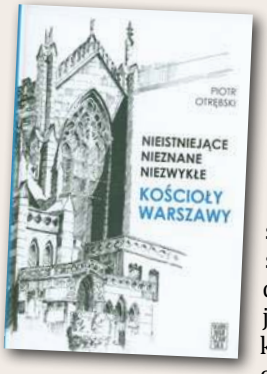

przechowywana jest jedna z cudownych warszawskich figur religijnych – tzw. Jezus wykupiony. To artefakt związany z trynitarzami. Natomiast losy wojenne miał ten przybytek rzeczywiście dramatyczne. Podczas powstania Niemcy zamordowali w pobliżu ks. Józefa Stanka, wieszając go na stule. Wcześniej, w 1942 r., w kościele na Solcu ślub ze swoją wybranką – Barbarą Drapczyńską – zawarł poeta Krzysztof Kamil Baczyński.

Na Koszykach funkcjonowało kilka obiektów znaczonych krzyżem?

Zgadza się. Trzy obiekty, z których do dziś trwa jeden – ten najstarszy, pamiątka po cmentarzu Świętokrzyskim, czyli kaplica św. Barbary. Wcześniej istniał kościół, wysadzony przez Niemców w powietrze w 1944 r., w którego miejscu stoi obecna świątynia. Był jeszcze kolejny, dość imponujący obiekt – kaplica-mauzoleum, której fragmenty dziś można odnaleźć… na Bródnie.

O kościele św. Klary mało kto dziś pamięta…

Z pewnością dlatego, że został rozebrany jeszcze w XIX w. Jednak gdyby dziś stał, na pewno nie umknąłby niczyjej uwadze. Znajdował się bowiem pomiędzy Zamkiem Królewskim a kościołem św. Anny, a w jego historię wpisuje się m.in. edukacja Fryderyka Chopina.

Czemu i kiedy z przestrzeni miejskiej zniknęła świątynia dominikanów?

Zależy, o których dominikanach mówimy. Dziś w Warszawie mamy dwa kościoły dominikańskie – na Nowym Mieście i na Służewie. Ale rzeczywiście dawniej byli w mieście także dominikanie obserwanci. Mieli swój kościół tam, gdzie dziś jest usytuowany Pałac Staszica. Odsyłam koniecznie do książki, bo miejsce jest tak naładowane symboliką i sporem o symbole, że aż kipi. Zaczęło się od kaplicy moskiewskiej, w której pochowano szczątki carów Szujskich, którzy w Warszawie oddawali hołd Zygmuntowi III, królowi Polski. Po kaplicy nastał kościół, a po tym, jak ostatni z dominikanów targnął się na swoje życie, stojąc przed ołtarzem, budynek rozebrano, a w jego miejscu wystawiono świątynię, lecz tym razem nauki polskiej.

Ulica Świętojerska ma rodowód „kościelny"?

Owszem, choć bezpośrednio nazwa ulicy wzięła się raczej od nazwy jurydyki, czyli prywatnego miasta. Ale jurydyka swe imię zawdzięcza kościołowi św. Jerzego. Miejsce owiane złą sławą, bo w pobliżu kościoła grzebano złoczyńców i innych straceńców. Kościół zniknął z panoramy miasta już w XIX stuleciu, choć ostatnie cegły były widoczne jeszcze w latach 60. ubiegłego wieku.

Nie sądziłem, że tak intrygujące dzieje ma dom, w którym podczas nabożeństwa w rycie trydenckim brałem ślub…

Niepozorny kościółek św. Benona przy ulicy Pieszej na Nowym Mieście, który tak łatwo przeoczyć, a przecież w jego egzystencję wmieszał się sam Napoleon. To przykład, jak różne były koleje losów warszawskich świątyń. Tę, po zdjęciu ze szczytu krzyża, przekształcono w… fabrykę. Przez wiele lat produkowano w niej żelastwo, znane i cenione wyroby. Na szczęście krótko przed drugą wojną światową nieruchomość wróciła do Kościoła, by po wojnie odrodzić się jako pełnoprawna świątynia redemptorystów.

O rozbiórce kościółka przy ulicy Stanisława Moniuszki zadecydowało Biuro Odbudowy Stolicy?

Tak, lecz pewnie nie była to decyzja podjęta od razu. Początkowo ten ostaniec po Szpitalu Dzieciątka Jezus został zabezpieczony. Okazało się jednak, że nie ma determinacji, żeby go ocalić. Dziś jego miejsce zajął – moim zdaniem bardzo niefortunnie – szklany, nieco kopnięty, jak to się mówi, biurowiec.

Z czego wynika fakt, że na cmentarzu Bródnowskim stoją dwie świątynie?

Po prostu z parafialnych potrzeb duszpasterskich. Niewielki kościółek drewniany nie był w stanie im sprostać. Przypomnę, że deski, z których złożono ów przybytek religijny, służyły za rusztowanie oplatające w XIX w. kolumnę Zygmunta III Wazy. Rozebrano je, przekazując drewniane elementy na poczet budowy kościoła, istniejącego do dziś. Z kolei cmentarna świątynia murowana jest powojenna, ale jej fragment – mam na myśli portal – pochodzi z mauzoleum, które przed wojną mieściło się na terenie dawnych Koszyków... O czym już wspominałem.

Praska nekropolia znajdowała się wcześniej na Kamionku?

Zamknięto ją w roku 1887, a funkcjonowała przez kilka stuleci. Ostała się w formie szczątkowej – zachowały się nieliczne nagrobki, w tym m.in. generałów Jakuba Jasińskiego i Tadeusza Korsaka, poległych w heroicznej obronie miasta podczas insurekcji kościuszkowskiej. Przetrwała także drewniana dzwonnica sprzed ponad stu lat. W centrum dawnego cmentarza wyrosła świątynia pw. Matki Boskiej Zwycięskiej – wotum za triumf nad bolszewikami w Bitwie Warszawskiej.

Przypomina pan też sakralne gmachy mnichów, choćby bernardynów i karmelitów.

Jeśli przyjrzymy się dziejom stołecznych kościołów, cofniemy się przynajmniej do wieku XVIII, to przekonamy się, że w zasadzie większość z nich należała do zgromadzeń zakonnych, w których sprowadzaniu monarchowie – zarówno królowe, jak i królowie – się prześcigali. W swej wcześniejszej książce pt. „Echa dawnej Warszawy" opisałem historię sprowadzenia do polskiej stolicy wizytek. Ich wielką dobrodziejką była Maria Ludwika Gonzaga. To opowieść z dreszczykiem i angielskimi piratami w tle. Zamieściłem tam też relację na temat sprowadzania przez Jana III Sobieskiego kapucynów. Natomiast w książce „Nieistniejące, nieznane, niezwykłe kościoły Warszawy" wspominam inne zgromadzenia – bernardynki czy karmelitów bosych – również z Krakowskiego Przedmieścia. Możni wykazywali wyjątkowe upodobanie w finansowaniu zakonów, przez co majątki braciszków stawały się olbrzymie, lecz mimo to bywało, że budowa ich kościołów i tak ciągnęła się nierzadko przez długie lata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Otrębski – varsavianista, dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny. Absolwent UW, laureat Nagrody Miasta Stołecznego Warszawy. Autor książek „Echa dawnej Warszawy. Kościoły i kaplice" oraz „Nieistniejące, nieznane, niezwykłe kościoły Warszawy".

eprasa.pl d9a6dd6456

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Ohydne praktyki

Wojna i okupacja to nie tylko nasze straty bezpośrednie i eksterminacja. Obok takich działań było wiele przedsięwzięć podejmowanych przez okupacyjne władze niemieckie, które miały na celu wyniszczenie polskiego narodu, ale bardziej stopniowe. Niemcy starali się być pragmatyczni i tę zasadę wcielali w życie we właściwy im sposób. Było to odbieranie wszelkich rzeczy osobom zatrzymanym i zsyłanym do obozów zagłady i koncentracyjnych, zbieranie owłosienia, wyrywanie złotych zębów itp.

Na wielką skalę osadzano w obozach polskie dzieci, w tym celu utworzyli dla nich nawet specjalistyczny obóz koncentracyjny na wydzielonym terenie z łódzkiego getta (ul. Przemysłowa). Obóz ten funkcjonował od grudnia 1942 r. aż do ucieczki Niemców z Łodzi w styczniu 1945 r.

Oddzielnym zagadnieniem jest porywanie polskich dzieci i przeznaczanie do zniemczenia tych, którym przypisano „aryjski wygląd". To była olbrzymia skala – ok. 200 tys. dzieci, które miały być wychowane w niemieckich rodzinach na „dobrych Niemców". Akcja rozpoczęła się w lutym 1942 r. i trwała prawie do końca wojny. III Rzesza potrzebowała silnego dopływu świeżej nordyckiej krwi, ale zakładano, że wobec stale rosnących strat na frontach młode Niemki nie nadążą z „produkcją" małych „nadludzi". Olbrzymiej większości tych dzieci nie odzyskaliśmy po wojnie. Były to bardzo często sieroty, ponadto Niemcy starannie zacierali ślady ich pochodzenia, niszcząc dokumentację i wystawiając nową, z niemiecką tożsamością ofiar.

Jedną z najmniej znanych zbrodniczych praktyk niemieckich podczas okupacji było porywanie dzieci w celu… pobierania od nich krwi. Mówi o tym np. meldunek Delegatury Rządu:

„Tragicznym objawem wojennym jest fakt, że i zdrowe polskie dziecko […] niepewne jest swego jutra. Tu właśnie wkraczamy w dziedzinę potwornych praktyk wojennych, nieznanych dotąd w dziejach ludzkości. […] giną dzieci w wieku od 10–12 lat […] szczególnie w miastach, w drodze do szkoły czy w przejściu przez ulicę, a także w pociągach i wszelki ślad po nich zanika. […] jest faktem stwierdzonym, że w lazaretach niemieckich używane są zdrowe polskie dzieci dla transfuzji krwi. Nie oddali ich rodzice dobrowolnie – więc skąd tam się wzięły? Nie stosuje się tam do nich specyficznej terapii, która by umożliwiła odzyskanie w organizmie oddanej krwi na rachunek innego życia, ale wykańcza się je fizycznie jako marny, zużyty łachman".

Mimo upływu tylu lat wojna i okupacja kryją jeszcze wiele tajemnic. O nawet tak drastycznych niewiele się dowiemy albo nawet wcale. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pogrom w Pińsku

Zwolennicy teorii o odwiecznym polskim antysemityzmie powinni zastanowić się nad pytaniem, dlaczego to właśnie tereny Rzeczypospolitej były obszarem, na którym przez stulecia osiedlała się ludność żydowska. Nie można jednak ukryć faktu, że gdy odrodzona Polska prowadziła wojnę z niemal wszystkimi sąsiadami, dochodziło do antyżydowskich wystąpień. Swoją rolę odgrywało przekonanie o „żydokomunie" działającej na rzecz bolszewików, co nie do końca było niezgodne z prawdą.

Czasami jednak Żydzi sami prowokowali los, jak 5 kwietnia 1919 r. w Pińsku, gdzie sprawcami masakry było regularne Wojsko Polskie. Miesiąc po odbiciu miasta z rąk bolszewików, gdy obowiązywał zakaz zgromadzeń, do dowodzącego 34. Pułkiem Piechoty mjr. Aleksandra Narbuta-Łuczyńskiego dotarła informacja, że w Domu Ludowym odbywa się zebranie komunistycznej bojówki. Faktycznie, w budynku zgromadziło się kilkudziesięciu starozakonnych, którzy podobno obradowali na temat rozdziału amerykańskiej pomocy. Dla oficera liczył się jednak fakt, że zebrani nie mieli zgody na spotkanie, a do tego odbywało się ono za zamkniętymi drzwiami. Poza tym jego uczestnicy odmówili wpuszczenia żołnierzy na salę, a także rozejścia się. W efekcie zostali aresztowani, a 35 z nich Łuczyński polecił rozstrzelać bez sądu pod katedrą. Rozkaz został wykonany.

Bez wątpienia dokonano zbrodni. Starając się zrozumieć jej motywy, możemy jedynie zauważyć, że trwała wojna i polski dowódca chciał dać odstraszający przykład. Tym bardziej że bolszewicy byli w pobliżu. Do dalszych masakr doszło niebawem w Lidzie i Wilnie, ale Polacy nie byli wyjątkiem, gdyż ludność żydowska cierpiała także od innych wojsk walczących na Kresach. Niezależnie od tego, czy byli to „biali" Rosjanie, Ukraińcy czy bolszewicy – gwałty, rabunki i zbrodnie były na porządku dziennym. Doskonale oddaje to relacja Izaaka Babla, korespondenta wojennego z Konarmii Budionnego.

Jako Żyd zwracał uwagę na cierpienia pobratymców, ale dostrzegał też, że mordowali ich nie tylko Polacy czy „biali" Rosjanie, lecz także jego koledzy. A niektóre opisy do dzisiaj szokują, nawet na tle innych relacji z okrucieństw wojny. „Tuż przed moimi oknami – opisywał Babel wydarzenia z Beresteczka – kilku Kozaków rozstrzeliwało za szpiegostwo starego Żyda ze srebrną brodą. Starzec skowytał i wyrywał się. Wówczas Kudria z plutonu karabinów maszynowych wziął go za głowę i wetknął ją sobie pod pachę. Żyd przycichł i rozkraczył nogi. Kudria prawą ręką wyciągnął kindżał i zarżnął starca ostrożnie, żeby się nie zabryzgać"… ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

FOT. ADOBE STOCK

TRANSPŁCIOWA FURTKA DO POLICJI

Od marca w Hiszpanii nowa ustawa daje prawo prostej zmiany płci w dokumentach – wystarczy, że obywatel złoży taki wniosek w urzędzie. W praktyce wykorzystał to mężczyzna, który z blisko 400 kandydatami walczył o sześć miejsc pracy w policji w mieście Torrelodones. Na sprawdzian wiedzy przyszedł jako mężczyzna, a na testach sprawnościowych wziął do rzutu piłkę lekarską dla kobiet i oświadczył, że złożył wniosek o uznanie go za transseksualną kobietę. Regionalne władze zwróciły się o wyjaśnienie tej sytuacji do ministerstwa równości.

KADYROWA CHWALI KADYROWĄ KADYROWOWI

Marionetkowy prezydent Czeczenii Ramzan Kadyrow oficjalnie spotkał się ze swoją 20-letnią córką Khutmat Kadyrow, którą uczynił w marcu kuratorką służby zdrowia. Na spotkaniu – z którego wyciekło nagranie – córka Kadyrowa zwróciła mu uwagę na znakomite działania fundacji jego imienia, którą prowadzi jego matka. Dodajmy, że inna córka Kadyrowa – Aiszat – jest ministrem kultury, a 23-letnia Khadiżat kieruje departamentem edukacji przedszkolnej w Groznym.

PAN POSEŁ PRZEJECHAŁ DZIECKO

Siergiej Mamontow, poseł Jednej Rosji, w ubiegłym roku zajechał przed budynek w mieście Tatarsk i przejechał sześcioletnie dziecko. Chłopiec został ranny, a polityk sobie odjechał. Sąd umorzył sprawę karną. Prokuratura wniosła jednak o ponowne rozpatrzenie i tym razem sąd uznał, że kara musi być. Deputowanemu wymierzono 10 miesięcy „pracy poprawczej". Mamontow został wyrzucony z partii, zrezygnował z mandatu do Dumy.

PRZYSZŁA MAMA MIAŁA NOSA

Fiore Ciminello z Argentyny, którą na TikToku śledzi 160 tys. osób, zamieściła nagranie po operacji plastycznej. Fanom tłumaczyła: „Przechodzę operację nosa, żeby moje dzieci rodziły się z ładnymi nosami". W sieci Fiorę wyśmiewano na dużą skalę. Tak dużą, że dzięki temu ma jeszcze więcej obserwujących na TikToku.

DZIADEK SPRINTER

Taki przydomek otrzymał 80-letni kierowca, który przez dwa lata wjeżdżał na włoskie autostrady za darmo. Ustawiał się blisko pojazdu, który otwierał szlaban i wciskał gaz do dechy. Okazał się pensjonariuszem domu spokojnej starości w Fiuggi. Twierdził, że jeździł autostradą, bo w pensjonacie mu się nudziło. „Pan rozumie, to są starzy ludzie" – tłumaczył śledczemu. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Unia skradzionego czasu

Niby wiadomo, że do polityki nie idą tylko ciężko pracujące orły, ale człowiek ma czasem nadzieję, że między wymyślaniem kolejnych niepotrzebnych lub szkolidwych regulacji a zabijaniem czasu na kolejnych imprezach, konferencjach, rautach czy szczytach wybrankowie narodów chociaż raz na jakiś czas zrobią coś naprawdę pożytecznego.

Tak już prawie się stało z odejściem od zmiany czasu. Od wielu lat specjaliści ostrzegają, że konsekwencje zdrowotne majstrowania przy zegarkach mogą być odczuwane przez wiele tygodni. I nie chodzi tylko o nadmierną senność, osłabienie koncentracji uwagi czy zwiększone dolegliwości bólowe. Według badaczy w pierwszym miesiącu po zmianie czasu znacznie rośnie liczba zawałów oraz udarów mózgu (zwłaszcza po zmianie czasu z zimowego na letni).

Unia Europejska zapytała więc mieszkańców Starego Kontynentu, czy nadal chcą zmieniać czas. Odpowiedź była wyjątkowo zgodna: aż 84 proc. respondentów z 28 państw biorących udział w największych w historii Unii konsultacjach publicznych stwierdziło, że nie chce przestawiać zegarków! Wśród Polaków odsetek przeciwników zmiany czasu wynosi w zależności od sondażu ponad 70 proc. I co? Rozpoczęły się debaty i konsultacje.

Parlament Europejski planował co prawda, że w 2021 r. każdy kraj będzie mógł zdecydować, który czas – letni czy zimowy – wybiera. Zmiana czasu przerosła jednak UE i rządy krajowe. Nie wiadomo więc, czy kiedykolwiek przestaniemy przestawiać zegarki. A nawet jeśli, to nie stanie się to przed 2026 r., bo do tego czasu KE zaleciła krajom członkowskim kontynuowanie obecnych zasad zmiany czasu...

eprasa.pl d9a6dd6456

Z prof. Michałem Lubiną, politologiem, podróżnikiem, badaczem stosunków międzynarodowych, specjalistą w problematyce stosunków rosyjsko-chińskich
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Niedźwiedź w objęciach smoka

eprasa.pl d9a6dd6456

Rosja w przeszłości bywała silniejsza od Chin, ale według Pekinu to też była anomalia. Obecnie wszystko „wróciło do normy" FOT. KREMLIN.RU

TOMASZ D. KOLANEK: „Niedźwiedź w objęciach smoka. Jak Rosja została młodszym bratem Chin" – tak brzmi tytuł pana ostatniej książki, która ukazała się nakładem wydawnictwa Szczeliny. Zapytam przekornie: Dlaczego to Chiny nie są „młodszym bratem" Rosji? Przecież Moskwa ma większy potencjał militarny, rakietowy, nuklearny i surowcowy niż Chiny...

PROF. MICHAŁ LUBINA: Ale Chiny są bogatsze...

Bez rosyjskich surowców nadal byłyby bogate?

Ależ oczywiście, że tak!

Swego czasu pan Piotr Plebaniak, mieszkający na Tajwanie autor książek na temat Chin, został zapytany: „Kiedy Chiny zaatakują Tajwan?". Odpowiedział: „Kiedy uzyskają niezależność energetyczną, czyli nigdy".

Zgadzam się, choć może nie nigdy, to na pewno nie w najbliższym czasie. Jeśli zaś chodzi o gospodarkę, to Rosja jest biedniejsza od Chin od dobrych 20 lat. Proszę zwrócić uwagę: zanim na poważnie zaczęła się współpraca surowcowa między Moskwą a Pekinem, czyli w roku 2008, Chiny już były bogatsze od Rosji!

Surowce z Rosji niewątpliwie są istotne dla Chin z jednego prostego powodu – są przesyłane drogą lądową, więc np. Amerykanie nie mogą zablokować ich przesyłu. Mogą tak zrobić chociażby w przypadku ropy z Arabii Saudyjskiej czy gazu z Kataru, które są transportowane statkami, ale surowców przesyłanych z Rosji do Chin nie są w stanie zablokować. Jest to więc niezwykle ważne, ale nie do zastąpienia.

Chiny, jeśli chodzi o gaz ziemny, nie wiszą jedynie na Rosji, ponieważ sprowadzają ten surowiec również po lądzie z Turkmenistanu czy z Birmy. Ropę mają także własną. Oczywiście taniej sprowadzać surowce z Rosji, ale dla Chin nie jest to jakiś absolutny przymus. Powiem więcej: to raczej Chiny trzymają tutaj Rosję, a nie Rosja Chiny, szczególnie teraz, kiedy Moskwa w związku ze swoim atakiem na Ukrainę musi sprzedawać swoje surowce Azjatom, którzy płacą mniej niż Europejczycy, a targują się nie gorzej.

Nie tylko gospodarka powoduje, że to Rosja jest „młodszym bratem" Chin. Globalnie Chiny po prostu są ważniejsze. Udało się im w krótkim czasie zostać drugim mocarstwem świata i państwem, które było w stanie związać ze sobą mnóstwo różnych i odległych obszarów świata. Jeśli bowiem mówimy o Chinach, to od razu nasuwają nam się na myśl Afryka, Ameryka Południowa, o Azji nie wspominając, bo to jest oczywiste.

Jeśli zaś spojrzymy na mapę powiązań gospodarczo-politycznych Rosji, to widzimy, że jest dużo skromniej. Jest część krajów postsowieckich, jest kilka krajów Bliskiego Wschodu i tyle... To powoduje, że globalnie Rosja jest mocarstwem drugoligowym, a Chiny pierwszoligowym.

Oczywiście są elementy, w których Rosja jest silniejsza od Chin, jak np. przywołany potencjał militarny czy liczba głowic nuklearnych, ale generalnie nie powoduje to, że jednak to Moskwa jest ważniejsza.

I ostatnia – według jednych najważniejsza, a według innych najmniej istotna kwestia – z chińskiego punktu widzenia mówienie o tym, że Rosja jest „starszym bratem" Chin, to absurd do kwadratu. Dla Chin Rosja jest młodziutka, bo ma 800 lat. No, niech będzie nawet 1200, jeśli policzymy czas od Rusi Kijowskiej. Co to w ogóle jest w porównaniu z Chinami? Śmiech na sali! Z perspektywy Chin nikt nie może być im równy! Mogą być jakieś anomalie, jak trwająca od pewnego czasu na świecie dominacja USA, ale jest to ANOMALIA, która w końcu minie i wszystko wróci na właściwe tory, czyli Chiny znowu będą najważniejsze.

Rosja w przeszłości bywała silniejsza od Chin, ale według Pekinu to też była anomalia. Obecnie wszystko „wróciło do normy", anomalia się skończyła i Chiny są silniejsze zarówno z własnej perspektywy, jak i ogólnoświatowej.

W roku 2022 Chiny i Rosja głosiły bezgraniczne partnerstwo strategiczne „twarde jak skała i odporne na każdą pogodę". Partnerstwo między tymi krajami jest faktem czy kolejnym mitem? A może nie jest to partnerstwo bezgraniczne, tylko z odpowiednią dozą nieufności?

Najkrócej mówiąc: nawet bezgraniczne partnerstwo ma swoje granice. Tak naprawdę mówienie o współpracy „twardej jak skała..." to tylko retoryka. Oba kraje są akurat pod tym względem bardzo podobne mimo całkiem różnych tradycji kulturowych. W Chinach np. jest tradycja nadmiernego komplementowania. To nic nie kosztuje, a generalnie pozwala

eprasa.pl d9a6dd6456

zdobywać polityczno-biznesowych przyjaciół i partnerów, więc Chińczycy robią to aż do przesady.

Zarówno Moskwa, jak i Pekin mimo całej nieufności i wszystkich napięć grają w tę grę o bezgranicznym partnerstwie, bo liczą na to, że świat, przepraszam za wyrażenie, „łyknie to". Najbardziej w tym wszystkim dziwi mnie to, że świat „to łyka".

Krótka piłka: mnóstwo ludzi ciągle powtarza, że Putin przyjechał przed zimowymi igrzyskami olimpijskimi w 2022 r. do Pekinu. Tam podpisał „przełomowe oświadczenie" z Xi Jinpingiem o relacjach bezgranicznych. Po pierwsze, samo stwierdzenie, że między Chinami a Rosją są „bezgraniczne relacje", jest o rok starsze, ponieważ w roku 2021 padło ono z ust szefa chińskiego MSZ Wanga Yi. Po drugie, tego typu „bombastyczne oświadczenia" Rosja i Chiny produkują od 1992 r.! Od 30 lat Rosja i Chiny wypuszczają takie oświadczenia, a mimo to za każdym razem, kiedy to robią, politycy i media na Zachodzie mówią o przełomie.

Wychodzi więc, że to po prostu działa. A skoro działa, to dlaczego Rosjanie i Chińczycy mają w to nie grać? Moim zdaniem prowadzą tę grę bardzo dobrze. Umiejętność pokazywania ich relacji, które są „tylko" dobre, jako doskonałych, niezniszczalnych i nieskończonych jest świetną szkołą propagandową.

Co w związku z tym ma pokazać światu wizyta Xi Jinpinga w Moskwie, zwłaszcza w perspektywie amerykańskich doniesień, że Chiny dozbrajają Rosję w wojnie na Ukrainie?

Pozwolę sobie zacząć od szczegółu. W najnowszej deklaracji po szczycie Putin-Xi, który miał miejsce w dniach 20–22 marca, nie znalazło się już zdanie o „bezgranicznej współpracy".

Jeśli zaś chodzi o samą wizytę, to była ona przede wszystkim wsparciem dla Putina, który jest osłabiony tym, że Rosja nie wygrywa wojny na Ukrainie. Jadąc do Moskwy, Xi Jinping wyraźnie go wsparł.

Druga sprawa: Chiny odmawiają gry zachodnimi kartami. Te wszystkie narracje o broni wysyłanej do Rosji czy o innych metodach wsparcia są narracjami zachodnimi. Tą wizytą Chiny wysłały wyraźny sygnał do Zachodu: „Jesteśmy mocarstwem, będziemy jeździć, gdzie chcemy, i nikt nam nie będzie mówił, co możemy robić, a czego nie". Proszę zwrócić uwagę, że wizyta Xi Jinpinga w Moskwie nastąpiła kilka dni po tym, jak Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wydał list gończy za Putinem. Przewodniczący KPCh dał więc jasny sygnał: „Zachód może sobie wysyłać listy gończe. Chiny mają swoich partnerów i będą z nimi rozmawiać, robić interesy etc.".

Chinom niewątpliwie zależy na tym, żeby wojnę na Ukrainie przedstawić jako „wojnę zachodnią", jako wojnę, która jest niekorzystna dla reszty świata, ponieważ wzmacnia ona globalne przywództwo Zachodu, a to się nie podoba w wielu miejscach na świecie.

W pewnym sensie wizyta Xi w Moskwie to również odwracanie negatywnych konsekwencji tej wojny dla Chin. Skoro bowiem wojna na Ukrainie wzmacnia Zachód, a konkretnie Stany Zjednoczone, to tym bardziej trzeba ją przedstawiać reszcie świata jako coś złego.

Chiny zrobiły wprawdzie z Rosji swoją bazę surowcową, ale Rosja nie jest jedyną taką bazą

To są dwie najważniejsze kwestie wizyty Xi w Moskwie. Bez wątpienia wsparcie dla Putina, a co za tym idzie, scementowanie prochińskiej postawy rosyjskiego przywództwa, na które nomem omen Putin jest skazany, jest kluczowe. To wsparcie dla Putina jest naprawdę ważne z punktu widzenia Kremla, ponieważ wzmacnia go wewnętrznie, bo: w Rosji, w Chinach i wielu innych autorytarnych państwach ostatnie dwa wydarzenia zostały odczytane w określony sposób – jako zachodnia gra na obalenie Putina. Chodzi o Oscara dla filmu dokumentalnego „Nawalny" oraz wywołany już list gończy MTK za Putinem. Dla wielu był to jasny sygnał dla otoczenia Putina, aby ten w końcu został odsunięty, a jego następca zasiadł do rozmów z Zachodem. Tak również odczytano to w Rosji i w Chinach – jako próbę podkopania Putina. No i w tym momencie przyjeżdża Xi i daje sygnał otoczeniu Putina: „Nie ważcie się robić żadnych głupot, bo za Putinem stoję ja – współczesny cesarz".

Z kolei co do broni, którą Chiny mają wysyłać do Moskwy, to powiem wprost: to jest zachodnia narracja, która ma przestrzec Chiny przed takim działaniem. Moim zdaniem obecnie jesteśmy na etapie co najmniej kilku kroków przed ewentualnymi dostawami broni z Chin do Rosji, ponieważ jakby to Chiny nawet zrobiły, co nie jest niemożliwe, ale jest mało prawdopodobne, to nie zrobią tego otwarcie! Chińska broń nie pojedzie do Rosji przez Władywostok, tak jak amerykańska jedzie na Ukrainę przez Rzeszów. Takie działanie nie jest w chińskim stylu. Obecnie informacje o chińskiej broni, systemach radiowych czy dronach mówią właśnie o takim wsparciu, przez firmy prywatne i państwa trzecie. Jednak skala tego wsparcia nie jest duża.

Jeśli Chiny chciałyby poważnie dozbroić Rosję, to puszczą broń przez Koreę Północną albo przez Iran, albo przez Kazachstan, chociaż to akurat wymagałoby trochę wysiłku z ich strony. Jeśli Chiny będą chciały, to znajdą sposób, ale na pewno nie zrobią tego otwarcie, na pewno nie zrobią tego przez własną granicę. To jednak jeszcze nie ten etap. Żeby do tego doszło, musiałyby mieć miejsce jakieś dramatyczne wydarzenia czy to na wojnie, czy to w samej Rosji.

Powtórzę: w mojej ocenie informacje o możliwym istotnym dozbrojeniu przez Chiny Rosji to wrzutka medialna, która ma określony cel w wojnie informacyjnej.

Czy Chiny będą prawdziwym zwycięzcą wojny na Ukrainie?

Nie wydaje mi się. Moim zdaniem Chiny raczej są przegranym tej wojny. Konwencjonalna narracja, że Chiny są zwycięzcą wojny na Ukrainie, jest taka, że zyskały na tym gospodarczo, wyciągając od Rosji kolejne surowce. Jest to oczywiście prawda, ale generalnie to, co Chiny wyciągnęły, starczy na tzw. waciki. Owszem – kupili więcej ropy w dobrej cenie, więcej gazu w dobrej cenie, więcej węgla w dobrej cenie, tak że, co zyskali, to ich.

Natomiast użyteczność Rosji dla Chin nie jest przede wszystkim

eprasa.pl d9a6dd6456

użytecznością gospodarczą, ale w pierwszej kolejności użytecznością polityczną czy też – ściślej – strategiczną i z tej perspektywy to, co się dzieje na Ukrainie, jest porażką polityczną. Tej porażki nie rekompensują zyski gospodarcze. Chiny zrobiły wprawdzie z Rosji swoją bazę surowcową, ale Rosja nie jest jedyną taką bazą. Chiny mają Birmę i Turkmenistan oraz kilka, jeśli nie kilkanaście innych obszarów, które mogą być ich bazą surowcową. Do tego Rosja nie jest aż tak niezbędna. Oczywiście jest wygodniejsza, bo raz, że taniej; dwa, że bliżej. Podkreślam jednak: to nie jest najważniejsza użyteczność Rosji. Najważniejszą użytecznością Rosji jest użyteczność polityczna, ponieważ Rosja jest swego rodzaju lodołamaczem, jest chińskim wspólnikiem zbrodni, ponieważ razem podważają porządek amerykański, który mamy na świecie.

Gdyby Rosji udało się wygrać w wojnie na Ukrainie, to może w ogóle nie byłoby już postzimnowojennego porządku międzynarodowego, co byłoby idealne dla Chin. Pekin chciałby bowiem maksymalnie osłabić Stany Zjednoczone. Jak USA zamkną się w sobie, to będzie więcej miejsca dla Chin i wówczas całkowicie będą mogły one zdominować Azję.

Wojna jednak trwa. Rosja w niej oberwała po głowie. Rosja, a nie Chiny! Lodołamacz został zatrzymany, ale przynajmniej udało się przetestować reakcję świata.

Jednocześnie Chiny są zbyt ważne dla świata zachodniego, żeby się z nimi rozprawić, tak jak Zachód próbuje rozprawić się z Rosją. Widzimy, że Zachodowi rozprawa z Rosją przychodzi z trudem, ale jednak coś się dzieje w tej sprawie. Proszę sobie teraz wyobrazić, że świat Zachodu rozprawia się z Chinami. To byłby koniec globalizacji. Na razie się nie da, mało kto tego chce, mało kto ma na to siły. W efekcie Chiny udają, że w wojnie na Ukrainie są neutralne, a świat udaje, że im wierzy, i wszyscy są zadowoleni.

Niedługo Chiny zrobią z siebie gołąbka pokoju. Już teraz słyszymy, że to koniec polityki „zero COVID", że Pekin chce znowu handlować i robić biznesy, i generalnie wszyscy są zachwyceni. Zachód zarobił bowiem mnóstwo pieniędzy przez ostatnich 30 lat na Chinach, więc będzie chciał zarobić jeszcze więcej. Z tej perspektywy Chiny się wywiną z wojny na Ukrainie. Ten konflikt jest porażką ich quasi-sojusznika i oddala cele strategiczne Chin, przez co Chiny również są przegranym i żadne surowce nie osłodzą tej przegranej. Z drugiej jednak strony Chiny wywiną się na tyle, na ile mogą. Świat ma bowiem za dużo do stracenia. Widzimy, co się dzieje na Zachodzie wraz z nakładaniem kolejnych sankcji na Rosję. Widzimy, z jakimi bólami to wszystko następuje. Widzimy, jak wiele jest różnych grup, którym to nie pasuje i które chciałyby powrotu do sytuacji sprzed wojny. Proszę teraz sobie wyobrazić, że takie same sankcje świat nakłada na Chiny. To jest coś niewyobrażalnego. Koniec globalizacji, koniec świata, który znamy, i – proszę mi wierzyć – nikt nie ma na to siły ani ochoty. Tak więc lepiej udawać, że się wierzy, że Chiny są neutralne, że chcą pokoju, że chcą robić biznesy, bo to opłaca się wszystkim.

Chiny są zbyt ważne dla świata zachodniego, żeby się z nimi rozprawić, tak jak Zachód próbuje rozprawić się z Rosją

To Moskwa czy Pekin rozpuszcza plotki o masowym wykupywaniu ziemi i lasów na Syberii przez Chińczyków?

Na pewno nie Chińczycy. Z ich perspektywy byłoby to bez sensu. Powiem szczerze: mam wrażenie, że te plotki tworzą się same, co nie jest niczym nadzwyczajnym w naszym świecie. Mit chińskiej kolonizacji Syberii ma swoją długą tradycję. W sensie formalnym jest to rosyjski mit. Jak jednak z wieloma mitami bywa, zaczął on żyć własnym życiem, przez co wciąż jest obecny zarówno w Rosji, jak i na świecie.

Teoretycznie mit ten odpowiada zdrowemu rozsądkowi, że jest dużo Chińczyków i mało Rosjan, w związku z czym Chińczycy na pewno skolonizują Syberię. Wydaje się to logiczne, ale problem polega na tym, że Chińczycy nie chcą tam iść – to po pierwsze. A po drugie, wcale nie jest ich tak dużo, a w ostatnich latach zaczęło ich ubywać, demografia już im nie sprzyja.

Z pewnością również mit, o który pan pyta, jest wzmacniany przez obawy Rosjan dalekowschodnich, którzy mają poczucie, że żyją na ziemiach zagrabionych.

Przypomnę: pierwotnie obszary te należały do imperium Qing, czyli mandżursko-chińskiego. Rosjan jest mało i Rosja nie jest tak silna jak kiedyś, a co za tym idzie – różnie może być w przyszłości. Na takich lękach rodzi się mnóstwo mitów. Najgorsze jest jednak to, że tego typu lęki, i jest to przestroga dla wszystkich, są zabójcze gospodarczo dla tego typu obszarów. W przypadku Syberii tylko Chińczycy mogliby to jakoś rozwinąć, więc na logikę Rosjanie powinni chcieć dzierżawy ziemi przez Chińczyków, rozwoju różnych działań etc., ale się boją. To jest taka trochę kwadratura koła: Rosjanie na Syberii są biedni i nie mają pomysłu na rozwój. Chiny może by ten pomysł miały, ale nie zrealizują go, bo Rosjanie się ich boją. I tak to się kręci.

Dla mnie symbolem tej sprawy jest droga z Władywostoku do Pogranicznego – głównego przejścia granicznego na Dalekim Wschodzie. Kiedy byłem tam w roku 2006, to nie było nawet pół odcinka, który byłby równy i bez większej dziury. Jak przyjechałem tam w roku 2019, czyli 13 lat później, było jeszcze gorzej. A po chińskiej stronie niesamowity skok: szybkie koleje, piękne miasta, eleganckie drogi. Po prostu niebo a ziemia, czerń a biel. Trzynaście lat – nieprawdopodobny rozwój w Chinach, a w Rosji, jak były dziury w drogach, tak jest ich jeszcze więcej. Ale cóż: skoro Rosjanie na Syberii wybrali lęki, to je mają. Nie mają za to ani Chińczyków, bo ci nie przyjechali, ani pieniędzy, bo tych Chińczycy nie przywieźli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr hab. Michał Lubina
– ekspert ds. stosunków międzynarodowych, politolog, podróżnik, specjalista w problematyce stosunków rosyjsko-chińskich.

eprasa.pl d9a6dd6456

Figury hiszpańskiego oficera w służbie rosyjskiej José de Ribasa, flamandzkiego inżyniera budującego fortyfikacje w carskiej Rosji François Sainte de Wollanta, rosyjskiego feldmarszałka Grigorija Potiomkina oraz faworyta Katarzyny II Płatona Zubowa pochodzące ze zdemontowanego w nocy pomnika Założyciele Odessy, zwanego powszechnie pomnikiem Katarzyny II

FOT. ALENA SOLOMONOVA/PAP

Derusyfikacja Ukrainy

Maciej Pieczyński

Moskwa na własne życzenie traci kulturowe wpływy nad Dnieprem. Inwazja rosyjska tylko przyspieszyła proces derusyfikacji i wzmocniła ukraińską tożsamość narodową

Po wybuchu pełnowymiarowej wojny w wielu ukraińskich miastach rozpoczął się proces żywiołowej derusyfikacji przestrzeni publicznej. Przez cały 2022 r. na Ukrainie zmieniono 7652 nazwy miejscowe. Wieś Suworowe (nazwana na cześć rosyjskiego marszałka, odpowiedzialnego m.in. za rzeź Pragi podczas powstania kościuszkowskiego) stała się wsią Besarabskie. Moskiewskie w obwodzie donieckim zmieniło nazwę na Stepowe. Miasto Watutine (poświęcone pamięci sowieckiego generała z czasów drugiej wojny światowej) zmieniło nazwę na Bahaczewe. Do sierpnia w samym tylko Kijowie radni miejscy postanowili zmienić nazwy prawie 100, a w Odessie – 200 ulic i placów. Z planu miasta Izium po wyzwoleniu spod okupacji zniknęły nazwiska wybitnych pisarzy rosyjskich: Michaiła Łomonosowa, Iwana Turgieniewa, Maksyma Gorkiego czy Siergieja Jesienina. Zderusyfikowano nawet ulicę Putijną. Nie dlatego, że „put" to droga po rosyjsku, ale z powodu podobieństwa do nazwiska prezydenta Rosji. Wśród nowych patronów ulic znaleźli się bohaterowie współczesnej Ukrainy. W tym kijowski aktywista Roman Ratuszny, który poległ w walkach pod Iziumem, czy też słynny pułk „Azow".

Niestety, beneficjentami derusyfikacji w przestrzeni publicznej bywają również zbrodniarze z OUN i UPA. Zastępca mera Iziumu Wołodymyr Macokin z dumą oznajmił mediom, że najprawdopodobniej pierwsza na wschodzie Ukrainy ulica Stepana Bandery pojawi się właśnie w tym mieście. Przywódca OUN zastąpił Aleksandra Puszkina. W rozmowie z ukraińską redakcją portalu Deutsche Welle Macokin argumentował: „Może i Puszkin jest autorem ciekawych dzieł literackich. Ale my nie możemy dalej żyć w jednej kulturowej i toponimicznej przestrzeni z krajem, którego celem jest zniszczenie naszego kraju". Wybitny pisarz rosyjski, przyjaciel Mickiewicza, ustąpił miejsca ukraińskiemu zbrodniarzowi. Z drugiej strony, Puszkin był też bezwzględnym propagandystą rosyjskiego imperializmu i polonofobem. Zamiana autora poetyckiej „trylogii antypolskiej" na Banderę to więc z polskiego punktu widzenia zamiana „złego Rosjanina" na „złego Ukraińca".

To swoją drogą też zamiana symboliczna. Puszkin wręcz personifikuje kulturę rosyjską – wybitną i agresywną zarazem, do niedawna bardzo na Ukrainie wpływową. Znamienne, że w Czerniowcach jego popiersie, w ramach derusyfikacji, przeniesiono do magazynu, w którym przechowywany jest obalony już wcześniej pomnik Stalina. Poza Puszkinem z ulic znikają też inni wielcy pisarze, w tym Dostojewski czy Bułhakow. Bandera z kolei jest nad Dnieprem traktowany jako propagandowe narzędzie do walki z Rosją. Po 24 lutego 2022 r. jego popularność rośnie również na tradycyjnie rosyjskojęzycznym wschodzie i południu kraju. Niestety, w dużej mierze kulturową alternatywą dla rosyjskiej czy sowieckiej symboliki staje się symbolika związana z OUN i UPA. W Dnieprze pojawiła się ulica Bandery. W Kijowie – Bohaterów UPA. Na tym tle anomalią

eprasa.pl d9a6dd6456

jest przypadek wsi Tywriw w obwodzie winnickim, gdzie radni, w odpowiedzi na apele mieszkańców, postanowili zmienić ulicę Bandery.

NA DUŻĄ SKALĘ

Większość nowych nazw ma jednak charakter neutralny. W Odessie na miejsce ulic: Watutina, Dekabrystów (rewolucjonistów szlacheckich, którzy w 1825 r. próbowali obalić cara), Kosmodemiańskiej (Zoja Kosmodemiańska – czerwonoarmistka, zamordowana w niewoli niemieckiej w czasie drugiej wojny światowej) pojawiły się ulice: Uniwersytecka, Kalinowa, hetmana Petra Doroszenki. W Dnieprze, obok Bandery, uhonorowano m.in. poległego na wojnie w Donbasie śpiewaka operowego Wasyla Slipaka czy amerykańskiego kosmonautę Neila Armstronga. Z ukraińskich miast znikają nie tylko nazwiska rosyjskich i sowieckich polityków, dowódców wojskowych czy działaczy kultury, lecz także nazwy związane z geografią kraju agresora. Derusyfikacji podlegają ulice takie jak: Aleucka, Wyborska, Woroneska, Newska, Nowomoskiewska, Twerska, Chołmogorska, Orenburska, Bajkalska.

Czasem zapał pogromców kultury wroga bywa przesadny. W Kijowie zaproponowano przemianowanie ulicy Metalowców. Mogła kojarzyć się z sowiecką industrializacją. W rzeczywistości nie miała nic wspólnego ani z ZSRS, ani z Rosją. Nadana została na cześć robotników pracujących w okolicznej fabryce. Pospieszna walka z rosyjską toponimią, dokonywana samodzielnie przez władze samorządowe, czasem obnaża niekompetencję jej inicjatorów. W Iwano-Frankowsku pojawił się pomysł derusyfikacji ulicy Andrieja Sacharowa. Ten laureat Pokojowej Nagrody Nobla, jak mało który rosyjski dysydent w czasach ZSRS, występował również w obronie Ukraińców, domagając się wypuszczenia z łagrów ukraińskich działaczy. Ostatecznie władze lokalne, po proteście ukraińskich dysydentów, zostawiły Sacharowa w spokoju.

ZACZĘŁO SIĘ OD MAJDANU

Pierwszym aktem emancypacji spod sowiecko-rosyjskich wpływów kulturowych była oddolna akcja niszczenia pomników Lenina na fali Euromajdanu. W 2015 r. uchwalono pakiet ustaw dekomunizacyjnych. Stopniowo walka ze spuścizną ZSRS przechodziła w derusyfikację. W 2019 r. Rada Najwyższa uchwaliła ustawę, wzmacniającą pozycję języka ukraińskiego w przestrzeni publicznej i ograniczającą wpływy języka rosyjskiego. Po 24 lutego derusyfikacja w naturalny sposób przyspieszyła. W Kijowie i Perejasławiu zdemontowano monumenty, upamiętniające ugodę perejasławską, na mocy której Kozacy pod wodzą Chmielnickiego uznali zwierzchność cara. W Odessie zlikwidowano pomniki Katarzyny II i Suworowa. Zanim caryca zniknęła z cokołu, na głowę założono jej kaptur kata, a do ręki przywiązano sznur z szubienicy. W ramach derusyfikacji Kijów walczy też z Cerkwią Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego. Rozwiązał z nią umowę nieodpłatnego użytkowania Ławry Kijowsko-Peczerskiej, wyrzucając de facto mnichów z zabytkowego klasztoru. Ławra została przekazana autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej Ukrainy. W poszczególnych miastach – m.in. w Kijowie czy Mikołajowie – język rosyjski wycofano ze szkół. Zarówno jako osobny przedmiot, jak i jako język wykładowy. Akademia Kijowsko-Mohylańska zabroniła wykładowcom i studentom posługiwania się językiem rosyjskim na terenie uczelni. Tę decyzję pochwalił pełnomocnik rządu ds. obrony języka urzędowego Taras Kremin, który jest generalnie zwolennikiem daleko idącej derusyfikacji. Jego zdaniem nie powinno się mówić o „rosyjskojęzycznych Ukraińcach", bo to określenie używane przez kremlowską propagandę. Narracja o Ukrainie podzielonej na regiony posługujące się różnymi językami to w jego ocenie narzędzie Moskwy, służące do pogłębiania podziałów wewnętrznych nad Dnieprem.

Derusyfikacja po 24 lutego początkowo była dziełem lokalnych samorządów, przy poparciu mieszkańców, wyrażanym głównie za pośrednictwem mediów społecznościowych. Po kilku miesiącach sprawy w swoje ręce wzięło ministerstwo kultury i polityki informacyjnej. Przy resorcie powstała rada ekspertów ds. dekomunizacji i derusyfikacji, która nie tyle narzuca, ile rekomenduje konkretne rozwiązania. Jej przedstawiciele na każdym kroku podkreślają, że nie chcą działać „jak bolszewicy", a oczyszczanie przestrzeni publicznej z symboli okupanta powinno odbywać się na cywilizowanych zasadach. Niedawno Rada Najwyższa znowelizowała ustawę o nazwach geograficznych. Derusyfikacja toponimów stała się tym samym obowiązkowa.

NA POŁUDNIU I NA WSCHODZIE

Zamiast nazw rosyjskich pojawiają się nie tylko ukraińskie. W Kijowie uhonorowano urodzoną tam izraelską polityk Goldę Meir czy pochodzącego z Odessy działacza syjonistycznego Władimira Żabotyńskiego. W położonych przy granicy z Rumunią Czerniowcach jednej z ulic nadano imię rumuńskiego folklorysty Iona Sbiery. Rada przy ministerstwie kultury rekomenduje też powrót do nazw historycznych. Jeden z ekspertów proponował, by nadazowski Primorsk znów stał się Nogajskiem (nazwa związana z Nogajami – zamieszkującym te tereny ludem, spokrewnionym z Tatarami krymskimi). Obecna nazwa jest neutralna, ale została nadana przez władze sowieckie. Gdyby taki był kierunek zmian, na mapę Ukrainy mógłby wrócić Stanisławów. Szczególnie że nazwy tej (w zukrainizowanym wariancie Stanisławiw) używała nawet administracja walczącej z Polską o Galicję Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Jednak, choć Stanisławów stał się Iwano-Frankowskiem na mocy decyzji władz sowieckich, nazwa ta nadana została na cześć wybitnego poety ukraińskiego (socjalisty, a także patrioty). Ponadto na „banderowskim" zachodzie kraju, pomimo całej, autentycznej sympatii do Polski, derusyfikacja niekoniecznie musi oznaczać polonizację.

Ulice nadawane są również na cześć bohaterów obecnej wojny. Tych jednak z każdym dniem przybywa. Pospieszna derusyfikacja przed zakończeniem konfliktu może sprawić, że zabraknie dla nich miejsca. Większość dawnych sowieckich i rosyjskich nazw będzie bowiem już zajęta. Rosyjskojęzyczne południe i wschód kraju nie tylko nie przywitały agresora z kwiatami, lecz także coraz bardziej ulegają ukrainizacji. Przed 2022 r. 66 proc. Ukraińców „cały czas lub często" mówiło w swoim języku ojczystym. Po agresji ten odsetek wzrósł do 83 proc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

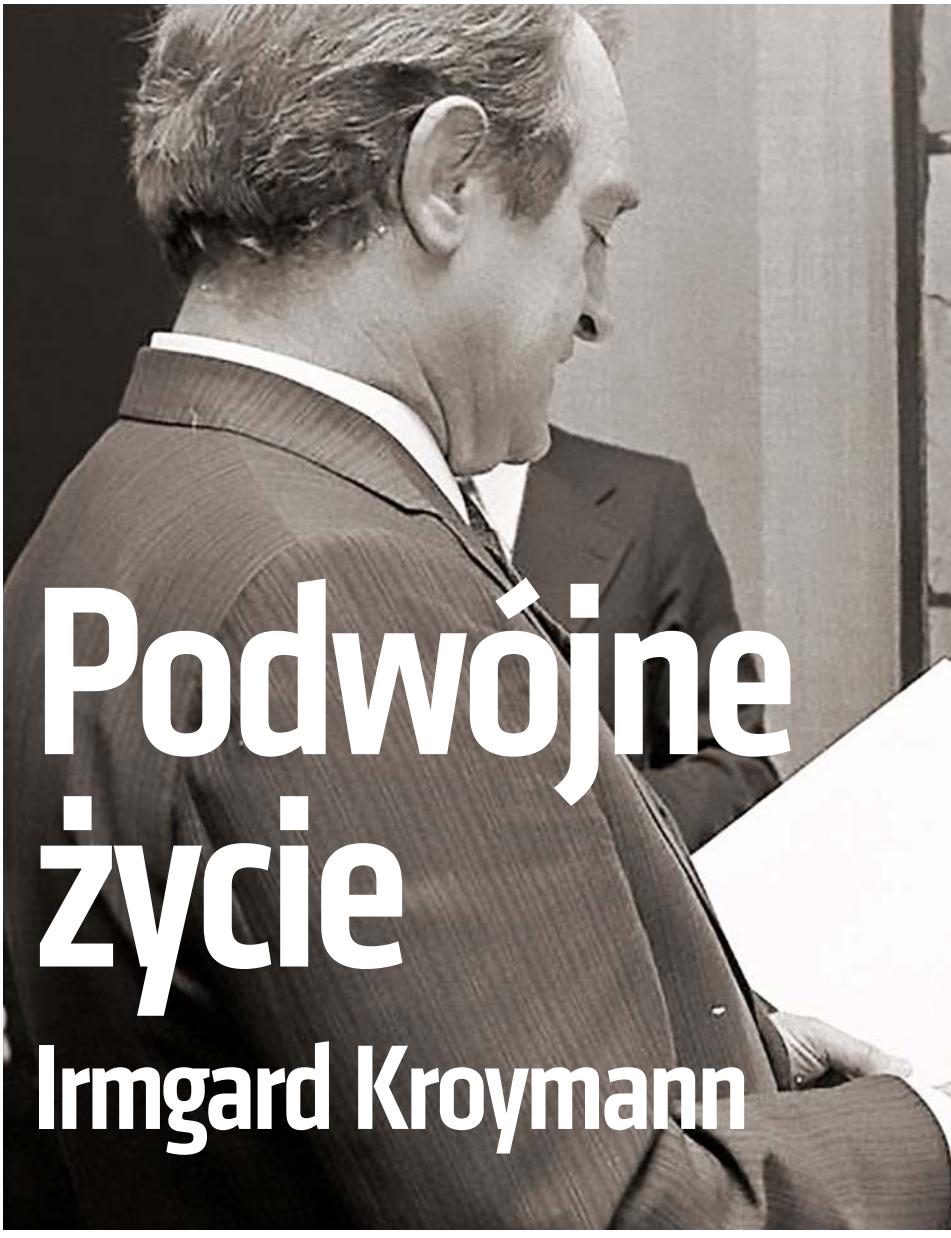

Podwójne życie Irmgard Kroymann

Jan Bogatko z Berlina

Aktywistka związków zawodowych była w Niemczech ikoną walki z nazizmem. Za tę walkę nie szczędzono córze proletariatu orderów i wyróżnień. Tych federalnych i tych landowych, w Nadrenii Północnej-Westfalii. To po wojnie. A przed wojną? A podczas wojny?

Legenda: Irmgard Kroymann oczywiście walczyła z „faszyzmem". Ci faszyści umieścili ją zgoła w KZ Gross-Rosen. Nie szkodzi, że owego „faszyzmu" w Niemczech nie było. Ale tak narodowy socjalizm nazwał Stalin. I tak to przyjęto w Niemczech, aby nie narażać słowa „socjalizm" na szwank. Była ta Kroymann jakoby uczestnikiem niemieckiego ruchu oporu, którego w Niemczech nie było. Ale przecież mógłby być.

A prawda? To już dłuższa historia. Ale warto poświęcić jej nieco uwagi. Wyszła na jaw po latach, przypadkiem i w zasadzie wbrew woli badaczki, która ją odkryła. Ja na nią też trafiłem przypadkiem, poszukując w sieci informacji o zamordowanym w jednym z niemieckich obozów koncentracyjnych wuju z Żoliborza, bracie mojej matki. Także w Gross-Rosen. Przy tej okazji znalazłem przypadkowo materiały o Irmgard Kroymann. Jeżeli chodzi o wuja, to archiwum w Arolsen przysłało mi miły list, że na jego temat brak danych. O Irmgard Kroymann nie pytałem. Nie znałem jej, więc nie miałem takiej potrzeby. Gdybym jednak postawił był takie pytanie, otrzymałbym na pewno odpowiedź, że w KZ Gross-Rosen kobiet nie było. Dlaczego nikt wcześniej nie zadał tego pytania?

NIE OFIARA, LECZ SPRAWCA

Narodową ikonę walki z „faszyzmem" zdekonspirowała badaczka lokalnej najnowszej historii z Nadrenii Północnej-Westfalii, Anne Prior, zupełnie przypadkowo. Cel poszukiwań hobbystki był zgoła inny: kiedy natrafiła ona na Irmgard Kroymann, sądziła, że udało się jej odkryć kolejną bojowniczkę, uczestniczkę ruchu oporu przeciwko „faszyzmowi" w Niemczech. W roku 2016 Prior, z zawodu księgarz z Dinslaken w Zagłębiu Ruhry, przeczesywała archiwa w poszukiwaniu kobiet z regionu, prześladowanych przez narodowych socjalistów (nazistów), które po wojnie zaangażowały się w proces odbudowy kraju. Opowiadała na łamach „Berliner Zeitung", że dwie takie kobiety udało się jej już znaleźć, komunistkę i katoliczkę. Irmgard Kroymann mogłaby być kolejną – pomyślała. Poszukiwania zakończyły się szokiem. Irmgard Kroymann była w KZ. Nie jako ofiara, lecz aufzejerka (z niem. die Aufseherin – nadzorczyni). Nie ofiara, lecz sprawca. Nie bohaterka walki z nazizmem, lecz wykonawczyni jego zbrodniczych rozkazów. Irmgard Kroymann okazała się oszustką. Napędzaną przez kryminalną energię.

Kiedy afera Kroymann wybuchła w pierwszych dniach 2023 r., z trudem dało się znaleźć cokolwiek o jej jakoby bohaterskiej walce z narodowym socjalizmem. Strony internetowe, na których promowano Kroymann, jak np. lewicowa witryna o historii kobiet w Zagłębiu Ruhry, frauenruhrgeschichte.de, śpiesznie oczyszczono z peanów na cześć „antyfa-

eprasa.pl d9a6dd6456

Irmgard Kroymann była wielokrotnie honorowana różnymi odznaczeniami FOT. LANDESARCHIV NRW/LANDESPRESSE- UND INFORMATIONSAMT NRW

szystowskiej bohaterki". Podobnie jak hasło w niemieckiej Wikipedii. Jej biogram trzeba teraz napisać na nowo. Poza może jednym zdaniem: „Irmgard Kroymann, urodzona w 1921 r. w robotniczej rodzinie w Essen, pochodzącej z Alterndorf, zmarła w 2005 r. w Müelheim an der Ruhr". Reszta to fikcja. Zresztą legenda oszustki nie była wcale perfekcyjna. W jej wypowiedziach znaleźć można było wiele sprzeczności. Kroymann utrzymywała, że wskutek jej krytycznych wobec reżimu wypowiedzi trafiła w maju 1944 r. do KZ Gross-Rosen. Jakże ją tam męczono! Miała siedzieć w pomieszczeniu pozbawionym światła!

Irmgard Kroymann była w KZ. Nie jako ofiara, lecz aufzejerka. Nie ofiara, lecz sprawca

Geschichtswerkstatt Oberhausen (warsztat historyczny) jest stowarzyszeniem non profit. Zajmuje się historią lokalną i regionalną i ma na celu żywe przekazywanie historii. Wydaje dwa razy w roku biuletyn o objętości 44 stron. Na łamach jednego z biuletynów Irmgard Kroymann opowiada ze szczegółami, jak to na jej oczach rozstrzeliwano więźniów, jak wieszano kobiety, rzucane następnie psom na pożarcie. Dopiero w styczniu 1945 r. wyszła jakoby na wolność, ogolona na łyso wróciła do rodziny. Nie zapomniała Kroymann poinformować czytelników biuletynu o śladach, które pobyt w obozie pozostawia na psychice i ciele ofiar.

W rzeczywistości życiorys bohaterki z Nadrenii Północnej-Westfalii nie przedstawia się tak imponująco. Ilustruje on losy jednej z Niemek, których tysiące żyły w tysiącletniej Rzeszy, służąc Hitlerowi. „Bohaterka" rzekomego antynarodowo-

eprasa.pl d9a6dd6456

-socjalistycznego ruchu oporu tak naprawdę pracowała np. przez osiem miesięcy jako kierowniczka kartoteki zagranicznych robotników przymusowych w Lipsku, w magazynie firmy zbrojeniowej. Skończyła pięciodniowy kurs w narodowosocjalistycznej organizacji Deutsche Arbeitsfront (DAF). To pięciodniowe szkolenie Kroymann przedstawiała jako rzekomo 15-miesięczne studia, zakończone egzaminem państwowym. Po szkoleniu w DAF Kroymann trafia do przędzalni wełny, skąd wyrzucają ją za kradzież po 23 dniach pracy. Latem 1944 r. znajdujemy ją w Christianstadt – to Krzystkowice nad Bobrem, gdzie była aufzejerką. W miejscowości Forst Christianstadt od czerwca 1944 r. znajdował się podobóz obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, który zatrudniał pracownice zakładu Christianstadt Gesellschaft m.b.H. do recyklingu wyrobów chemicznych (kryptonim Wiąz). Była to największa fabryka materiałów wybuchowych i amunicji w III Rzeszy. W chwili utworzenia obozu umieszczono w nim 500 więźniarek z KZ Auschwitz, które przyjmowała rzekoma bohaterka antynazistowskiego podziemia. Liczba przymusowych robotnic wzrosła we wrześniu 1944 r. do 1031 z chwilą nadejścia transportów z Siedmiogrodu i z getta w Litzmannstadt (Łódź).

KARIERA BUDOWANA NA KŁAMSTWACH

Puszczona po wojnie przez Irmgard Kroymann w ruch maszyna kłamstw zaczyna nabierać rozpędu. Pewna bezkarności z uwagi na potrzebę wynajdywania aktywistów antynazistowskiego ruchu oporu udziela ona wywiadów o swej bohaterskiej przeszłości na lewo i prawo; o tym, jak aresztowało ją gestapo i umieściło w obozie koncentracyjnym. Kroymann udziela się na scenie politycznej, wstępuje do SPD i rozpoczyna karierę w związkach zawodowych, początkowo ogrodniczych, a potem sięga coraz wyżej. Nikt nie weryfikuje jej przeszłości. Nie chce? Nie może? Jest tak doskonała, jakże potrzebna do wykazania, jak naziści prześladowali Niemców! Zostaje ławnikiem w sądzie, członkiem Niemieckiej Rady Kobiet, jest w zarządzie Centrali Konsumentów w Nadrenii Północnej-Westfalii, a wreszcie zostaje sekretarzem do spraw kobiet w centrali niemieckich związków zawodowych DGB (Deutscher Gewerkschaftsbund). Jest na „ty" z socjalistycznym premierem Nadrenii Północnej-Westfalii, Johannesem Rauem, późniejszym prezydentem Niemiec (1999–2004). To nie lada zaszczyt, jeśli się nie pochodziło z tego samego podwórka.

W legendzie Kroymann fakty były tak sprzeczne ze sobą, że musiały zwracać uwagę na kiepską fabułę. Czy ktoś ją chronił?

Uznanie zdobyła zaangażowaniem na rzecz praw kobiet i grup społecznych, uważanych za upośledzone. Za swe zasługi otrzymała najwyższe wyróżnienia, jak Federalny Krzyż Zasługi (Bundesverdienstkreuz), Federalny Krzyż Zasługi I Klasy, wreszcie Wielki Federalny Krzyż Zasługi oraz Order Zasługi kraju związkowego Nadrenii Północnej-Westfalii. Odznaczenia te – jak podaje regulamin – nadaje się za szczególne zasługi dla Republiki Federalnej Niemiec, np. na niwie społecznej czy na polu działalności charytatywnej.

Kroymann opowiadała dziennikarzom i historykom następującą legendę: ona, córka socjaldemokraty, odmówiła z powodów politycznych nadzoru nad przymusowymi robotnicami w fabryce amunicji, odważnie walczyła z „nazistami", kolportowała ulotki z apelem o uwolnienie rodzeństwa Scholl, za co została zwolniona z pracy w fabryce, ukrywała się przed gestapo, lecz wpadła w końcu w jego łapy i znalazła się w Gross-Rosen. Język zachowanych dokumentów jest następujący: ojciec Kroymann, ów rzekomy socjaldemokrata, był aufzejerem robotników przymusowych w fabryce amunicji w Lipsku. Tam też pracowała jego córka, którą po 23 dniach wyrzucono za kradzież. Wtedy wyjechała na Śląsk, przeszła szkolenia dla aufsejerek dla KZ Gross-Rosen i tak dalej. Resztę już znamy.

CZY KTOŚ JĄ CHRONIŁ?

Anne Prior nie może nadziwić się, dlaczego oszustce tak długo dawano wiarę. Kroymann ani nie ścigało gestapo, ani też nie była więźniarką w jakimkolwiek z niemieckich obozów koncentracyjnych. Zupełnie nic o tym nie świadczy! Nie była więziona ani w Gross-Rosen (gdzie byli sami mężczyźni!), ani w kobiecej filii tej kaźni w Krzystkowicach nad Bobrem. Należała do katów, a nie do ofiar. Kiedy po 1945 r. nastały nowe czasy, Kroymann postanowiła zdyskontować je dla siebie. Prior jest przekonana o tym, że udekorowana odznaczeniami aktywistka związkowa postanowiła odegrać nową życiową rolę, w której siebie najchętniej widziała: mianowicie ofiary narodowosocjalistycznego reżimu. Badaczka z Nadrenii Północnej-Westfalii zauważa, że postawa Irmgard Kroymann dokładnie wpisuje się w fenomen znany z dyktatur: są miliony sprawców i zwolenników, a po upadku reżimu wszyscy nagle postrzegają się w roli ofiary. To chyba zgodnie z tą regułą Niemcy uważają się za pierwszą ofiarę nazistów (spór o palmę pierwszeństwa Austriacy toczą z Niemcami). Prior mówi, że fakty w legendzie Kroymann były tak sprzeczne ze sobą, że musiały zwracać uwagę na kiepską fabułę. Czy ktoś ją chronił?

Kiedy Prior napisała nową biografię Kroymann, postanowiła ją opublikować w historycznych zeszytach Uniwersytetu Ruhr w Bochum (RUB). Spotkała się z odmową, ze wskazaniem, że jej tekst nie odpowiada naukowym standardom. Nie zdziwiło jej to wcale. Pozytywnie zaskoczyło natomiast ją to, że Götz Aly, berliński historyk, zajmujący się od dziesiątek lat zagadnieniami eutanazji, Holokaustu i antysemityzmu w Niemczech, umieścił w swej nowej książce „Unser Nationalsozialismus" („Nasz narodowy socjalizm") jedyny tekst nie jego autorstwa: „Aufzejerka w obozie udaje ofiarę KZ" – historię życia Kroymann napisaną przez Anne Prior. Zdaniem historyka z Berlina studium autorstwa Anne Prior jest doskonałe, bo unaocznia jedną z dziesiątek tysięcy takich biografii w Niemczech.

Książka Götza Aly'ego, z rozdziałem Anne Prior, która właśnie się ukazała nakładem wydawnictwa S. Fischer, poświęcona jest kwestii, kim byli owi „narodowi socjaliści". Aly odpowiada sam na to pytanie następująco: to byli „po prostu Niemcy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Samolikwidacja TK

Czyż swoją narastającą z każdym rokiem bezczynnością – zaległościami sięgającymi już (tak, tak, to nie pomyłka – 2014 r.), liczbą wyroków w 2022 r. najmniejszą od 1998 r. – nasz coraz bardziej legendarny Trybunał Konstytucyjny nie doprasza się formalnej likwidacji? Albowiem własną faktyczną likwidację – ciężko zapracowując na nią takimi jak powyższe i poniższe wynikami własnej „pracy" – przeprowadza sam, dokonując faktycznej samolikwidacji.

Komu bowiem może być potrzebny taki TK – taki niemal do szczętu nieżywy organ władzy – jak nasz TK obecnie? Komu może być potrzebny TK tak zajęty rozwiązywaniem własnych problemów, że nie jest w stanie skupić się na zajęciu się niemal żadnym z tych, do których rozstrzygania został powołany? Komu potrzebny TK z prezesem nie prezesem nieuznawanym przez niemal połowę sędziów? Komu na co TK niebędący w stanie skompletować na tyle odpowiednio licznego składu, by był zdolny orzekać w poważnych sprawach, a przecież o takie w wypadku sądów konstytucyjnych przeważnie chodzi?

A polski TK z każdym rokiem nie orzeka coraz bardziej. O ile w 2008 r. wydał 93 wyroki, w 2009 – 78, w 2010 – 68, w 2011 – 59, w 2012 – 67, w 2013 – 71, w 2014 – 71, a w 2015 – 63, o tyle później było już tylko gorzej; w latach 2016, 2017 i 2018 wydał jeszcze po 36 wyroków, ale w 2019 r. już tylko 31, w 2020 – 24, a w 2021 zaledwie 19.

Ba, jest jeszcze gorzej, bo formalnie istniejąc, choć faktycznie niemal nie istniejąc, nasz TK utrudnia czynienie sprawiedliwości sądom powszechnym i administracyjnym. Nie wydając wyroków w sprawach, w których jest o ich wydanie proszony, utrudnia im wydawanie wyroków w rozstrzyganych przez nie sprawach, utrudniając dochodzenie sprawiedliwości obywatelom. Grube tysiące Polaków czekają z tego powodu i czekają na wyrok sądu, który z jego wydaniem czeka na wciąż niewydawany wyrok nieszczęsnego TK. Dotyczy to np. tysięcy Polaków, którzy od wielu lat czekają na wyrok TK w sprawie służebności przesyłu, czyli pieniędzy dla właścicieli gruntów, przez które przebiegają linie energetyczne. Oraz – rzecz jasna – w sprawie bardzo, bardzo wielu innych spraw.

I, jak się wydaje, nikt nie ma pomysłu, jak zakończyć ten gorszący spektakl, czyli paraliż TK (podobnie jak postępujący paraliż Sądu Najwyższego), będący w głównej mierze rezultatem tak ogromnej zapiekłości zwalczających się od lat głównych sił politycznych, czyli PiS i PO, że dobro wyższe, jakim jest funkcjonowanie instytucji naszego państwa, już dawno padło ofiarą ich zaciekłości. Z wiadomym dla nas, obywateli, skutkiem. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

PiS traci wieś

Poważne kłopoty PiS na wsi zaczęły się wraz z „piątką dla zwierząt". To był klasyczny przykład dominacji ideologii i osobistych motywacji Jarosława Kaczyńskiego nad polityczną pragmatyką (i interesem polskich rolników). Trudno było bowiem uwierzyć, że za tym pomysłem stała myśl, żeby pozyskać w ten sposób młodych wyborców, zapatrzonych w lewicowe pomysły na uszczęśliwianie kur, świnek, krówek i norek.

Sytuacja PiS jest w tej sprawie szczególnie nieciekawa i problematyczna

Teraz koszmar PiS z wymykającą się wsią powraca – i znów z winy rządzących. Tym razem głównym, konkretnym i zarazem symbolicznym powodem kipiącego niezadowolenia jest niedopilnowanie ukraińskiego zboża, które miało przez Polskę jedynie jechać, a zamiast tego zalewa polski rynek.

Sytuacja PiS jest w tej sprawie szczególnie nieciekawa i problematyczna. Transport ukraińskiego zboża przez nasz kraj to część polityki pomagania Kijowowi na wszelkie wyobrażalne sposoby, nawet z naruszeniem polskiego interesu – co w mało której sprawie jest tak wyraźnie widoczne jak właśnie w tej. Władza mogła doskonale przewidzieć, że ukraińskie zboże będzie na polski rynek trafiać, szczególnie że nie zadbano o jego solidne zabezpieczenie w transporcie. I to mimo że pojawiały się rozsądne pomysły, takie jak kaucja pobierana przy wjeździe do Polski i zwracana przy wyjeździe, którą proponowało PSL.

Gdy jednak jeszcze w połowie ubiegłego roku sceptycy zwracali uwagę na możliwe negatywne skutki tej metody pomagania Ukrainie dla interesu polskich rolników, byli wyzywani od… tak, zgadli państwo: od ruskich onuc. To przecież argument uniwersalny.

Sygnałem alarmowym dla PiS powinno być, że za najgwałtowniejszymi protestami rolniczymi, w tym za obrzuceniem ministra Kowalczyka jajkami, nie stoi wcale Michał Kołodziejczak z AGROunii, którego łatwo byłoby dyskredytować i który raczej próbuje się podczepić pod już istniejącą emocję, ale m.in. Stowarzyszenie Oszukana Wieś. A to autentyczny rolniczy ruch, w który znacznie trudniej uderzyć.

Na PiS mści się też obsesja wspierania małych gospodarstw, podczas gdy ruch protestu to poważni przedsiębiorcy rolni. Z nimi zaś PiS nigdy nie był w stanie znaleźć wspólnego języka. ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

Jakub Wozinski

Ucieczka z raju czy z tonącego okrętu?

Kreślenie planów wyjścia z Unii Europejskiej oznacza w realiach polskiej debaty publicznej popełnienie jednej z najcięższych myślozbrodni. Dla dobra naszej ojczyzny warto jednak tego typu myślozbrodnię popełnić. Jeszcze większą krzywdę Polsce zadajemy, nie obmyślając dla niej żadnego „planu B"

Perspektywa wyjścia z Unii Europejskiej dla dobra Polski musi być stale brana pod uwagę, nawet jeśli zdecydowana większość klasy politycznej i społeczeństwa jest jej przeciwna. Należałoby tak czynić nawet wówczas, gdybyśmy dogadywali się z Berlinem i Brukselą we wszystkich sprawach i wspólnie tworzyli najbardziej zaawansowany gospodarczo obszar na świecie. Nasz związek z Unią to nie małżeństwo z wymogiem nierozerwalności, lecz pewna określona strategia polityczna, którą trzeba nieustannie poddawać krytycznej debacie.

NIEZDEFINIOWANA OBECNOŚĆ

Czymś absolutnie oczywistym jest to, że przystępując do organizacji międzynarodowej, każdy kraj powinien mieć na wstępie przynajmniej zarysowane ogólne warunki przynależności do niej. Gdy Polska wstępowała do NATO, czyniła tak głównie dlatego, że chciała uzyskać trwałą ochronę przed Rosją. Z tego względu gdyby pewnego dnia w obrębie sojuszu pojawiła się idea nawiązania przyjacielskich stosunków z Kremlem lub całkowitego rozbrojenia wschodniej flanki, z pewnością skłoniłoby to nas do pospiesznego szukania innych sojuszników.

Analogicznie powinno być również w przypadku polskiej obecności w strukturach Unii Europejskiej. Problem jednak w tym, że nasza akcesja z 2004 r. dokonała się bez ściśle zdefiniowanych ram oraz

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d9a6dd6456

celów, które chcemy dzięki niej osiągnąć. Zarówno najbardziej prounijnymi na całym kontynencie Polakami, jak i wybieranymi przez nich politykami kierowała od samego początku bliżej niesprecyzowana chęć doścignięcia Zachodu pod względem materialnym i politycznego związania się z nim, aby jak najszybciej wyrwać się z rosyjskiej strefy wpływów. Na ołtarzu pogoni za „unijną średnią" złożono już w ten sposób wiele ofiar z suwerenności. Dość naiwnie założono przy tym, że otwarcie rynków Europy Środkowo-Wschodniej na oścież przed niemieckim kapitałem nie przyniesie ze sobą wzmocnienia mocarstwowych apetytów Berlina.

Nie zdefiniowawszy sobie od samego początku tego, co będzie stanowiło nieprzekraczalną granicę polskiej racji stanu w zakresie gospodarczym i politycznym, polskie elity polityczne popełniły rażący błąd w postaci odmowy refleksji na temat tego, jak mogłoby wyglądać życie poza Unią. Im dłużej tego typu rozważania zaniedbywano, tym bardziej ewentualny polexit urósł do miana niewyobrażalnej katastrofy. Wieloletni brak rzetelnej debaty na temat alternatywy dla polskiej obecności w strukturach Unii Europejskiej został jednocześnie bezbłędnie rozegrany przez Berlin i Brukselę, które już od dłuższego czasu narzucają Warszawie coraz bardziej upokarzające warunki. Mając do czynienia ze zdesperowanym państwem i sparaliżowanym umysłowo społeczeństwem, które gotowe jest zrobić wszystko, aby tylko pozostać we wspólnocie, eurokraci poczynają sobie coraz zuchwalej.

DAŁ NAM PRZYKŁAD BRYTYJCZYK

Pierwszym i jak dotąd jedynym przypadkiem opuszczenia Unii Europejskiej jest brexit. Wprawdzie w Polsce nie brak głosów krytycznych pod adresem Brytyjczyków, że uciekając, zaburzyli równowagę sił na korzyść Berlina, lecz jest to raczej złość na tych, którzy potrafili wyraźnie zakreślić warunki brzegowe swojej suwerenności.

31 stycznia minęły trzy lata, odkąd Wielka Brytania opuściła Unię i wbrew kłamliwej propagandzie nie spotkała tego kraju żadna katastrofa. Przedstawiając najważniejsze negatywne skutki brexitu, tamtejsza prasa musi najczęściej mocno się nagłowić, gdyż poza kolejkami przy Eurotunelu czy odrobinę wolniejszym tempem wzrostu PKB wskazuje się... brak możliwości korzystania z programu Erasmus.

Na ołtarzu pogoni za „unijną średnią" złożono już wiele ofiar z suwerenności

Rzecz jasna, utrzymującą wciąż bardzo żywe kontakty gospodarcze z rozsianymi po całym świecie członkami potężnego Commonwealthu Wielką Brytanię trudno jest zestawiać z biedniejszą i posiadającą zdecydowanie mniej koneksji Polską, lecz uwagę zwraca przede wszystkim to, że po 1 stycznia 2020 r. brytyjsko-unijny handel nie zamarł, lecz wspiął się w ostatnich miesiącach na historycznie najwyższy poziom, a skazywana na brak rąk do pracy Wielka Brytania odnotowała w 2022 r. pokaźne dodatnie saldo migracji. Dla naszego kraju powinien być to jeden z najważniejszych drogowskazów, ponieważ właśnie korzyści wynikające z dostępu do unijnego wspólnego rynku przedstawiane są najczęściej jako prawdziwe summum bonum naszej obecności w Unii.

Najwyższy czas spróbować więc, choćby w formie publicystycznej, przedstawić, jak mogłaby wyglądać Polska po opuszczeniu Unii Europejskiej. Wytężmy wyobraźnię. Bruksela całkowicie wstrzymuje wypłatę jakichkolwiek środków. I oto Polacy tracą wreszcie cierpliwość (tutaj nasza wyobraźnia musi wspiąć się na prawdziwe wyżyny). W efekcie w narodowym referendum większość głosów pada za opuszczeniem Unii. Po wyznaczonej na 1 stycznia 2025 r. oficjalnej dacie polexitu nasz kraj zaczyna nowy rozdział swoich dziejów. Co dalej?

KTO KOGO POTRZEBUJE

Podstawowym błędem w myśleniu o naszych relacjach z Unią Europejską jest założenie, że to jedynie nam zależy na swobodnym przepływie dóbr i usług. Dla Niemców jesteśmy obecnie piątym najważniejszym partnerem handlowym, a obroty z naszym krajem są wyższe niż z Włochami czy Wielką Brytanią. W 2022 r. nasi zachodni sąsiedzi wyeksportowali do Polski towary i usługi o łącznej wartości ok. 90 mld euro i wbrew pozorom zwyczajnie nie mogą sobie pozwolić, aby drastycznie ograniczyć wymianę na tym odcinku. Dla porównania: wartość niemieckiego eksportu do Rosji wynosiła w ostatnim roku przed wojną ok. 26 mld euro i gdy w kolejnym roku zmalała o 45 proc., efekt dla wielu niemieckich branż był bardzo bolesny.

Podstawowe zadanie polskiego państwa przy ewentualnym polexicie polegałoby bez wątpienia na wynegocjowaniu odpowiedniej umowy handlowej z Unią Europejską. Idealne rozwiązanie polegałoby na pozostaniu w Europejskim Obszarze Gospodarczym na takich samych zasadach, w jakich uczestniczą w nim obecnie Norwegia, Islandia i Liechtenstein. Gdyby zaś obrażona Bruksela nie była skłonna wyrazić na to zgody, wciąż można byłoby szukać innych rozwiązań. Zawarta w grudniu 2020 r. i czekająca wciąż na ratyfikację umowa z Wielką Brytanią pokazała, że możliwy jest rozwód z zachowaniem w zasadzie bezcłowej strefy handlowej. Siła negocjacyjna Polski opierałaby się w znacznej mierze na tym, że od wielu lat stanowiliśmy jedną z najważniejszych lokalizacji bezpośrednich inwestycji zagranicznych w skali całego świata. W samym tylko 2021 r. ulokowano w Polsce ponad 114 mld zł. Mało któremu z inwestorów, którzy przez lata inwestowali w Polsce setki miliardów, zależałoby tym samym na drastycznych ograniczeniach w handlu z naszym krajem, gdyż bardzo negatywnie odbiłoby się to na dochodowości tychże inwestycji.

Przy tej okazji nie sposób nie zauważyć, że dobrodziejstwa związane z dostępem do unijnego rynku przyczyniły się także do wystąpienia pewnych niekorzystnych procesów. Polska gospodarka stoi dziś eksportem, a po 1989 r. wartość wywozu z naszego kraju wzrosła blisko pięciokrotnie. Uzyskanie przez naszą gospodarkę takiego profilu sprzyjało niestety utrwalaniu modelu gospodarczego opartego na relatywnie niskich płacach i słabej walucie. Zmodyfikowany dostęp do europejskich rynków wymusiłby tym samym podjęcie ważnych zmian,

eprasa.pl d9a6dd6456

idących w kierunku wzmocnienia innych źródeł wzrostu gospodarczego (np. poprzez wzrost poziomu inwestycji prywatnych lub sprzyjanie innowacjom).

REORIENTACJA HANDLU

Wbrew politycznej grze pozorów jesteśmy naszym europejskim sąsiadom bardzo potrzebni, nie tylko jako odbiorca ich inwestycji, lecz także jako całkiem pokaźny rynek zbytu. Zbyt często zapominamy, że nie jesteśmy już wynędzniałym uciekinierem z sowieckiego obozu, lecz dysponentem wielu gospodarczych atutów, które liczą się w świecie. Polexit wymagałby tym samym żmudnego, ale w ostatecznym rozrachunku korzystnego procesu zawierania umów handlowych z całym światem. W tej chwili jesteśmy zdani w znacznym zakresie na ustalenia pomijające czy wręcz depczące nasze interesy, czego przykładem jest choćby wciąż dyskutowana umowa handlowa między Unią a krajami grupy Mercosur, godząca m.in. w polskie rolnictwo.

Międzynarodowe porozumienia handlowe to przestrzeń, która była dotąd dość słabo przez nas eksplorowana ze względu na delegowanie uprawnień w tym zakresie na rzecz Brukseli. A tymczasem cały świat rozwija się w ostatnim czasie dużo bardziej dynamicznie niż Europa. Do 2050 r. Unia Europejska ma reprezentować już mniej niż 10 proc. światowego PKB (obecnie ok. 16 proc.). Według danych Komisji Europejskiej do połowy wieku ludność w wieku produkcyjnym skurczy się we wspólnocie o 35 mln osób, a dwie trzecie regionów znajdą się w poważnym kryzysie demograficznym. Wszystko to prowadzi do przyjęcia wniosku, że nasza gospodarcza przyszłość będzie w coraz mniejszym stopniu zależeć nie od naszych wymierających sąsiadów, a w znacznie większym zakresie od kontaktów z krajami Azji, Afryki czy obu Ameryk. Liderami wzrostu w nadchodzących dekadach mogą być takie kraje jak Filipiny, Wietnam czy też Nigeria.

UCIECZKA Z OKRĘTU

Unia Europejska już od dłuższego czasu ma coraz większą zadyszkę w technologicznym wyścigu o dominację. Można wręcz odnieść wrażenie, że w ostatnim czasie Niemcy tak bardzo skupili się na gnębieniu Polski czy Węgier, że zupełnie nie zauważyli, że konkurencja im uciekła. Unia Europejska nie dojechała już na rewolucję spółek internetowych, a w obecnie toczącej się rewolucji związanej z upowszechnieniem sztucznej inteligencji w przemyśle i usługach jest już niemal biernym widzem. Według badań firmy doradczej McKinsey europejskie firmy wydają średnio nawet 40 proc. mniej na badania i rozwój niż ich amerykańscy odpowiednicy i dlatego z roku na rok technologiczna przepaść się pogłębia.

Wbrew politycznej grze pozorów jesteśmy naszym europejskim sąsiadom bardzo potrzebni

Wymagana po polexicie reorientacja polskiego handlu i więzi gospodarczych nie wiązałaby się tym samym z opuszczeniem wspólnoty skazanej na sukces, lecz pogrążającej się w coraz bardziej zauważalnym marazmie. Stan umysłu eurokratów i ich podejście do kwestii gospodarczych pokazuje najlepiej to, że Unia posiada dziś najbardziej zaawansowane na świecie prawo regulujące korzystanie ze sztucznej inteligencji, a jednocześnie żadna z europejskich firm nie nadąża w pracach nad nią za Microsoftem, Google, Baidu czy Tencentem.

Od strony logistycznej po wyjściu z Unii Europejskiej Polska nie miałaby wcale problemu z nawiązaniem ożywionych kontaktów handlowych z resztą świata dzięki stale rozbudowującym się portom. Gdańsk jest już od zeszłego roku drugim najbardziej ruchliwym portem na Bałtyku i ma potencjał, aby podjąć rywalizację z największymi portami w Europie. Wytyczne unijnej zielonej rewolucji i tak skazują naszą rodzimą branżę transportową na powolną śmierć, dlatego Polska musiałaby się jeszcze bardziej zwrócić ku morzu. Przez wieki dostęp do morza był naszym największym niewykorzystanym potencjałem gospodarczym, z którego należałoby wreszcie czerpać pełnymi garściami.

Naturalną konsekwencją opuszczenia struktur Unii Europejskiej byłoby z pewnością pogłębienie współpracy z Norwegią, Islandią, Liechtensteinem, ze Szwajcarią i z Wielką Brytanią. W naszym interesie leżałoby wręcz sformalizowanie wspólnych działań poprzez utworzenie swego rodzaju alternatywnej platformy, kuszącej resztę kontynentu bardziej atrakcyjnymi warunkami współpracy, wolnymi od projektu superpaństwa. Szczególnego znaczenia nabrałaby także przynależność Polski do struktur NATO oraz rozwijanie współpracy z najbliższymi sąsiadami w ramach Grupy Wyszehradzkiej czy też projektu Międzymorza. Wskazane byłoby także tworzenie nowych inicjatyw politycznych w Europie, tak aby nie pozostawić wątpliwości, że zależy nam na naszym kontynencie.

PRZEKUĆ DOTACYJNĄ BAŃKĘ

Największym mitem związanym z polską obecnością w Unii jest bez wątpienia ten głoszący, że unijne dotacje są konieczne do napędzania wzrostu. Zanim dokonano zwrotu o 180 stopni w stosunku do pieniędzy obiecanych w ramach KPO, sam prezes NBP Adam Glapiński, a także przedstawiciele rządu wielokrotnie stwierdzali publicznie, że Polska jest w stanie poradzić sobie bez środków wypłacanych przez Brukselę, a istotny z naszego punktu widzenia jest przede wszystkim dostęp do wspólnego rynku.

Polacy powinni stale pamiętać, że kraje Europy Zachodniej nie zdystansowały całej reszty kontynentu i świata pod względem materialnym dzięki unijnym dotacjom, a gdy od połowy XIX w. rozpoczął się ich bujny rozwój, nie istniały żaden Fundusz Spójności ani Wspólna Polityka Rolna. Eksplozja bogactwa Zachodu dokonała się także w czasach, gdy z paliw kopalnych można było korzystać bez żadnych ograniczeń. Pozostanie w Unii w obecnej formule oznacza tak naprawdę, że nigdy nie uzyskamy narzędzi potrzebnych nam do dynamicznego rozwoju i dogonienia najbogatszych. Jak zresztą ma się to dokonać w sytuacji, gdy eurokraci coraz bardziej otwarcie opowiadają się za ideą degrowth, czyli kontrolowanego kurczenia gospodarki?

O ile w pierwszych latach po akcesji można było jeszcze uważać inaczej, o tyle obecnie nie ma już żadnych złudzeń, że unijne fundusze to przede wszystkim narzędzie politycznej kontroli, a ściślej rzecz biorąc – cena, jaką płacimy za dostęp do zachodnich rynków. Strumień

eprasa.pl d9a6dd6456

funduszy, które w coraz szerszym zakresie kierowane są na zieloną politykę, i tak w znacznej mierze wraca do krajów zachodnich, dysponujących odpowiednimi technologiami. Po ewentualnym polexicie państwo musiałoby wypracować nowy model finansowania inwestycji publicznych, gdyż unijne środki odpowiadają za ok. 25 proc. wszystkich nakładów na inwestycje. Pamiętać jednocześnie należy, że znaczna część inwestycji realizowanych ze środków unijnych to zwykłe marnotrawstwo lub finansowanie utopijnego projektu zeroemisyjności.

Dlatego właśnie wielką korzyścią płynącą z polexitu byłaby możliwość samodzielnego zarządzania narzucaną w skali całego globu polityką zrównoważonego rozwoju. Presja na zrównoważoną gospodarkę jest w tej chwili ogromna i w różnym zakresie ulegają jej nawet najbardziej zbuntowane państwa na świecie, niemniej jednak wyzwolona z unijnych ograniczeń Polska uzyskałaby znacznie szerszy margines swobody pójścia swoją własną ścieżką. Wiele krajów na świecie, nawet tych niebędących mocarstwami, potrafi dziś przeciwstawić się zeroemisyjnej presji, otwarcie wyrażając swoje votum separatum na ONZ-owskich konferencjach klimatycznych. Niestety, Polska nie jest jednym z nich, gdyż jej stłumiony lękiem przed euroodrzuceniem głos nie ma nawet szansy wybrzmieć.

BIUROKRATYCZNY DETOKS

Jedną z najważniejszych konsekwencji ewentualnego polexitu byłaby także konieczność częściowego demontażu biurokratycznego, regulacyjnego i socjalnego narzutu, z którego na całym świecie słynie Unia Europejska. Konieczność ta wynikałaby wprost z tego, że Polska znalazłaby się w zupełnie nowej rzeczywistości gospodarczej i prawnej. Przynależność do Unii Europejskiej wiąże się z bardzo wymierną premią dla rządzących w postaci możliwości zadłużania się po niższych kosztach, uzyskiwania wyższych ratingów czy też ogólnie lepszego odbioru w oczach inwestorów na całym świecie. Aby na nowo zapracować na uznanie w oczach rynków, trzeba byłoby naprawdę mocno się napracować, prowadząc stabilną politykę budżetową i pieniężną oraz tworząc odpowiednie warunki rozwoju dla sektora prywatnego. Obecnie wszystkie te obszary kuleją, m.in. właśnie dlatego, że rządzący wiedzą, iż całkowita odpowiedzialność za finanse kraju nie spoczywa wyłącznie na nich.

Konieczność wzięcia większej odpowiedzialności za własny kraj wymogłaby także wielką reformę uczelni wyższych. Opuszczenie unijnych struktur ograniczyłoby możliwość wyjazdu zdolnych młodych osób za granicę, co jednak otworzyłoby przed Polską wiele szans. Nieustanny drenaż umysłów można by powstrzymać, wspierając rozwój grupy wiodących uczelni w Polsce. Nasz kraj nie dysponuje może tak wielkim kapitałem jak wiele innych, ale jego wielkim atutem jest to, że w znacznej mierze kadra uniwersytecka nie jest jeszcze tak bardzo zainfekowana neomarksistowskimi ideologiami, które obecnie wyniszczają życie umysłowe świata akademickiego w krajach zachodnich. Polska może stać się imigracyjnym rajem dla osób, które chcą uciec przed trwającą rewolucją kulturową, lecz rządzący muszą najpierw nie bać się zdecydowanie wystąpić przeciwko szerzącym się ideologiom i wytępić je z uniwersyteckiego obiegu.

Przynależność do UE wiąże się z premią dla rządzących – możliwością zadłużania się po niższych kosztach

MIĘDZY ROSJĄ A NIEMCAMI

Propozycja polexitu była dotąd przez wiele lat kategorycznie odrzucana przez prawicowych zwolenników obecności w Unii jako rozwiązanie będące bardzo na rękę Rosji, dążącej do rozbicia wspólnoty. Jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie pojawiały się również głosy, że Niemcy celowo chcą nas wypchnąć z Unii, abyśmy wpadli wprost w rosyjską strefę wpływów. Po wybuchu wojny na Ukrainie wszystkie te argumenty w większości straciły swoją moc. Rosyjskie węglowodory zostały na dłuższy czas skutecznie wyparte z Europy, a gospodarcze związki z Federacją Rosyjską drastycznie ograniczone. Błędem byłoby oczywiście zakładanie, że Berlin i Paryż nie będą już więcej próbowały odnowić bliskiej współpracy z Moskwą, lecz ryzyko wpadnięcia w rosyjską strefę wpływu w następstwie polexitu zauważalnie zmalało; choćby dlatego, że kondycja Rosji jeszcze długo nie będzie jej umożliwiała dynamicznej i skutecznej ekspansji gospodarczej i politycznej w kierunku zachodnim.

W ostatnich dniach głośno stało się o tym, że w zamian za forsowaną przez polski rząd akcesję Ukrainy do struktur Unii Europejskiej Bruksela i Berlin oczekują wyrażenia pełnej zgody na budowę europejskiego superpaństwa. Z oczywistych względów Polska nie może się na to zgodzić i powinna w zamian dążyć do budowania podstaw własnej niezależności. Niezwykle pomocna w tym dziele mogłaby być właśnie Ukraina, która bez polskiej pomocy już dawno zostałaby podbita. Jeśli Ukrainę uda się obronić, nawet bez możliwości utrzymania przez nią całego terytorium, to w najbliższych latach będzie i tak bardzo mocno zdana na Polskę. Po ewentualnym polexicie sąsiedztwo mającej do spłacenia ogromny dług wdzięczności Ukrainy byłoby nadzwyczaj pomyślną okolicznością łagodzącą wiele negatywnych skutków rozbratu ze wspólnotą. Zubożała Ukraina nie będzie zapewne szczególnie chłonnym rynkiem zbytu, lecz posiada wiele atutów gospodarczych, które mogą pracować również na rozwój naszej gospodarki. Jeśli Polska z tego nie skorzysta, to uczynią to z pewnością Niemcy, którzy przedstawili swój wielomiliardowy inwestycyjny plan dla Ukrainy już w ubiegłym roku. Nie uczynili tego bynajmniej bezinteresownie.

Zarysowane powyżej w bardzo ogólny sposób wyzwania, przed którymi stanęłaby Polska w razie polexitu, są oczywiście czysto spekulatywne, a ich lista nie jest wyczerpująca. Przedstawiając je, dostrzec można jednak, że opcja polexitu, jakkolwiek niepopularna, nie może być wcale porównywana do politycznego samobójstwa. To prawda: polexit byłby zadaniem trudnym i obciążonym znacznym ryzykiem, jednakże niemal każdy kolejny dzień obecności w Unii Europejskiej powiększa pulę ryzyka związanego z dalszym w niej trwaniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

FOT. ADOBE STOCK

Koniec ery potężnego dolara?

Jacek Przybylski

Ekonomista Nouriel Roubini, znany na Wall Street jako Dr Zagłada, ostrzega, że era globalnej dominacji dolara amerykańskiego dobiega końca i najpóźniej za 10 lat świat wkroczy w nową erę. O tym, że dolar umiera, od miesięcy przekonuje także Robert Kiyosaki, ojciec bestsellera „Bogaty ojciec, biedny ojciec"

Według Nouriela Roubiniego, który wsławił się tym, że przewidział kryzys w 2008 r., zbliża się „krach inny niż wszystkie". Ma on łączyć w sobie wszystko to, co najgorsze w załamaniu rynków z lat 70. ubiegłego stulecia oraz z wielkiego globalnego kryzysu roku 2008. Stagflacyjna recesja ma doprowadzić do pęknięcia baniek na rynkach akcji, nieruchomości oraz kryptowalut. Zresztą, jak podkreślił niedawno Dr Zagłada, wyceniane na biliony dolarów rynki krypto pełne są działalności przestępczej i manipulacji. Roubini ostrzegał również, że kryptowaluty to tak naprawdę wielka piramida finansowa i bańka, która wkrótce pęknie. I dziwił się, że amerykańskie władze chcą ratować depozyty w upadłych niedawno bankach, które lekkomyślnie zdecydowały się „wskoczyć do kryptoszamba".

JUAN, A MOŻE RUPIA?

Zła wiadomość jest taka, że jeśli ktoś chciałby ratować prawdziwą wartość swoich oszczędności, to nie wystarczy wymienić krypto na dolary. Przyszłość amerykańskiej waluty Roubini również widzi bowiem w czarnych barwach. Już w opublikowanym w lutym tego roku tekście dla „Financial Times" słynny ekonomista ostrzegał, że „chociaż żadna inna waluta nie jest jeszcze w stanie całkowicie zastąpić dolara, to amerykański pieniądz szybko traci przewagę konkurencyjną na rzecz chińskiego juana".

„Biorąc pod uwagę rosnące wykorzystanie dolara jako broni dla celów bezpieczeństwa narodowego oraz rosnącą rywalizację geopolityczną między Zachodem a rewizjonistycznymi mocarstwami, takimi jak Chiny, Rosja, Iran i Korea Północna, niektórzy twierdzą, że dedolaryzacja przyspieszy… W świecie, który będzie coraz bardziej podzielony na dwie geopolityczne strefy wpływów – a mianowicie kraje związane ze Stanami Zjednoczonymi i z Chinami – jest prawdopodobne, że dwubiegunowy system walutowy ostatecznie zastąpi ten jednobiegunowy". Kiedy świat wejdzie w tę nową walutową erę? Według Roubiniego stanie się to już w kolejnej dekadzie.

Na realność takiego scenariusza wskazywać mogą choćby działania władz w Pekinie, dla których proces dedolaryzacji oraz internacjonalizacji własnej waluty jest wyraźnym priorytetem. Chiny mocno promują cyfrowego juana, ale właśnie w renminbi (to oficjalna nazwa waluty Chińskiej Republiki Ludowej) płacą za ropę naftową sprowadzaną z Arabii Saudyjskiej czy za gaz ziemny importowany z Rosji. Również Wenezuela zaczęła wyceniać swoją ropę w renminbi. Chiński przywódca Xi Jinping zabiega zaś, aby petrodolary zastąpić petrojuanem w większości krajów Bliskiego Wschodu. W grudniu ubiegłego roku, podczas szczytu państw Zatoki Perskiej, Xi Jinping oficjalnie zakomunikował swym partnerom z regionu, że Chiny chcą nadal kupować od nich ropę i gaz, ale chcą za nie płacić w juanach. I chociaż Amerykanie obawiają się rosnących wpływów Chin w świecie arabskim, to na razie decydenci w Abu Zabi, Kuwejcie czy Dosze nie podchodzą do pomysłu petrojuanów zbyt entuzjastycznie. Jak pisał pod koniec lutego

eprasa.pl d9a6dd6456

Javier Blas dla Bloomberga, oficjalnie są otwarci na dyskusje, ale po cichu zadają jedno zasadnicze pytanie: Co my byśmy z tego mieli? Jednocześnie potężni gracze na Bliskim Wschodzie obawiają się, że zgoda na petrojuana otworzy walutową puszkę Pandory – każdy ważny kupiec będzie chciał handlować w swojej walucie, np. w petrorupii, petrojenie etc. Z drugiej strony, jak zauważyła w marcu Agencja Reutera, aby osłabić trwającą od dekad dominację amerykańskiej waluty w handlu ropą naftową, większość transakcji z Indiami – głównym odbiorcą ropy z Rosji – została dotychczas rozliczona w innych walutach niż dolar.

Rosyjska firma Rusal – gigant na światowym rynku aluminium – jako pierwsza tak duża spółka na rynku Rosji w pierwszej połowie zeszłego roku wyemitowała obligacje w chińskiej walucie i zebrała z nich 4 mld juanów (równowartość 590 mln dol.). Z kolei w październiku ogłosiła emisję wartą 6 mld juanów (w przeliczeniu 826 mln dol.). Nad sprzedażą obligacji wycenianych w juanach zastanawiają się też różne rządy krajów mniej rozwiniętych, w tym np. Egiptu, któremu coraz trudniej jest obsługiwać dług wyceniany w dolarze amerykańskim w okresach, gdy Stany Zjednoczone ostro zaostrzają swoją politykę pieniężną.

Juan w roku 2015, w uznaniu dla Chin jako światowej potęgi gospodarczo-finansowej, dołączył do prestiżowego koszyka rezerw Międzynarodowego Funduszu Walutowego, w którym znajdują się też cztery najważniejsze waluty świata: amerykański dolar, euro, japoński jen i brytyjski funt szterling. Od tego czasu udział juana w koszyku służącym do wyznaczania wartości Specjalnych Praw Ciągnienia (SDR) wzrósł z 10,92 proc. do 12,28 proc. w sierpniu ubiegłego roku.

REZERWOWE WALUTY KRAJÓW BRICS?

Państwa BRICS – wytwarzające już łącznie mniej więcej jedną trzecią światowego PKB – coraz głośniej mówią o alternatywie dla SDR-ów, czyli de facto o dedolaryzacji rozliczeń w międzynarodowym handlu. Już w 2021 r. atrakcyjność juana jako środka płatniczego przebiła japońskiego jena (według wyliczeń „Obserwatora Finansowego" udział chińskiej waluty w płatnościach międzynarodowych, liczony na bazie wartości transakcji, wynosił 3 proc., polskiego złotego 1 proc., brytyjskiego funta 6 proc., euro 37 proc., a dolara amerykańskiego 41 proc.). Według Roubiniego wraz ze spadkiem udziału USA w globalnej gospodarce nowym dolarem w krajach tzw. globalnego Południa może stać się również indyjska rupia, która – jak powiedział ekonomista w wywiadzie dla ET Now – ma potencjał zostać zarówno walutą rozliczeniową, jak i rezerwową.

12,28 proc.

TAKI UDZIAŁ MA JUŻ CHIŃSKI JUAN W KOSZYKU MIĘDZYNARODOWEGO FUNDUSZU WALUTOWEGO

Czy rzeczywiście Chiny, Indie i inne kraje BRICS mogą zdobyć tak duże zaufanie międzynarodowych inwestorów, aby raz na zawsze zakończyć panowanie wszechmocnego dolara, ustanowić nowy walutowy ład i kompletnie przerysować globalne strefy wpływów w finansowym świecie? Na razie wydaje się to wątpliwe. Jest wiele przyczyn, z powodu których trudno sobie wyobrazić, aby dolar stracił nagle swoje miejsce w globalnym systemie finansowym. Na przykład jest on nadal nie tylko główną walutą rozliczeniową w światowym handlu, lecz także podstawową walutą rezerwową banków centralnych w wielu krajach świata (rezerwy zagraniczne denominowane w dolarach w trzecim kwartale 2022 r. stanowiły ok. 60 proc., w euro ok. 20 proc., a japońskim jenie niecałe 5,3 proc.).

Dla porównania: udział juana w globalnych rezerwach banków światowych w pierwszym kwartale 2022 r. wynosił 2,79 proc. (po wzroście z 2,08 proc. w II kwartale 2020 r.). Juan stanowi już jednak kilkanaście procent rezerw banku centralnego Rosji. Dywersyfikację swoich rezerw przeprowadzają również państwa, które mogą być potencjalnie narażone na zachodnie sankcje. Trzeba zauważyć, że w 2018 r. jakiekolwiek rezerwy w chińskiej walucie miało 40 proc. banków centralnych, a w roku ubiegłym odsetek ten wzrósł do 63 proc.

ACH, TE PROGNOZY!

Eksperci od wielu lat debatują, czy nadchodzi koniec ery dolara. Jedni są o tym przekonani, inni twierdzą, że choć ciągła dominacja amerykańskiej waluty wielu krajom może się nie podobać, to po prostu nie ma jej czym zastąpić i w dającej się przewidzieć przyszłości nic tego nie zmieni. Dolar miał zresztą chylić się ku upadkowi już po 2008 r., a także kilkukrotnie w 2022 r.

I choć pewne jest, że krajom rynków wschodzących opłacałoby się większe rozdrobnienie systemu finansowego, a czasy jastrzębiego Fedu sprzyjały dyskusji o zmniejszeniu zależności od dolara, to prognoza autora bestsellera „Bogaty ojciec, biedny" o wielkim krachu dolara, do którego miało dojść w styczniu 2023 r. (w ślad za brytyjskim funtem), na razie się nie sprawdziła (choć trzeba przyznać, że ten, kto kupił srebro, gdy 1 października radził to na Twitterze Kiyosaki, powinien być teraz na plusie).

Czy długoterminowe pogłoski o śmierci dolara okażą się mocno przesadzone? Przekonamy się za dekadę. Niewykluczone jednak, że przeczytamy wówczas jedynie wiele analiz, co stanęło na drodze do realizacji takiego scenariusza. O końcu dominacji dolara na międzynarodowych rynkach ostrzegano bowiem niemal od samego początku jego hegemonii. Krach miała spowodować decyzja Nixona o zamknięciu w latach 70. „złotego okna". No bo jak niby miałaby prosperować waluta, która „tymczasowo" nie ma już dłużej pokrycia w złocie? Teraz dolarowi pesymiści wskazują na rozgrzane drukarki pustego amerykańskiego pieniądza, a także na to, że brak zdrowego pieniądza doprowadził do załamania dynamiki produktywności gospodarki USA.

Przed pójściem do kantoru proszę jednak pamiętać, że ekonomiści są znani z tego, że potrafią precyzyjnie wyjaśnić, dlaczego ich wcześniejsze prognozy się nie sprawdziły. Na koniec pozostaje więc streścić wyjątkowo szczerą i raczej wyjątkowo prawdopodobną prognozę jednego z analityków walutowych dużego europejskiego banku na 2023 r.: w ciągu najbliższych miesięcy dolar w stosunku do złotego osłabi się albo umocni, choć możliwe jest też, że najpierw się umocni, a w drugiej połowie roku osłabi – albo odwrotnie… Bardzo proszę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

Jacek Pałkiewicz

Otrzeć się o śmierć

Ludzki organizm to unikalny mechanizm, który nie przestaje zaskakiwać swoją zdolnością adaptacji i zachowania życia. Za sprawą motywacji i determinacji człowiek jest w stanie wygrywać z ograniczeniami, jakie w sytuacjach – zdawałoby się – bez wyjścia narzuca mu ludzki ustrój

Znane są niewiarygodne losy osób, które otarły się o śmierć i wygrały z nią. Zapewne najbardziej zdumiał naukowców przypadek Anny Bagenholm, która zmartwychwstała po swojej śmierci. Dwudziestodziewięcioletnia norweska radiolog, zjeżdżając na nartach, straciła panowanie i wpadła w szczelinę lodową pod strumień lodowatej wody. Wyciągnięta po 80 minutach z pułapki nie dawała żadnych oznak życia. Jej puls zanikł, krew przestała krążyć, a temperatura ciała spadła do 13,7 st. (a przy obniżeniu do 33 stopni pojawiają się omamy i otępienie, natomiast przy 24 stopniach dochodzi do śmierci). W stanie śmierci klinicznej przewieziono narciarkę helikopterem do szpitala w Tromso, gdzie znalazła się pod opieką dużego zespołu lekarzy i pielęgniarek, którzy trudzili się, aby przywrócić jej życie. Nadzieja była niemal zerowa, ale po trzech godzinach serce Anny tknęło i życie zaczęło znowu płynąć w jej żyłach. Powoli ruszyły wszystkie ważne narządy i po 10 dniach Anna otworzyła oczy. Była sparaliżowana od szyi w dół i musiała spędzić kilka miesięcy na intensywnej terapii. Petter Andreas Steen, lekarz ze Szpitala Narodowego w Oslo, powiedział, że „z powodu zimna jej metabolizm zwolnił do tego stopnia, że tkanki potrzebowały bardzo mało tlenu do utrzymania się". Stąd jej mózg nie doznał żadnych uszkodzeń. Wprawdzie Norweżka do dziś cierpi na drobne objawy uszkodzenia nerwów w dłoniach i stopach, ale istotne jest, że całkowicie odzyskała wszystkie funkcje życiowe.

Naukowe czasopismo medyczne „The Lancet" zauważa, że zimno, podobnie jak i mechanizmy obronne czy zdolności adaptacyjne człowieka do niskich temperatur, wciąż jeszcze przedstawia dla badaczy wiele niewiadomych. Ponadto podkreśla się, że to niesłychane doświadczenie stanowi przełom w ratowaniu ludzkiego życia. Hipotermia terapeutyczna, kontrolowane obniżenie ciepłoty ciała, pozwala odratować chorego, u którego stwierdzono zatrzymanie krążenia krwi.

Osobiście przychodziło mi zajmować się granicą możliwości ludzkiego organizmu w upiornych warunkach i zdolnościami przeżycia w nich. Bywało, że w okowach srogiej syberyjskiej zimy, palącego skwaru Sahary i innych bezlitosności żywiołów wspomagałem fizjologię i biologię człowieka, eksperymentując na sobie, jak daleko można się posunąć i gdzie leży czerwona linia, której nie można przekroczyć.

BEZ WODY

Jako żeglarza zdumiewa mnie wyjątkowa historia 24-letniego Poon Lima, który spędził na wodach Atlantyku 133 dni. Brytyjski frachtowiec s/s „Ben Lomond", na którym Chińczyk był zamustrowany jako steward, w listopadzie 1942 r. został zatopiony przez niemiecki U-boot. Nieszczęśnik, jako jedyny z załogi, zdołał skorzystać z prymitywnej tratwy ratunkowej o powierzchni 2,5 mkw., na której było kilka puszek sucharów, czterolitrowy pojemnik z wodą, nieco czekolady, woreczek cukru i kilka rac świetlnych. Podjął niewyobrażalne wyzwanie, aby stawić czoła rozpaczliwej sytuacji. Zmysł techniczny pomógł mu wykorzystać wszelkie dostępne zasoby. Łapał deszczówkę w płócienny daszek i łowił ryby na haczyk zrobiony z drucianej spirali z latarki. Czasami schwytał też mewę na tę samą rybę jako przynętę. Pewnego razu złapał małego rekina, który zapewnił mu strawę na kilka dni. Wprawdzie ocean nie złamał ducha rozbitka, ale ponieważ nie umiał pływać, nie uwolnił się od nieustannej udręki, pomimo że był przywiązany do tratwy. Przeszedł trudne chwile podczas sztormu, który zmył mu spory zapas wody. Nie tracił jednak nadziei i się nie poddawał.

Nie pił przez 10 dni, sączył tylko mocz. Pomimo zmąconego umysłu jakiś pierwotny instynkt podpowiadał mu, żeby nie pić wody morskiej, tylko zwilżać usta. Stracił kilkanaście litrów płynów z organizmu i jego odwodnienie sięgnęło 20 proc. ciężaru ciała. Według doświadczalnych badań praktycznie nie miał prawa już żyć. Nie sprawdziła się jedna z trzech reguł sztuki ujścia z życiem: trzy minuty bez powietrza, trzy dni bez wody, trzy tygodnie bez jedzenia.

Chińczyka, krańcowo wyczerpanego, uratowali brazylijscy rybacy. Po mie-

eprasa.pl d9a6dd6456

Pasażerowie samolotu, który w 1972 r. rozbił się w Andach, przeżyli, choć musieli jeść zmarłych towarzyszy podróży FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

sięcznej rekonwalescencji w szpitalu w Belem trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie za heroizm król Jerzy VI odznaczył go Medalem Imperium Brytyjskiego. Royal Navy wykorzystała jego doświadczenie do szkolenia marynarzy na wypadek konieczności przetrwania po utracie okrętu. W 1949 r. Lim wyemigrował do USA, gdzie stał się celebrytą. Na wystąpieniach publicznych życzył wszystkim, aby nigdy nie musieli rywalizować z jego niefortunnym rekordem.

Fizjologia zna przypadki innych niebywałych rekordów. Podczas drugiej wojny światowej dwóch zestrzelonych pilotów alianckich ocalało bez picia 15 dni. Z kolei w 1979 r. 18-letni wówczas Andreas Mihavecz za spowodowanie wypadku samochodowego trafił w Austrii do policyjnego aresztu. Z powodu zbiegu okoliczności funkcjonariusze sądzili, że został już zwolniony. Zapomniany w celi utrzymał się przy życiu 18 dni bez wody i wyżywienia. Stracił na wadze 24 kg,, ale po paru tygodniach powrócił do zdrowia. Niesprawdzona jest natomiast zdumiewająca informacja o mozambijskim pastorze Francisco Barajah, który próbując naśladować 40-dniowy post Jezusa Chrystusa bez jedzenia i wody, zmarł po 25 dniach. W 2006 r. podobny los spotkał w Londynie pewną kobietę, która po 23 dniach stała się ofiarą w analogicznej próbie.

NA KRAWĘDZI

Ponad 50 lat temu miała miejsce katastrofa lotnicza, nagłośniona w książkach i dużych produkcjach filmowych. Czarterowy lot 571 samolotu należącego do Urugwajskich Sił Powietrznych, który wystartował z Montevideo i leciał do Santiago de Chile, wskutek błędu pilota rozbił się na wysokości 4 tys. metrów, wśród ośnieżonych górskich szczytów Andów, rozpadając się na dwie części. Na pokładzie było 45 pasażerów – drużyna rugby Old Christians Club oraz przyjaciele i rodziny. Śmierci w zderzeniu uniknęły 33 osoby, jednak ostatecznie uratowało się tylko 16 (reszta zmarła z powodu odniesionych ran i ekstremalnych warunków pogodowych).

Akcja ratownicza była skazana na niepowodzenie, bo w tej okrutnej krainie niełatwo było dostrzec szczątki białego kadłuba pośród ośnieżonych zboczy gór. Po ośmiu dniach poszukiwania przerwano, o czym nieboracy przypadkowo usłyszeli w radiu tranzystorowym. Wyczerpani, niedożywieni, z okaleczałymi kończynami, dotknięci chorobą wysokościową i śnieżną ślepotą, borykając się z siarczystym mrozem i zamiecią śnieżną, stracili wiarę w ocalenie. Gdy wydawało się, że los już wystarczająco skrzywdził uczestników feralnego lotu, na resztki samolotu spadła lawina, zasypując go zwałami śniegu. Niektórzy zginęli, inni odkopali się po trzech dniach. Zapasy się skończyły, a rejon nie zapewniał żadnego naturalnego pożywienia. Czas działał na niekorzyść, jedyną alternatywą dla skazanych na śmierć głodową pozostało spożywanie ciał zmarłych współtowarzyszy.

Oprócz praktykowanej do niedawna antropofagii na podłożu rytualnym historia odnotowała też wiele podobnych przypadków z powodu głodu. W XIX w. zdarzyło się to między rozbitkami na tratwie „Meduza" u wybrzeży Afryki Zachodniej i było rozpowszechnione podczas oblężenia Leningradu czy wielkiego głodu na Ukrainie, który w latach 30. zadał śmierć kilku milionom ludzi. Jeden z rozbitków w Andach wspominał po jakimś czasie: „To była katońska próba, niemożebne upokorzenie, bo naruszaliśmy cywilizacyjne normy. Ale nie mieliśmy innego wyjścia. Bez dwóch zdań to pogwałcenie sacrum uratowało nam życie".

Poon Lim przetrwał na Atlantyku 133 dni FOT. DOMENA PUBLICZNA

W pewnym momencie dwóch rugbistów będących w najlepszej formie fizycznej podążyło w poszukiwaniu jakiegoś siedliska ludzkiego. Najeżona trudnościami wędrówka przez bezludną Kordylierę wyczerpała ich kompletnie, ale potrafili wykazać umiejętność wytężenia sił do ostatecznych granic. Wola życia i bezprzykładna wytrwałość skłaniały ich do kroczenia wciąż naprzód. Po dziewięciu dniach katorżniczej drogi natknęli się na pasterzy, którzy zaalarmowali służby ratunkowe. Siedemdziesięciodwudniowa gehenna dobiegła kresu.

Najpiękniejszą wizytówkę wiary w nieograniczone możliwości ludzkie w sytuacji życia na krawędzi zobrazował pisarz i pionier lotnictwa Antoine de Saint-Exupéry. W czerwcu 1930 r. pilot pocztowy Henri Guillaumet odleciał z Santiago de Chile do Mendozy, po drugiej stronie Andów, w Argentynie. Podczas lotu na wysokości 6500 metrów trafił na gwałtowną burzę śnieżną, która zmusiła go do awaryjnego lądowania. Przez dwa dni czekał na zakończenie nawałnicy, po czym wyruszył w drogę. Brnął w głębokim śniegu pięć dni i nocy. Przy życiu utrzymywała go myśl o ukochanej żonie, w chwilach zwątpienia siadał, patrzył na jej zdjęcie i mówił do siebie: „Jeśli wierzysz, że jeszcze żyję, to z pewnością dasz wiarę, że się nie poddam. A więc idę, idę… Byłbym ostatnim tchórzem, gdybym się zatrzymał". Ciągnął więc niestrudzenie krok za krokiem, wreszcie wyczerpany i przemarznięty osiągnął chatę wieśniaków, którzy skontaktowali się z policją. W San Carlos, gdzie został przewieziony, odwiedził go Saint-Exupéry. Guillaumet we łzach wyznał mu: „Tego, czego dokonałem, nie zrobiłoby żadne zwierzę na świecie". Ostatnią rzeczą, która umiera w człowieku, jest właśnie nadzieja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d9a6dd6456

VOLVO V60, CZYLI KOMBI W SKANDYNAWSKIM STYLU

Nisko zawieszone auto szwedzkiej marki to dowód na to, że klasyczne kombi może być nie tylko praktyczne, lecz także ładne, eleganckie i dynamiczne.

Volvo jest przede wszystkim synonimem określenia „bezpieczny samochód". I chociaż od czasu, gdy w salonie tej marki w Kristianstad pokazano pierwsze na świecie auto fabrycznie wyposażone w trzypunktowe pasy bezpieczeństwa, minęło już ponad sześć dekad, to producent wciąż wprowadza technologie, które zmniejszają ryzyko wypadków i poważnych obrażeń. Volvo V60 ma więc nie tylko komplet gwiazdek w testach Euro NCAP. Testowana podstawowa wersja jest też wyposażona m.in. w układ zmniejszający ryzyko urazu kręgosłupa szyjnego, a także w antykolizyjny system Oncoming Lane Mitigation, co – szybko tłumacząc ze szwedzkiego – oznacza, że jeśli zdarzy się komuś zagapić i przekroczyć linię wyznaczającą pas ruchu, wyjeżdżając komuś na czołówkę, to system uratuje mu skórę, automatycznie wracając na właściwy pas i ochrzaniając kierowcę za nieuważną jazdę (działa przy prędkościach od 60 do 140 km/h). Inteligentny system informowania kierowcy (IDIS) sprawia z kolei, że gdy szef/żona/teściowa dzwonią akurat, gdy intensywnie manewruje się kierownicą, gwałtownie dodaje gazu lub hamuje, to powiadomienie o przychodzącej rozmowie system wyświetli dopiero, gdy na drodze będzie spokojnie (co zwiększa bezpieczeństwo, a jednocześnie zmniejsza ryzyko nerwowej odpowiedzi, potencjalnie ratując premię/małżeństwo/szansę na dobry obiad).

Sercem eleganckiego kombi jest dwulitrowy silnik o mocy 163 KM, ale ponieważ to tzw. miękka hybryda, auto zyskuje kilkanaście dodatkowych koni i szybciej przyspiesza na niskich obrotach. Po dociśnięciu gazu do podłogi kierowca ma do dyspozycji 265 Nm momentu obrotowego, co pozwala na osiągnięcie 100 km/h w 8,6 s po starcie. Autem z automatyczną skrzynią biegów można pojeździć dynamicznie, choć zawieszenie zostało zestrojone raczej do relaksującej jazdy niż do sportowych szaleństw na zakrętach. Prędkość maksymalna jest fabrycznie ograniczona do 180 km/h. Co z apetytem na paliwo? Na drogach szybkiego ruchu średnie spalanie wynosi 7,5–8,5 l/100 km, ale przy spokojniejszej jeździe bez trudu da się zejść w okolice 6,1–6,5 l/100 km, a w mieście nie palić więcej niż 7–7,5 l/100 km. Nieźle jak na rodzinne auto z kufrem o pojemności 519/1431 l.

We wnętrzu jest nie tylko bezpiecznie, lecz także jakby luksusowo. Fotele V60 są wygodne, przestrzeni dookoła nie brakuje, więc autem podróżuje się bardzo komfortowo nawet na dłuższych trasach. Minusy? Podczas testu system multimedialny raz się zawiesił, ale dał się szybko zresetować. Poza tym sprawnie wyświetla mapy Google, statystyki i stacje radiowe, działa z Android Auto etc., więc już nie narzekam.

Podstawowa wersja klasycznego kombi ze światłami w kształcie młota Thora w wersji B3 mild hybrid kosztuje 173,9 tys. zł, a najbogatsza (z panoramicznym oknem dachowym, nagłośnieniem Harman Kardon etc.) to wydatek co najmniej 250 tys. zł. ©℗

SŁUCHAWKI JABRA ELITE 4

Czyste brzmienie, solidny bas i wyraźne wysokie tony, nieźle działający system aktywnego tłumienia hałasu, możliwość sparowania z dwoma urządzeniami jednocześnie oraz atrakcyjny stosunek ceny do jakości – to największe zalety najnowszego modelu słuchawek dousznych duńskiej firmy Jabra.

Zarówno niewielkie słuchawki (każda waży tylko 4,6 g), jak i etui utrzymane są w typowej dla serii Elite minimalistycznej formie. Etui ładujące pełni jednocześnie funkcję powerbanku, który regularnie doładowuje „pchełki", gdy akurat się ich nie używa. Same słuchawki na jednym ładowaniu działają 5,5 godziny, a w połączeniu z doładowywaniem energią zgromadzoną z etui można ich używać z dala od gniazka przez 28 godzin (lub maksymalnie 22 godziny, jeśli w słuchawkach włączony jest system aktywnego tłumienia hałasu ANC).

Samo tłumienie hałasu w Elite 4 jak na tę półkę cenową sprawdza się nieźle, sprawnie redukując sporą część niechcianych dźwięków podczas podróży pociągiem/autobusem i zmniejszając uciążliwości pracy w korporacyjnych open space'ach (tłumiąc np. odgłos stukania w klawiaturę).

Plusem testowanego modelu jest tzw. multipoint, czyli możliwość jednoczesnego sparowania słuchawek z dwoma urządzeniami (np. smartfonem i laptopem). Samo parowanie przebiega zaś szybko i prosto. Przydatną cechą Elite 4 jest możliwość odtwarzania muzyki w trybie mono w jednej słuchawce, co daje możliwość podładowania w tym czasem energii w drugiej „pchełce".

A co z dźwiękiem? Dzięki czterem wbudowanym mikrofonom słuchawki dobrze nadają się do prowadzenia rozmów telefonicznych. Model Elite 4 nie jest przeznaczony dla audiofilów, ale dobrze nadaje się do słuchania muzyki. Brzmienie utworów z popularnych aplikacji do streamingu muzyki jest czyste i neutralne, dynamiczny bas jest przyjemny dla ucha, a wysokie tony wyraźnie słyszalne. Darmowa aplikacja Jabra Sound+ pozwala z kolei dostosować brzmienie do własnego gustu. Szkoda jednak, że nie daje w tym modelu możliwości personalizacji przycisków.

Inne wady? Słuchawki w odróżnieniu od modelu Elite 4 Active mają niższy stopień odporności (IP55 zamiast IP57), są więc tylko częściowo odporne na wodę. Dziwi również brak możliwości ładowania bezprzewodowego. Cena: 469 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl d9a6dd6456

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Samo dobro w skorupce

Jajko – symbol świąt Zmartwychwstania Pańskiego, symbol nowego życia. Przeciętne jajko ma 70–90 kcal; w zależności od wielkości zawiera mniej więcej 6,4 g białka i prawie 5 g tłuszczu, kwasy tłuszczowe omega-3 i omega-6, jest źródłem witaminy D. Mimo że spór o to, ile powinno się jeść jajek i jak, trwa i właściwie nie został jednoznacznie rozwiązany, my bardzo lubimy jajka, więc często goszczą na naszym stole w każdej postaci.

Podobno każdy szanujący się szef kuchni ma swój tajemny sposób na jajecznicę. Jedni rozbijają jajka wprost na patelnię i czekają, aż się zetnie białko, a dopiero po czasie delikatnie mieszają żółtko, aby nie było zbyt ścięte. Inni dodają do jajecznicy śmietankę, szczypiorek albo pieczarki, ale przede wszystkim jest jedna zasada: jajecznicę smażymy na masełku albo maśle klarowanym, ponieważ wzbogaca jej smak.

Na nadchodzące święta cieszymy się bardzo. Rano idziemy na rezurekcję, a potem już tylko czekają nas przygotowanie do uroczystego śniadania i dekoracja stołu. Obowiązkowo przygotowujemy baranka z masła, na stole ustawiamy rzeżuchę, pisanki i drzewko wielkanocne. Drzewko to taka nasza tradycja rodzinna; świeżo ścięte gałązki wierzby ozdabiamy kolorowymi wstążkami, kokardami i małymi jajeczkami. Bardzo lubimy wspólny czas przy stole, dlatego nasze śniadanie trwa aż do południa. Celebrujemy, rozmawiamy, po prostu cieszymy się sobą. Potem jest obowiązkowy spacer, bez względu na pogodę. Jest to dla nas bardzo ważne, aby być razem i wspólnie przeżywać te najważniejsze święta w roku. Pięknych i radosnych świąt! Wesołego Alleluja!

Jajka faszerowane

• 10 jajek (liczba zależna od potrzeb) • 30 dag pieczarek • ½ kostki masła do smażenia • 1 opakowanie serka śmietankowego do smarowania • ½ pęczka drobnego szczypiorku • garść koperku • sól, pieprz, czerwona papryka do smaku • 1 łyżeczka czosnku w proszku • 5–10 łyżek bułki tartej

Jajka gotujemy na twardo, schładzamy w zimnej wodzie. Ostrym nożem przecinamy jajka na pół, delikatnie wyjmujemy białko i żółtko łyżeczką i przekładamy do miski. Skorupki odkładamy na bok – to ważne, aby ich nie uszkodzić!!! Siekamy bardzo drobno nożem lub blenderem, krótko i delikatnie, aby zachować malutkie kawałki jajka. Pieczarki czyścimy, podsmażamy na połowie masła z dodatkiem soli, pieprzu i czosnku, wyjmujemy, siekamy drobniutko i łączymy z jajkami. Następnie dodajemy posiekany szczypiorek, koperek oraz serek śmietankowy i wszystko razem mieszamy na jednolitą masę. Odstawione skorupki faszerujemy masą jajeczną, obtaczamy w bułce tartej i smażymy na maśle na złoty kolor. Możemy je przykryć pokrywką, żeby nabrały temperatury z każdej strony. Podajemy ciepłe, posypane szczypiorkiem. ©℗

FOT. ADOBE STOCK (X2)

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Marne czasy dla Francuzów

Znajomi dostali zaproszenie na ślub od rodziny we Francji. Trzy kartki welinowego papieru, ręczne pismo. Wyszczególniono kolejne etapy ceremonii: prywatna msza na hiszpańskiej wyspie Lanzarote (gdzie mają dom rodzice panny młodej, mieszkający na stałe w Paryżu), anonsujace związek spotkanie rodziców państwa młodych w elitarnym klubie w Paryżu („Pan markiz i Pani markiza przyjmują"), wreszcie spotkanie po ślubie w ścisłym rodzinnym gronie. Wszystko z dokładnym wyszczególnieniem arystokratycznych tytułów.

– Mam tam jechać? – zastanawiała się niezdecydowana znajoma. – Wydam parę tysięcy na samolot, hotel, sukienkę, kapelusz i prezent, a potem przez trzy godziny będę rozmawiać na przyjęciu z ludźmi, których widzę po raz pierwszy i ostatni.

Ale zaproszenie, a zwłaszcza wymienione na nim tytuły robiły wrażenie. Tytuły są u nas już trudne do wyobrażenia, nawet w kręgu arystokracji. Coraz rzadziej zdarza się też, że na ślub zapraszają rodzice. Jeśli narzeczeni mają ok. trzydziestki, to dlaczego zapraszać mają mamusia i tatuś? A takie formy – pretensjonalne czy może naturalne w tamtym środowisku?

– Wiem, jak będzie – powiedziała znajoma, obliczając koszty imprezy, już prawie zdecydowana, że nie pojedzie. – Najpierw trzeba przetrwać część oficjalną, z przemówieniami i ze srebrnymi sztućcami. A wieczorem tzw. młodzież zrobi sobie prawdziwą balangę. Następnego dnia będą trzeźwieć.

Ślub ma się odbyć w czerwcu, ale nie wiadomo, co do tej pory się wydarzy w ojczyźnie narzeczonych. Na razie strajki, setki tysięcy manifestujących, odwołane pociągi. W tej sytuacji welinowy papier, „markizy" i srebrne sztućce brzmią groteskowo. Jako tako stabilny francuski porządek społeczny nagle się chwieje. Wśród licznych memów ilustrujących sytuację jest jeden, na którym król Karol III razem z królową consort pakują worki ze śmieciami.

Marne czasy nastały dla Francuzów nieprzywykłych do rewolucji, którą przygotował im Macron. „Rien n'est bon sous Macron" („Za Macrona nic nie jest dobre") – krzyczą transparenty strajkujących. Obywatele Heksagonu nie mogą się pogodzić z tym, że każe im się pracować do 64. roku życia. Wczesna emerytura to była świętość klasy średniej, która w swoim maison de campagne zażywała dobrostanu wczesnej starości, uprawiając ogródek. Odchowawszy dzieci, zostawiwszy zawodowe problemy za sobą.

A co teraz? ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zbrojownia Łozińskiego

Zbiory, które znajdowały się we dworze w Kuńkowcach pod Przemyślem, zniszczonym w czasie pierwszej wojny światowej, są wstrząsającym przykładem tego, jak bogata była spuścizna po dawnej Rzeczypospolitej. I jak wielkie musiało być państwo, które pozostawiło po sobie tyle dóbr, że pomimo pół wieku niemieckiej, sowieckiej i komunistycznej grabieży pozostało ich tyle, aby dziś wypełniać muzea i prywatne kolekcje.

Kuńkowce należały do Władysława Łozińskiego, wybitnego historyka, którego cenię wyżej niż Sienkiewicza. Autora wielu publikacji naukowych, jak „Prawem i Lewem" czy „Życie polskie w dawnych wiekach". Sekretarza Ossolineum, kolekcjonera, członka Towarzystwa Historycznego we Lwowie i redaktora naczelnego „Gazety Lwowskiej".

RYS. MART

„Kurier Ilustrowany" z 1900 r. opisuje te zbiory. Było to ponad tysiąc eksponatów. Z tego: „zbroi kompletnych, półzbroików i karacen 20"; dwie z czasów Zygmunta Augusta i jego ojca, ozdobione koronami, jedna srebrzysta, druga ciemnoniebiesko szmelcowana. Zbroja z czasów Batorego: „cała złotem w karpie łuski nabijana". Zbroja repusowana, z hełmem złocistym i herbem Zamoyskich, inna z herbem Zygmunta III Wazy na hełmie. „Zbroja na konia i jeźdźca cała w karpie łuski z czarnej stali, z czasów Batorego".

Hełmów i szyszaków było wiele, jeden skrzydlaty, z ozdobami z czarnej emalii i nabijanym w złocie monogramem, jak podawał „Kurier": Zygmunta Augusta; jednak szyszaki tego typu pojawiły się dopiero w XVIII w., musiał więc pochodzić z czasów Augusta II Sasa. Ogromny był dział polskich kałkanów, czyli plecionych, okrągłych tarcz, wśród nich jedna z herbem Pogoni na umbie, druga ze znakiem Lubomirskich, trzecia z Łodzią Stefana Czarnieckiego. Były też tarcze średniowieczne i późniejsze: „ze skóry bawolej, z plecionki okręconej jedwabiem, ze stali i srebra". Dalej inwentarz wymienia 60 egzemplarzy broni białej, rozmaicie zdobionej: „Oto emalia, trybowanie, rytowanie, rzeźba, inkrustacja złotem i srebrem. Szabla cała okryta emalią Batorego, szable z rękojeścią i oprawą z kryształu".

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kolekcję uzupełniało 50 buław i buzdyganów, czyli tzw. regimentów. Były tam ciężkie, żelazne rycerskie, kryształowa buława króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Buława z czasów Zygmunta Starego zaopatrzona w szczerozłote okucie z wizerunkami świętych; druga Batorego, emaliowana. „Buławka z lapis lazuli z koroną sadzoną brylancikami z monogramem i herbem króla Sobieskiego, buława żelazna rzeźbiona i złocona z inicjałami Stefana Czarnieckiego, buławka srebrna z herbem i cyfrą S. Ż. (Stanisława Żółkiewskiego), srebrny, w oryginalny sposób filigranem ornamentowany buzdygan po Jerzym Lubomirskim".

Osobny dział stanowią pamiątki po dostojnikach Rzeczypospolitej: laska marszałka Mikołaja Wolskiego, laska Radziwiłłowska, laska z gałką emaliowaną z czasów Zygmunta III Wazy. Dalej idzie broń palna: muszkiety z herbami i inicjałami Zygmunta III i Batorego, przybory myśliwskie – rogi z prochem, prochowniczki, lontowniczki. Kolekcja rzędów końskich – kulbaki, siodła, czapraki.

Osobliwością są zgromadzone przez Łozińskiego 23 miniatury przedstawiające władców Polski, Barbarę Radziwiłłównę, a także prymasa Karnkowskiego, hetmana Chodkiewicza, Bogusława Radziwiłła i jego żonę Marię Annę. Inne malowane na kości słoniowej z podobiznami: Klementyny Sobieskiej i Marii Leszczyńskiej. Miniatury na blasze – Jana Kazimierza, hetmana Stanisława Koniecpolskiego i… Bohdana Chmielnickiego. Jest też galeria portretów, w tym ogromny Jana III Sobieskiego wyobrażający odsiecz wiedeńską, pędzla włoskiego malarza Widmara.

Niesamowita musiała być kolekcja sreber stołowych licząca 150 sztuk. Wśród nich unikaty takie jak: „pozłocista puszka, ornamentowana w stylu gockim z 12 apostołami i z napisem na wieczku: Kazimirus Dei Gr. Rex Polonie". Kolejne zbiory to meble, których nie starczy już miejsca wyliczać, zegary ścienne, tkaniny i hafty.

Co się stało z tym wszystkim? To, co z większością podobnych zbiorów. W 1914 r. dwór w Kuńkowcach został zrównany z ziemią przez Austriaków podczas oczyszczania przedpola twierdzy Przemyśl. Część kolekcji nieżyjącego już wówczas Łozińskiego zapewne została rozproszona, resztę pewnie zrabowali obcy żołdacy. Historia ta pokazuje, jak wiele z dziedzictwa dawnej potęgi utraci naród bez własnych armii i państwa. ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Pandemia testów

Jak ujawnił dr Piotr Witczak – zespół badaczy z Holandii, Grecji i Niemiec dokonał oceny nowych, bardziej specyficznych starterów PCR do wykrywania COVID. Wnioski: „PCR nie tylko wykrył materiał genetyczny COVID, lecz także wychwycił materiał genetyczny innych wirusów, bakterii, a nawet DNA człowieka". To brzemienne w skutkach odkrycie, w dodatku sygnalizowane w kilku badaniach wcześniejszych. Wynika z niego wiele ważnych wniosków, które w dodatku pozwalają nam prześledzić większość anomalii covidowych.

Skoro testy łapały, a więc wskazywały jako obecność konkretnego wirusa, wszystko jak leci, czyli i inne wirusy czy bakterie, to znaczy, że nie mogły służyć do mierzenia występowania wirusa oraz jego rozprzestrzeniania się. Po prostu termometr pokazywał nieprawdę. I to w górę. To znaczy, że zawyżał właściwe oddziaływanie wirusa, co – z powodu dynamicznego zwiększania liczby testów – wytwarzało fałszywe fale… testów. A nie zakażeń.

Po drugie – wyjaśnił się fenomen zniknięcia grypy w latach 2020–2021. Ta „ukryła" się w pozytywnych testach covidowych, które zaliczały wszystko jak leci do jednej przyczyny. Przed pandemią zakażenia grypą stwierdzano bez żadnych testów, a w pandemii zaczęto testować, ale tylko termometrem testów na jeden patogen. Co okazało się fałszem, bo nasz termometr łapał wszystko jak leci, o czym ostrzegali naukowcy od samego początku.

Co ważniejsze, chyba zmienia to nie tylko obraz światowej pandemii, bo zawyża jej wielkość, lecz także rzutuje na rzeczywistą śmiertelność COVID. Wszystkie zgony, które były potwierdzone tak niepewnym testem, mogły mieć praktycznie dowolną przyczynę, zwłaszcza w przypadku chorób współistniejących. A więc wychodzi, że obraz pandemii, nawet w swych ostatecznych, niezakażeniowych, ale śmiertelnych aspektach, miał inny, lżejszy obraz.

Nie ma jednak wątpliwości, że – szczególnie w Polsce – pandemia doprowadziła do nadmiarowych zgonów, ale w świetle powyższych rewelacji nie z powodu COVID, tylko naszego sposobu walki z falami… fałszywie pozytywnych testów. Ponadnormatywne zgony były spowodowane głównie stresem, kapitulacją służby zdrowia, zwaną przewrotnie „późnym leczeniem", ujednoimiennianiem szpitali, przerwanymi terapiami, triażem szpitalnym oraz śmiertelnymi teleporadami, które przepuszczały ewidentne przypadki zapalenia płuc. To były efekty długu zdrowotnego zaciągniętego w trakcie nadmiarowej walki z wirusem o zasięgu, okazuje się, o wiele mniejszym, niż wskazywały na to testy PCR. I ten dług zdrowotny trwa do dzisiaj, bo zaciągnęliśmy go na pokolenia. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Jak zlikwidować Kościół

W części komentarzy, które wysypały się po publikacjach „Maxima Culpa" i „Franciszkańska 3", pojawia się charakterystyczna konkluzja. Otóż według autorów tych „mądrości" nadużycia seksualne kapłanów wobec nieletnich to kolejny dowód, że w Kościele katolickim istnieje nieusuwalny problem. Nieusuwalny dlatego, że jest on systemowym błędem. Po pierwsze – wyplenienie nadużyć jest wręcz niemożliwe, ponieważ przeszkodami są nimb sakralności duchownych i autorytet, który ma podłoże religijne. Wyświęceni księża w powszechnym odbiorze wiernych „ulepieni są z innej gliny", dlatego im wolno więcej.

Drugą przeszkodą jest hierarchiczność. Molestowanie kleryków i ministrantów tak rzadko spotyka się z oporem, a potem uchodzi bezkarnie, bo sprawcy to przełożeni.

Trzecim i najpoważniejszym błędem systemowym jest oczywiście celibat. Niezaspokojony popęd seksualny prowadzi do wynaturzeń i dewiacji.

Wniosek? Usuńmy te trzy systemowe błędy katolickiego Kościoła i wszystko będzie dobrze. A więc kapłaństwo ma nie być już stanem sakramentalnym, lecz normalnym urzędem. Duchowni to zwykli urzędnicy.

Neomarksiści, którzy opanowali uniwersytety i medialny mainstream, nienawidzą wszelkiej hierarchii. Według nich kościelna struktura podległości i posłuszeństwa podszyta jest systemową przemocą, co urąga dogmatowi lewicy – niedyskryminacji. Demokratyzacja struktur kościelnych, dopuszczenie świeckich, a najchętniej kobiet, do zarządzania usunie nadużycia wynikające z podległości i zwierzchności. I w końcu celibat. Żonaci księża będą spełnieni seksualnie, więc problem sam zniknie (akurat statystyki z USA przeczą tej tezie – sprawcami większości przypadków molestowania są mężczyźni żonaci).

Dopóki tego rodzaju argumenty podnoszą komentatorzy lewicowi, dopóty można uznać, że ludzie niewierzący nie wiedzą, o czym mówią. Niestety, te głosy są obecne wewnątrz Kościoła – pojawiły się wśród postulatów Synodu. Pomysły na takie właśnie „uzdrowienie" Kościoła są świadectwem braku wiary. Wynikają z niewiary w apostolski depozyt kapłaństwa i moc sakramentu. Zakładają, że natura ludzka poddana jest biologii i popędowi silniej niż władzom woli, i wykluczają współpracę z łaską bożą. Rezygnacja z pojęć takich jak asceza, ofiara, umartwienie, cnota czy łaska nie jest już tylko „światową" przypadłością. Staje się sposobem myślenia katolików, z dostojnikami watykańskimi włącznie. W Wielki Czwartek, wspominając ustanowienie sakramentu kapłaństwa, módlmy się o świętość kapłanów i ocalenie ich od pomysłów modernizatorów. ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nie oddawajcie za dużo

Reprezentacja Polski w piłkę kopaną grała z Czechami i Albanią. Stop. Niepotrzebnie przypomniałem, niepotrzebnie. Przepraszam. Stop.

Kampania wyborcza niby się nie zaczęła, ale się zaczęła. Stop. Wszyscy, no prawie wszyscy, prześcigają się w obietnicach, co to oni dadzą ludowi, jak wygrają. Stop. Bo wiadomo, że wygra ta partia, która więcej obieca. W związku z tym wystawiam na sprzedaż hasło wyborcze, które zapewni wygraną: „Damy Wam wszystko, i to dwa razy!". Stop. Że się mija z prawdą hasło? No i? Przecież mówimy o polityce. Stop.

Inne hasło zaproponowała posłanka Lewicy, Katarzyna Kotula. Stop. „Wprowadzimy zakaz modlitw-pikiet z krwawymi bannerami przed szpitalami, w których są oddziały ginekologiczne, zaraz po wygranych wyborach". Stop. Skąd pani Kotula będzie wiedziała, czy ktoś się modli, jak będzie się modlić po cichu? Stop. Hasło dobre, tylko że nie na zwycięstwo. Stop.

W Radiu Zet Sławomir Mentzen, lider Konfederacji, powiedział: „Chciałbym zawrzeć z żoną ślub, który jest nierozerwalny, tak jak moje małżeństwo kościelne jest nierozerwalne. Nie mam takiej możliwości. Ślub kościelny jest OK, ale chciałbym do tego mieć cywilny". Stop. W zasadzie to słusznie mówi, czyli nie wiadomo, o co mu chodzi. Stop. Rozwody w Konfederacji to nie jest rzadkość, a jak ktoś chce, to może np. się nie rozwodzić. Stop. Swoją drogą sporo jest przykładów „rozwodów" kościelnych, które zdarzają się politykom. Stop. Mentzenowi trzeba więc przyznać rację, niech sobie ma. Stop.

Tomasz Komenda, który spędził 18 lat w więzieniu po niesłusznym skazaniu go za morderstwo, może do więzienia wrócić. Stop. Od polskiego państwa dostał prawie 13 mln zł za lata tortur, ale nie chce płacić alimentów na swoje dziecko, które pojawiło się na świecie po wyjściu z więzienia. Stop. Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało okrutnie, ale topografię Tomek zna... Stop.

Po tym, jak Donald Tusk powiedział, że mur na granicy polsko-białoruskiej nie powstanie, powiedział, że nigdy tak nie powiedział. Stop. Błogosławiona bądź krótka pamięci! Stop.

Dowiedziałem się, że jak mężczyzna oddaje nasienie do banku spermy, to z niego nie może być więcej niż 25 dzieci. Stop. Bo jak jest więcej, to jest niebezpieczeństwo, że te dzieci mogą ze sobą zawierać związki, nie wiedząc, iż są rodzeństwem. Stop. Niemniej w Holandii pewien ginekolog okazał się nasieniowym ojcem 500 dzieci. Stop. Teraz go oskarżają, że on chodził po bankach i podając się za różne osoby, oddawał sobie nasienie. Stop. Stanie przed sądem. Stop. Czasy są takie wredne, że wsadzają już nawet za oddawanie! ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

I ty zostaniesz transem

Małgośka, mówią mi, wy Polacy dopiero wtedy zrozumiecie, czym jest genderyzm, gdy państwo stanie między rodzicami a dziećmi z całym aparatem przymusu. Oczywiście, o ile Polska będzie szła śladami naszej Hiszpanii i wprowadzi równie ambitne prawo trans. No ale jeśli wasz Trzaskowski przyjaźni się z naszym Almeidą i wasze Tuski podzielają te same „wartości europejskie", to już jesteście na ścieżce i na kursie, żeby wylądować w nowym, lepszym świecie, w którym kurator sądowy będzie bronił kaprysu 14-latki do zmiany płci wbrew woli rodziców, i to już z wtorku na środę.

Moi amigos są zdesperowani i muszą mi się wypłakać, aby nie wydawać na leżankę u psychoanalityka. Cóż z tego, że małoletni w Hiszpanii nie mogą kupić wina albo prowadzić auta, skoro mogą zmienić płeć wedle swego widzimisię, a nawet okaleczyć się, amputując niechciane narządy lub przyjmując blokery dojrzewania? Niektóre kraje w obliczu skali dramatów już wycofały się z tych zapisów, podczas gdy Hiszpania poszła na całość. Już nie wystarcza jej tytuł najbardziej abortion-gey-friendly, musi jeszcze chyba zmienić płeć połowie swej populacji.

Niestety, za sprawą tzw. społecznego zarażania urzędy stanu cywilnego nie nadążają z lawiną wniosków o zmianę płci. Placówki zajmujące się osobami transpłciowymi notują masowy ich napływ, a np. w regionie Walencji odnotowano wzrost o 10 tys. proc. przypadków w ciągu paru lat. Mnie samej robi się słabo, bo gdyby nad moim dzieciństwem czyhali aktywiści LGBT, to najpierw upraliby mi mózg, a potem zamienili w chłopca. Najbarwniejsze historie rodzinne dotyczą tego, jak spadałam z drzew, z koni w stadninie i podkradałam wiatrówkę dziadka. Dziś w Hiszpanii dziewczynki lubiące chłopięce zabawy (i na odwrót) szybko znajdują opiekunów, którzy walczą z resztką wątpliwości dziecka i całą jego rodziną, aby przekonać ich do zmiany płci. W końcu przemysł farmakologiczny, erotyczny i kliniki medycyny estetycznej potrzebują mięsa na przemiał, a w przypadku oporu rodziców – pozbawienia ich praw.

Problem, który dotyczy mikroskopijnej części ludzkości, stał się powodem, aby sterroryzować miliony. Cała nadzieja w rodzicach. Moim należą się szczególne podziękowania. Najpierw ciężko wzdychali: „To nie są zabawy dla dziewczynek", potem prosili: „Dziennikarstwo polityczne to nie jest zawód dla kobiet", w końcu, gdy usłyszeli ostatnio, że na Dzień Kobiet dostałam 10 proc. zniżki na mój pierwszy kałasznikow, to już tylko machnęli ręką, bo wiedzą, że sami wychowali pancerną, ale jednak damę! ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Eufemizmy i zagłada

Pod koniec lutego odbyła się w Akademii Zamojskiej konferencja o ludobójczej akcji niemieckiej przeprowadzonej 80 lat temu na Zamojszczyźnie. To miał być program pilotażowy tzw. Generalnego Planu Wschodniego opracowywanego pieczołowicie przez uczonych w mundurach SS, pracujących w kierowanym od października 1939 r. przez Heinricha Himmlera Komisariacie Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny na Wschodzie.

Niemcy uwielbiali eufemizmy. „Umacnianie Niemczyzny na Wschodzie" oznaczało ludobójczą eksterminację całych narodów w Europie Środkowej i Wschodniej, zakwalifikowanych przez narodowych socjalistów jako „podludzie". Nie tylko i nie przede wszystkim o Żydów tu chodziło. Tak rozumiane „umacnianie niemczyzny" rozpoczęło się bowiem już jesienią 1939 r., gdy różne formacje i służby państwa niemieckiego – poczynając od „rycerskiego" Wehrmachtu – przystąpiły do eksterminacji polskich elit w Wielkopolsce (akcja „Tannenberg"), na Pomorzu (zbrodnia pomorska w Lasach Piaśnickich i w wielu innych miejscach) i w Generalnym Gubernatorstwie (akcja AB wiosną 1940 r.). Ginęli również obywatele RP żydowskiego pochodzenia. Ludobójstwo niemieckie na okupowanych ziemiach polskich rozpoczęło się przed wdrożeniem przez Rzeszę Niemiecką „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej", którego apogeum przypadło na lata 1942–1943 (akcja „Reinhardt").

Masową eksterminację polskich elit Hitler nazywał w 1939 r. „oczyszczeniem podłoża" (Flurbereinigung)

Masową eksterminację polskich elit Hitler nazywał pod koniec 1939 r. – kolejny eufemizm – „oczyszczeniem podłoża" (Flurbereinigung). Uczeni wielbiciele eufemizmów z SS, snując w swoich ekspertyzach zbiorczo nazywanych Generalnym Planem Wschodnim wizję zredukowania narodu polskiego do kilku milionów robotników do śmierci pracujących dla Tysiącletniej Rzeszy (reszta miała być zabita lub wysiedlona na Syberię), pisali o „etnicznej przebudowie niemieckiego Wschodu". W czasie, gdy setki tysięcy Żydów ginęły w Treblince, Bełżcu i Sobiborze (fabryka śmierci w Auschwitz pełną parą zacznie „umacniać niemczyznę" w 1944 r.), Niemcy wdrażali pilotaż „etnicznej przebudowy" na Zamojszczyźnie.

Wspomniana konferencja w Zamościu, podobnie jak analogiczna konferencja w 2019 r. w Wejherowie o zbrodni pomorskiej, pozwoliła przypomnieć o bestialstwie niemieckiego Kulturvolk na konkretnych przykładach. Niby ogólnie wiadomo, że niemiecka okupacja na naszych ziemiach w czasie ostatniej wojny była straszna, ale jej groza pokazana w odniesieniu do konkretnych osób i miejscowości ciągle robi wrażenie. Tak jak pokazane w jednym z referatów zamojskiej konferencji dramatyczne losy dzieci Zamojszczyzny.

Ogólna wiedza o niemieckim bestialstwie, którego one doświadczyły, jest niepełna bez uzupełnienia w postaci straszliwych konkretów. Bez przytoczenia tras transportów kolejowych (bydlęce wagony), w których przewożono te dzieci, wyselekcjonowane pod względem rasowym i przeznaczone do „umocnienia niemczyzny" w samej Rzeszy. Bez przypomnienia regulacji niemieckich, które zakazywały podawania tym dzieciom nawet kulek śniegowych, by mogły w ten sposób ugasić pragnienie. Bez wskazania miejsc, gdzie mimo tych zakazów Polacy nie tylko pomagali, lecz także ratowali swoich najmłodszych rodaków. Bez wspomnienia przykładów wykupywania całych wagonów tych dzieci („kupowanie dzieci na wagony" – ot, dorobek „niemieckiej pracy kulturowej na Wschodzie") nie tylko przez Polaków, lecz także przez szlachetnych cudzoziemców (cały wagon z polskimi dziećmi wykupiła pewna szwedzka arystokratka). Bez tego wszystkiego nasza pamięć o niemieckiej okupacji lat 1939–1945 pogrąża się, jakby napisał Książę Poetów, w „diabelską sieć dialektyki głoszącej, że nie ma różnicy między substancją a widmem". A przecież musimy wiedzieć i policzyć dokładnie, zawołać po imieniu i opatrzyć na drogę.

Taka konferencja jak ta w Zamościu pozwala rozróżnić substancję od widma i wskazuje na nasz obowiązek pamięci. Ona musi objąć również tych szlachetnych ludzi zza morza, jak ta szwedzka arystokratka, która uratowała cały wagon polskich dzieci, sprawiedliwych Ukraińców, którzy zachowali się przyzwoicie wobec swoich sąsiadów na Wołyniu, Niemców, którzy być może gdzieś na Pomorzu czy w Wielkopolsce ratowali Polaków. My też powinniśmy mieć szczególne miejsce poświęcone Sprawiedliwym wśród Narodów Świata. ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

WIRAŻ

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

ONZ oficjalnie potwierdza, że Rosja jest państwem terrorystycznym. Na sali brawa. Czy Rosja zostanie usunięta z ONZ? Nie. Czyli Rosja jest państwem terrorystycznym, a jednocześnie ONZ toleruje Rosję jako legalnego członka – z tego wynika, że ONZ jest organizacją akceptującą terrorystów. Czy Polska nadal chce być członkiem organizacji akceptującej terrorystów? Chce. Nasze obrzydzenie wobec Rosji jest limitowane i ma swoje granice.

***

Międzynarodowy Trybunał w Hadze wystawił nakaz aresztowania Putina. Przecież to absurdalne – kazali aresztować przywódcę mocarstwa nuklearnego. Kto konkretnie miałby to wykonać? Jacyś policjanci w państwie, do którego przyjechał z wizytą dyplomatyczną? Wyobraźmy sobie, że go skutecznie aresztowano na terenie któregoś z ponad stu państw, które podpisały umowę. Co się dzieje dalej? Jaka jest reakcja Rosji na zatrzymanie naczelnego wodza ich armii? Czy Francja zdecyduje się na aresztowanie Putina i odstawienie go do Hagi? A gdyby tak, to co dalej? Co Rosja zrobi Francji w zamian?

***

Świat, który znamy, jest na ostrym wirażu i wiele osób rozważa scenariusze ucieczkowe.

Przed drugą wojną światową było podobnie. Żyd, który zostawił wszystko i prysnął do Ameryki, ocalał. Drugi, który się pukał w czoło, że przecież nie zostawia się wszystkiego i nie pryska tak po prostu, skończył w krematorium. Żaden z nich się nie spodziewał, że wojna będzie „aż taka", jak była. Ten pierwszy liczył nawet na to, że po wojnie może da się wrócić. Ale po wojnie nastała komuna i powrotu do tamtego świata sprzed wojny już nie było.

***

Dokąd wiać w razie czego? Stany Zjednoczone to nadal doskonały kraj do zamieszkania, jeżeli ktoś szuka wolności osobistej. I ja mieszkam tu wciąż z wyboru, a nie z przymusu. Jednak widać też znaki, że wolność w USA się kończy. Wprowadzają coraz więcej socjalizmu na europejską modłę i to mnie mdli. Widać też znaki upadku lub mocnego osłabienia imperium. Jeżeli ktoś szuka „odwrotności" tego, co jest w Unii Europejskiej, niekoniecznie musi mieszkać w USA, są inne miejsca na ziemi, gdzie zamiast socjalu obowiązuje zasada: „Radź sobie sam, a władza ci nie będzie przeszkadzać ani pomagać, bo jest daleko". Takich miejsc jest wiele i pokazywałem je nagminnie w „Boso przez świat".

***

Pomoc państwa zawsze jest związana z przeszkadzaniem. Żeby ci dać forsę, muszą ci ją najpierw odebrać i sobie zatrzymać większość – tak to działa, ale ludzie nie lubią o tym myśleć i... dlatego to działa. Gdyby ludzie o tym zaczęli myśleć, socjal by upadł.

Ile kosztuje flaszka spirytusu rektyfikowanego w produkcji? Złotówkę lub dwa złote. A w sklepie 70 zł. To dlatego, że na drodze od producenta do klienta stoi władza, stoi i doi, wtrąca się w nasze zakupy, żąda akcyzy i ma karabiny oraz więzienia, aby wymusić na społeczeństwie haracz.

Czy podatki w Polsce są zbyt wysokie? Większość obywateli uważa, że są. Czy socjal jest zbyt rozbudowany i powinno go być mniej? Większość uważa, że tak i że lepiej byłoby zamiast rozdawania zasiłków zmniejszyć podatki. Są też tacy, którzy uważają, że podatki w Polsce są sprawiedliwe. Tak? A czy płaciłbyś je dobrowolnie i bez przymusu, gdyby za niepłacenie nie było żadnej kary? Bo to jest ostateczny sprawdzian, czy podatki są ustawione na prawidłowej wysokości – są wtedy i tylko wtedy, jeżeli naród nie oszukuje rządu na podatkach, tylko płaci.

***

Społeczeństwo amerykańskie było kiedyś (dawno temu) w takiej sytuacji, że podatki były niskie lub nie było ich wcale. I był to okres entuzjastycznego rozwoju, od pucybuta do milionera, podatki były bez znaczenia, gdy się zarabiało fortuny, i to szybko. W tamtych czasach państwo amerykańskie miało bilans dodatni i tyle forsy, że nie wiedzieli, co z nią robić. I… od nadmiaru forsy na rachunku zaczęły się w głowach polityków pojawiać pomysły, by część tej forsy rozdać i w ten sposób zyskać głosy wyborców. Wymyślili socjal zamiast zwyczajnej i zdrowej jałmużny.

***

Kościół zachęca do postu, modlitwy i jałmużny. Jałmużna od socjalu różni się jak anioł od diabła. Anioł dba o twoją duszę, diabeł chce ją zniszczyć. Jałmużnę daje człowiek dobrowolnie i kieruje w to miejsce, gdzie chce ją przekazać. Może rzucić garść monet do miseczki żebraka lub wypisać czek dla konkretnej fundacji, na konkretne cele. Może, może, może w przeciwieństwie do diabelskiego musi, musi, musi.

Z kolei socjal odbywa się zawsze w atmosferze przymusu, a nawet przemocy państwa, bo tę forsę przeznaczoną do rozdania trzeba najpierw komuś zagrabić. Wielcy socjalistyczni rozdawacze forsy zawsze rozdają cudzą forsę. Jeden z nowszych pomysłów na rozdawanie to rządowe kredyty mieszkaniowe na 2 proc. przez 10 lat. Dwa procent przy inflacji wynoszącej 20 proc. to bardzo zabawny pomysł. A kto dopłaci różnicę? Rząd mówi, że rząd dopłaci. A skąd rząd weźmie forsę na dopłatę? Z podatków, czyli od nas, bo rząd żadnej własnej forsy nigdy nie ma. Jest wysoce niesprawiedliwe, SZATAŃSKIE i obrzydliwe, by moja Mamusia lat 83 dokładała się przymusowo do kredytów mieszkaniowych dla młodych byków w pełni sił. „Pomoc państwa" oznacza przemoc państwa.

***

Powodów, dla których ludzie rozważają scenariusze ucieczkowe, jest wiele. Kłopot widzę taki, że przed opresją, dyktaturą, tyranią, przed komuną, przed Fidelem oraz przed Hitlerem zawsze się uciekało do Ameryki. A co w sytuacji, gdy Ameryki zabraknie? Dokąd uciekniesz wtedy? A co w sytuacji, gdy trzeba będzie uciekać „z" Ameryki, gdy ta padnie pod chińską inwazją? ©℗

eprasa.pl d9a6dd6456

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

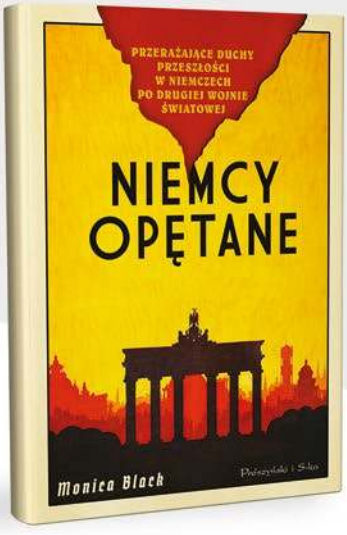

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MONICA BLACK:

„NIEMCY OPĘTANE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1161~~ ZŁ

365,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 796 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d9a6dd6456

NARODOWY BANK POLSKI

80. ROCZNICA WYBUCHU POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM

MONETY KOLEKCJONERSKIE NBP

Narodowy Bank Polski 12 kwietnia 2023 r. wyemituje dwie monety kolekcjonerskie upamiętniające 80. rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim – złotą o nominale 200 zł i srebrną o nominale 10 zł.

Powstanie rozpoczęło się 19 kwietnia 1943 r., a walki trwały kilka tygodni. Był to największy akt zbrojnego oporu ludności żydowskiej podczas II wojny światowej i jednocześnie pierwsze powstanie miejskie w okupowanej Europie.

Monety kolekcjonerskie do nabycia w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: KOLEKCJONER.NBP.PL

eprasa.pl d0a6dd6456